ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 9 (176) WRZESIEŃ 2013
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NAKŁAD 12 400

www.odkrywca.pl

Grunwaldzkie zwycięstwo eksploratorów – HE III wydobyty

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GARRETT® METAL DETECTORS www.garrett.com

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

AT PRO

AT Gold

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

white's

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

NOWOŚĆ

MINELAB

E-Trac

CTX 3030

Safari

Excalibur II

GPX - 5000

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS Detecting & Underground Locating Equipment

CZ 3D

F2

F4

F5

F70

F75

F75 LTD

Gemini-3.

CZ 21

1270

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Maxx

GMaxx II

Gold Bug

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

WRZESIEŃ 2013

POSZUKIWANIA

3 **Wielka gra o „Czerwoną Orkiestrę" (cz. 2)**
Piotr Maszkowski

7 **Spalona składnica Grundmanna**
Dlaczego Grundmann wybrał tę niepozorną wieś na miejsce ukrycia ogromnej liczby eksponatów sprowadzonych z Berlina? Dlaczego nie skorzystał z podobnego obiektu, o dwa razy większej kubaturze, położonego w sąsiedniej wsi? Szczególnie, że powstały w Mściszowie budynek był o kilkadziesiąt lat młodszy i wykonany z nieco trwalszego materiału…
Szymon Wrzesiński

12 **Tropem ostatniego lotu He-111**
Michał Łałak

14 **Kiedy poznamy tajemnicę Szybu Południowego?**
Maciej Bartków

18 **Zniszczyć Warszawę!**
Leszek Adamczewski

24 **Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 2)**
Janusz Skowroński, Andrzej Kuźniar

30 **Cypel Helu/Helski po zakończeniu Kampanii Obronnej 1939 roku**
Widziane z góry cz. 3
Sebastian Różycki, Władysław Szarski

TAJEMNICE HISTORII

32 **Płużnica Wielka – niby taka nijaka…**
Jadąc główną trasą w stronę Strzelec Opolskich, po drodze przejeżdżamy przez miejscowość Płużnica Wielka. Pewnie nie zwrócicie na nią uwagi, bo z pozoru niczym się nie wyróżnia. Wygląda dokładnie tak samo, jak inne. Ale uwierzcie mi, nie jest taka sama. Dlaczego? Jej dawni mieszkańcy mieszkają w Teksasie, interesował się nią sławny reżyser, a władze PRL-u nie chciały wyrazić zgody na film, który zamierzał nakręcić. I jest jeszcze coś. Całkiem możliwe, że właśnie stąd pochodzi rodzina papieża, który był Polakiem. Bynajmniej nie mam na myśli Jana Pawła II…
Dariusz Pietrucha

KULISY HISTORII

39 **Przerwana zapora**
Arkadiusz Lipin

ROZMOWA

43 **Ludzie z sercem do drewna**
O tym, jak powstał Średniowieczny Park Techniki i poszczególne urządzenia, z właścicielami Parku – Elżbietą Szumską i Jackiem Grużlewskim – oraz z twórcą drewnianych konstrukcji Arkiem Knychem, rozmawia Krzysztof Krzyżanowski.

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

48 **Chcieć, to móc…**
XIII Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych „Operacja Południe"
Izabela Kwiecińska

51 **Pod ostrzałem królowej bitewnych pól…**
VI Zlot Grup Rekonstrukcyjnych i Historycznych Pojazdów Wojskowych „Strefa Militarna" 2013
Piotr Maszkowski

FORTYFIKACJE

54 **„Brama Poznania" w Śluzie Katedralnej**
Przemysław Maćkowiak

58 **MRU – podziemna fabryka (cz. 2)**
Marcin Dudek

KOLEKCJONERSTWO

54 **Kieszonkowa artyleria Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 4)
Piotr Galik

BATALIE I POTYCZKI

66 **Pod znakiem Białego Lwa**
Legion Czesko-Słowacki w Polsce w 1939 roku
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości września w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
U góry: płonący bombowiec Heinkel HE 111. Z kat. „Niemieckie lotnictwo podczas Kampanii Wrześniowej". U dołu: członkowie elbląskiego Stowarzyszenia „Denar" – odkrywcy wraku HE 111. Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Karolina Dombrowska, Mirosław Wegner.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak,
Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński,
Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki,
Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

Chyba już nie sposób wymienić wszystkich widowisk inscenizacyjno-rekonstrukcyjnych, których kanwą są wydarzenia historyczne, jakie odbywają się współcześnie w Polsce. Ich kalendarz rozpisany jest w rytmie kolejno następujących po sobie dat, symbolizujących lub upamiętniających naznaczoną historycznie przeszłość. Waga tych wydarzeń jest mówiąc wprost… różna. Od ogólnonarodowych, którym towarzyszy publiczna debata nad ich znaczeniem i konsekwencjami – jak choćby Rzeź Wołyńska czy Powstanie Warszawskie, po zdarzenia jednak (zwłaszcza w kontekście tych największych) bardziej lokalne. Wszystkie je łączy jednak przekonanie, że najlepszym sposobem dotarcia z przekazem historycznym do masowej świadomości i wyobraźni współczesnego Polaka jest inscenizowany obraz. Żyjemy w cywilizacji obrazu – powtarzają częstokroć inscenizatorzy, powoli monopolizując znaczny obszar historycznej świadomości i refleksji nad przeszłymi wydarzeniami. Co więcej, wydaje się, że w znacznym stopniu, przy tej okazji, wchodzą w rolę zarezerwowaną dla systemu powszechnej edukacji. To zresztą uwaga bardziej w stronę szkolnictwa niż środowisk rekonstrukcyjnych, które – jak same deklarują – chcą inscenizacjami poruszyć serca i umysły. Serca poruszone bezsprzecznie zostają, spychając jednak nieuchronnie historię w stronę przeżycia bezpośrednio emocjonalnego. Czy refleksja historyczna ufundowana na emocjach będzie wartością poznawczą i kształtującą? To pytanie warte jest solidnej debaty.

W obliczu mnogości imprez rekonstrukcyjnych oraz ilości ich medialnych przekazów, mniej zaangażowany uczestnik życia publicznego mógłby uznać, że amatorski ruch miłośników historii niemal w całości zaangażowany jest w rekonstrukcje. Tak jednak nie jest – liczna rzesza eksploratorów nie ustaje w poszukiwaniach cennych obiektów historycznych, które ciągle kryją się w cieniu przeszłości. Niełatwo tu o znalezisko sensacyjnej rangi, więc nie dziwi brak medialnej wrzawy – ta wybucha, gdy w spektakularnym miejscu dokonuje się odkrycia czegoś naprawdę wartościowego. Tak było z odkryciem szczątków niemieckiego bombowca Heinkel 111 w połowie sierpnia w okolicy Pól Grunwaldu. Odkrycie na gierzwałdzkiej łące honorujemy również my „okładkową" relacją z akcji przeprowadzonej przez członków elbląskiego Stowarzyszenia Historyczno-Poszukiwawczego „Denar". Wypada zauważyć, że wydobycia (na razie częściowego), dokonano nieomal w 164. rocznicę pierwszego bombardowania, za jakie historia wojskowości uznaje atak balonowy przeprowadzony przez Austrię okupującą Republikę Wenecką (22 VIII 1849). Austriacki atak, choć nieskuteczny, otworzył nową kartę w historii wojen – bombardowanie z powietrza, które wraz z postępującym rozwojem lotnictwa stało się jednym z podstawowych działań militarnych.

Pewnie znana jest Wam wszystkim fotografia hitlerowskiego bombowca He 111 zrzucającego bomby na płonącą Warszawę we wrześniu 1939. To jedno z tych „emblematycznych" zdjęć dokumentujących Wrzesień. Heinkel 111, skonstruowany w 1934, był klasycznym ucieleśnieniem wojennych zamiarów hitlerowskich Niemiec wobec Europy. Przewrotnie udając maszynę cywilną (latał nawet w Lufthansie), co było podyktowane rozstrzygnięciami Traktatu Wersalskiego, w istocie był przygotowywany jako bombowiec średniego zasięgu –narzędzie terroru w nowej doktrynie wojny błyskawicznej. Przetestowany w nalotach na hiszpańską Guernicę w 1937 r. niszczył Warszawę w zbrodniczych nalotach na cywilne obiekty w trakcie Wojny Obronnej 1939. Heinkel 111 wraz z jego mutacjami, to obok Junkersów i Dornierów jeden z symboli terroru bombowego II wojny światowej. Wypada się cieszyć, że plany przekształcenia tej maszyny w bombowiec strategiczny, jakie miał zwłaszcza gen. Wather Wever pierwszy szef sztabu generalnego hitlerowskiej Luftwaffe, spełzły na niczym wraz z jego śmiercią w katastrofie w 1936 roku. Ocenia się, że taka ewentualna rola He 111 mogła mocno zmienić losy wojny, dzięki możliwości dalekich bombardowań obszaru Rosji (zwłaszcza przenoszonych za Ural fabryk zbrojeniowych) w latach 1941-43. Na terenie Polski nie zachował się żaden He 111 – „wilk w owczej skórze" (nazywany tak z racji krótkiej służby cywilnej w Lufthansie) – ciekawe, czy skrywa jeszcze jakieś tajemnice – czekamy na dalsze prace Stowarzyszenia „Denar".

Przypomnienie zdjęcia He 111 nad płonącą Warszawą we Wrześniu 1939 skłania mnie jeszcze do zarekomendowania Wam artykułu Piotra Adamczewskiego „Zniszczyć Warszawę", który odsłania niektóre kulisy niemieckiej machiny wojennej z perspektywy sztabu ruchomej kwatery Hitlera – jaką był ówcześnie pociąg specjalny „Amerika". To najpewniej w jego salonkach zdecydowano o zbrodniczych nalotach na stolicę Polski. „Wilk" He 111 nad niebem Warszawy w 1939 i na Polach Grunwaldu w 2013… historia kołem się toczy.

O czym przekonana, zapraszam do lektury wrześniowego „Odkrywcy"!

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Izabela Kwiecińska

Wielka gra o Czerwoną Orkiestrę (cz. 2)

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: IPN, ARCHIWUM REDAKCJI

Pod koniec 1942 roku doszło do intrygującej sytuacji. Po dyskretnym zlikwidowaniu działającej na zachodzie Europy sowieckiej siatki szpiegowskiej i przejęciu jej stacji nadawczych, Niemcy proponują jej aresztowanemu szefowi podjęcie z centralą w Moskwie gry, mającej na celu… zawarcie z ZSRR separatystycznego pokoju. Propozycja była warta rozważenia. Lecz nie dla Leopolda Treppera…

Gdy na początku lat 70. Leopold Trepper, były przewodniczący zarządu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, zdecydował się na emigrację z Polski, władze odmówiły mu prawa wyjazdu z kraju. Przyczyną była jego II wojenna przeszłość – radzieckiego szpiega. Choć to zbyt skromne określenie, gdyż w rzeczywistości pełnił znacznie bardziej odpowiedzialną funkcję przedstawiciela kierownictwa centrali wojskowego wywiadu zagranicznego (GRU) na Europę Zachodnią. Był również twórcą i koordynatorem „Czerwonej Orkiestry" – jednej z najskuteczniejszych siatek szpiegowskich działających przeciwko III Rzeszy. Mimo upływu ponad ćwierć wieku od tego momentu, w Moskwie zadecydowano, by nie wypuszczać Treppera z Polski, objąć go inwigilacją i odizolować od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym. Zbiegło się to jednak w czasie z narodzinami legendy „Czerwonej Orkiestry" i jej szefa, który stał się za sprawą licznych publikacji wydawanych na Zachodzie bohaterem wojennym o wybitnych zasługach w walce z nazizmem. Wkrótce też na wieść o jego problemach, za „żelazną kurtyną" rozpoczęła się kampania medialna i społeczna na rzecz jego uwolnienia. Ostatecznie w listopadzie 1973 r. strona polska i radziecka uległa naciskom, umożliwiając Leopoldowi Treppero-wi opuszczenie ojczyzny. W poprzednim numerze („Odkrywca" nr 8/2013) sprawa ta została szczegółowo zaprezentowana na podstawie materiałów MSW odnalezionych w archiwum IPN. W bieżącym odcinku skupimy się na niezwykłej historii „Czerwonej Orkiestry" i jej „wielkiego szefa", która zaważyła na całym jego późniejszym życiu, przypominając o sobie wiele lat po wojnie.

Kapitalistyczny biznes przykrywką komunistycznego wywiadu

Leopold Trepper jesienią 1938 r. przyjechał do Brukseli jako Adam Mikler – kanadyjski przedsiębiorca o wschodnioeuropejskich korzeniach. Jego specyficzny akcent w na poły flamandzkiej Belgii nikogo nie dziwił. Według spreparowanej legendy majętny biznesmen pochodził z dalekiej prowincji Quebec, często rozprawiał o walorach krajobrazowych Montrealu, nie wzbudzając specjalnych podejrzeń w neutralnym i spokojnym wówczas kraju. Jego zamiarem nie było założenie od podstaw interesu, lecz zainwestowanie, jako udziałowiec, w dobrze prosperującą firmę, mającą rozwiniętą sieć zagranicznych filii. Do dyspozycji posiadał wyasygnowaną przez GRU dość znaczną, jak na koniec lat 30., kwotę 10 tys. dolarów, zapewne nie astronomiczną, aczkolwiek całkowicie wystarczającą, by stać się kluczowym akcjonariuszem. Miał mu w tym pomóc stary przyjaciel z czasów działalności w Palestynie Léo Grossvogel, który był dyrektorem handlowym w dynamicznie rozwijającej się spółce produkującej nieprzemakalne płaszcze. Firma należała do sympatyka ruchu komunistycznego Jules'a Jaspar'a, szanowanego w Belgii biznesmena, i jednocześnie brata byłego belgijskiego premiera. W trójkę, w oparciu o dotychczas prowadzony biznes i zastrzyk moskiewskiej gotówki, zawiązali spółkę importowo-eksportową „The Excellent Trench-Coat". Interes okazał się na tyle trafiony, że wkrótce zaczął przynosić znaczne dochody. W ciągu pierwszych dwóch lat działalności udało się uruchomić oddziały w pobliskiej Holandii i Francji, a także w kilku krajach skandynawskich. Swoje przedstawicielstwa handlowe spółka posiadała także w Niemczech, we Włoszech, a nawet w dalekiej Japonii…

Gdy okazało się, że powstająca równolegle siatka szpiegowska ma szanse powodzenia, a w dodatku jest praktycznie przedsięwzię-

Szkic Leopolda Treppera (z 1969 r.) znajdujący się w archiwalnych dokumentach.

Trepper – za młodu i w sile wieku (publikowany w I części).

ciem samofinansującym, Moskwa zdecydowała się wesprzeć jej struktury zawodowymi oficerami wywiadu Michaiłem Makarowem (vel Carlos Alamo) i Wiktorem Sukułowem (Vincent Sierra ps. „Kent"), którzy przybyli do Belgi jako obywatele urugwajscy. Na miejscu szybko zostali zatrudnieni w „The Excellent Trench-Coat", zasilając jednocześnie struktury tworzonej organizacji. Ta jednak pozostawała całkowicie uśpiona, a jej działalność ograniczała się właściwie do rozbudowy sieci kontaktów. Priorytetem był rozwój firmy, wypracowywanie zysków gwarantujących powodzenie przyszłej działalności. Sam Trepper od czasu do czasu pośredniczył na prośbę centrali w operacjach finansowych, czy też podejmował próby zorganizowania wytwórni fałszywych dokumentów.

Przebudzenie

Sytuacja diametralnie zmieniła się wraz z atakiem niemieckim na Belgię 10 maja 1945 roku. Uśpiona dotychczas siatka uaktywniła się i rozpoczęła działalność zgodną z jej przeznaczeniem. Jednak legenda Adama Miklera w nowych okolicznościach okazała się zbyt niebezpieczna, gdyż jako obcokrajowcowi groziło mu internowanie przez władze belgijskie. Tym samym Leopold Trepper, vel Adam Mikler, staje się Jeanem Gilbertem – przedsiębiorcą z Antwerpii prowadzącym międzynarodowe interesy w krajach Beneluxu. Niespodziewanie jednak nadarzyła się doskonała okazja do zdobycia pierwszych interesujących dla Moskwy danych wywiadowczych. Korzystając z bliskich kontaktów w ambasadzie Bułgarii, mógł, jako zaopatrzony w odpowiednie dokumenty obserwator sojuszniczej armii, swobodnie poruszać się po objętych walkami terenach Belgi, a później Francji, obserwując niemal z pierwszej linii zmieniającą się sytuację na froncie, wykorzystywany przez Niemców sprzęt wojskowy i stosowaną w praktyce taktykę blitzkriegu. Swoje wnioski w obszernym raporcie przesłał do Moskwy, inicjując tym samym właściwą działalność wywiadowczą.

Aby zwiększyć zasięg działania i strefę wpływów siatki szpiegowskiej, w styczniu 1941 r. powołana została spółka Simex z siedzibą w Paryżu – z filią w Marsylii – oraz siostrzana spółka w Brukseli (Simexco). Dzięki wcześniejszym kontaktom i układom handlowym firmy te nawiązały ścisłą współpracę z działającą w całej okupowanej Europie Organizacją Todta, zaopatrując ją na terenie Francji i Belgii w niezbędne przy prowadzonych inwestycjach materiały budowlane. Jak się można domyślać, strategiczny kontrahent stał się równocześnie niewyczerpalnym niemal źródłem informacji, zaś kooperacja z OT, dzięki specjalnym upoważnieniom, umożliwiła niemal nieograniczone możliwości poruszania się po terytoriach zajętych przez Niemców. Wkrótce Leopold Trepper, jako przedstawiciel kierownictwa radzieckiego wywiadu wojskowego w Europie Zachodniej, koordynował zarówno stworzoną od podstaw siecią agentów w Belgii, Holandii i Francji, jak również powstałymi wcześniej i działającymi niezależnie berlińską grupą Harro Schulze-Boysena, wysokiego urzędnika w Ministerstwie Lotnictwa oraz Aleksandra Rado w Szwajcarii. Kluczem powodzenia działalności szpiegowskiej, obok zdobywania informacji, jest system ich przekazywania. Początkowo pozyskiwane dane wywiadowcze były mikrofilmowane i w takiej formie szmuglowane licznymi kanałami przerzutowymi do Moskwy, także za pośrednictwem funkcjonujących do połowy 1941 r. placówek dyplomatycznych. Równolegle udało się stworzyć sieć sprawnie działających i zakonspirowanych nadajników radiowych, dzięki którym zaszyfrowane depesze trafiały na bieżąco do centrali. Nabrało to szczególnego znaczenia w obliczu obserwowanych od końca 1940 r. niemieckich przygotowań do inwazji na ZSRR. Mimo jednak licznych i napływających z wielu źródeł ostrzeżeń o szczegółach oraz terminach planowanego ataku, Stalin kazał je ignorować, traktując jako brytyjską prowokację. Skutki zaślepienia i ignorancji tyrana, jak wiemy, były katastrofalne. Po 22 VI 1941 r. „Czerwona Orkiestra" pracowała już pełną parą, wysyłając do Moskwy potężną ilość informacji wywiadowczych…

Początek końca

Prusy Wschodnie, niemiecka stacja nasłuchu radiowego w Cranz (dziś Zielenogradsk na płn. od Królewca, Obwód Kaliningradzki) 26 VI 1941 rok. Pośród licznych depesz przechwytywanych z eteru od początku wojny, pojawiła się kolejna, wyraźnie różniąca się od pozostałych. Od razu wzbudziła podejrzenia operatora, który natychmiast nagrał ją i przekazał swojemu przełożonemu. Po przeanalizowaniu jej treści okazało się, że wysłana została z nadajnika umiejscowionego w Europie Zachodniej, lecz co najbardziej zaintrygowało Niemców, to fakt, iż zaszyfrowana depesza nie była, jak wszystkie dotychczas przechwycone, przeznaczona dla stacji odbiorczej w Londynie. Okazało się, że adresat zaszyfrowanej i zakodowanej informacji znajduje się… w Moskwie. Zaskoczenie zarówno odpowiedzialnej za kontrwywiad wojskowy Abwehry, jak i Służby Bezpieczeństwa (SD) było całkowite. Tym bardziej, że wcześniej niemieckie służby specjalne zapewniały, że na terenie III Rzeszy i krajów okupowanych nie funkcjonowała żadna sowiecka siatka szpiegowska. Tymczasem nie minęły cztery dni od rozpoczęcia inwazji na Związek Radziecki, a już zaczęły płynąć z Europy Zachodniej informacje zbierane przez całkowicie nieznaną, w dodatku działającą dla Sowietów siatkę szpiegowską. Niemcy takiej sytuacji nie przewidywali co najmniej przez kolejnych kilka miesięcy. Mieli ku temu podstawy, zważywszy na dotychczasowy przebieg relacji z ZSRR i znanej w Berlinie postawy Stalina, który zaślepiony wcześniejszym sojuszem kategorycznie zabronił, w celu uniknięcia prowoka-

Berlińska grupa „Czerwonej Orkiestry" w NRD doczekała się statusu bohaterów narodowych, utrwalanych na edycjach specjalnych znaczków pocztowych.

cji, jakiejkolwiek działalności szpiegowskiej przeciwko III Rzeszy. Co więcej, o czym już zostało wspomniane, praktycznie do ostatniej chwili lekceważył napływające z zagranicy sygnały o zbliżającej się inwazji, będąc przekonanym, iż są to inspirowane przez Londyn prowokacje. Tymczasem w Niemczech istnienie nieznanej siatki szpiegowskiej uznano za szczególnie niebezpieczne. Doszło do osobliwej sytuacji, w której dotychczas konkurujące ze sobą i wiecznie skłócone (a przez to często i nieudolne) służby specjalne III Rzeszy, zawarły tymczasowy sojusz. Pod przewodnictwem szefa RSHA Heydricha, Abwehra, Funkabwehra (wywiad i kontrwywiad radiowy), SD i Gestapo połączyły swe siły, by jak najszybciej zlikwidować zagrożenie. Niemieckie służby radiopelengacyjne zostały postawione w stan najwyższej gotowości intensywnie starając się zlokalizować nadajnik, z którego wysyłane były depesze do Moskwy. Wkrótce ustalono, że tropy bezsprzecznie prowadzą do Brukseli, skąd niemieckie stacje nasłuchowe systematycznie przechwytywały każdorazowo zaszyfrowany sygnał emitowany z nadajnika, któremu nadany został kryptonim PTX, od najczęściej występującego w meldunkach kodu stacji.

Efekt domina

W nocy z 12/13 grudnia 1941 r. służbom pelengacyjnym ostatecznie udało się ustalić źródło sygnału poszukiwanego od pół roku nadajnika. Do brukselskiego mieszkania przy Rue des Atrébates 101 wkraczają Niemcy. Ich sukces jest bezsprzeczny. Odnajdują radio i aresztują trzech agentów, którzy po okrutnych torturach ujawniają nazwiska kolejnych członków siatki. Tym samym dalsze funkcjonowanie, już nie tylko grupy belgijskiej, stanęło pod znakiem zapytania. W lipcu i sierpniu 1942 r. nastąpiły kolejne aresztowania, w tym przysłanego z Moskwy kapitana Efremowa, mającego przeorganizować po wsypie działalność „Czerwonej Orkiestry" w Belgii. Posiadający niemal kompletną wiedzę na temat siatki oficer radzieckiego wywiadu zostaje przewerbowany, zgadzając się na współpracę z Niemcami. Nie tylko podaje im, jak na tacy, mechanizmy działania grupy i kody łączności, ale również zgadza się podjąć z Centralą narzuconą i inspirowaną przez Niemców grę dezinformacyjną. Aby jednak można było ją prowadzić, bezwzględnie należało ująć „wielkiego szefa", który stał się od tego momentu jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi na kontynencie. Do pewnego momentu skutecznie udawało mu się wymykać obławom… zdążył też uprzedzić centralę o możliwości przejęcia przez Niemców nadajników „Czerwonej Orkiestry" i przewerbowania części agentów. Tymczasem Niemcom udaje się złamać kody używane do dekryptażu depesz. Z jednej z nich odczytują nazwiska i adresy członków grupy berlińskiej. Zostają aresztowani Harro Shulze-Boysen, i Arvid Harnack, a wraz nimi ponad 150 osób mniej lub bardziej związanych z działalnością szpiegowską. Wkrótce potem zlikwidowane zostają komórki w Holandii i Francji. W listopadzie 1942 r. w ręce Gestapo wpada ostatecznie Leopold Trepper…

Wielka Gra

„Wielki szef" szybko się przekonuje, że Niemcy chcą upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Z jednej strony udało im się zlikwidować groźną i rozległą siatkę szpiegowską, co było już sukcesem samym w sobie. Jednak w świetle logiki niemieckich śledczych, o wiele bardziej perspektywicznym posunięciem, niż rozbicie grupy, było jej przejęcie poprzez odwrócenie, czyli przewerbowanie części agentów i operatorów stacji nadawczych. Umożliwiłoby to przy zachowaniu pozorów nieprzerwanej działalności, wprowadzanie w obieg zmanipulowanych przez Niemców informacji mających charakter dezinformacyjny. Wykorzystując w tym celu wcześniej Efremowa, prowadzący sprawę Karl Giering sądził, że uda się odwrócić na podobnych zasadach „wielkiego szefa". Tym bardziej że, jak argumentował, centrala w Moskwie przekonana była jakoby „Czerwona Orkiestra" nadal funkcjonowała bez przeszkód, gdyż otrzymywała wiarygodne informacje o dużym znaczeniu wojskowym, by nie padł nawet cień podejrzeń, że w jakikolwiek sposób Niemcy zakłócili jej działalność… Argumentem mającym skaptować Leopolda Treppera na stronę niemiecką, była propozycja nawiązania rokowań pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim w celu zawarcia separatystycznego pokoju i powrót do dawnego sojuszu, lecz tym razem skierowanego przeciwko Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym. Przechwycone nadajniki „Czerwonej Orkiestry" miały z kolei posłużyć jako narzędzia komunikacji, a następnie mediacji pomiędzy walczącymi stronami. Przyznać trzeba oferta osobliwa, zważywszy na bezwzględną wojnę toczoną na Wschodzie, choć nie pozbawiona pewnych walorów. Jednak dla zagorzałego antynazisty jakim był Trepper, całkowicie nie do przyjęcia, nawet jeżeli zawierała choćby ułamek prawdopodobieństwa. Leopold Trepper stanął tym samym przed poważnym dylematem, jakim była decyzja o podjęciu owej „wielkiej gry", w której tylko jedną ze stawek było jego życie. O wiele istotniejszą kwestią było niebezpieczeństwo zatrucia eteru fałszywymi lub zmanipulowanymi informacjami, które w sytuacji uznania ich w Moskwie za wiarygodne, mogły mieć z czasem katastrofalne konsekwencje. Karl Giering i Leopold Trepper rozpoczęli więc grę pozorów, rozgrywając ją niczym partię pokera pełną obustronnych blefów. Obaj do końca nie wiedzieli komu ufa centrala w Moskwie – „wielkiemu szefowi", czy przewerbowanym agentom wciąż wysyłającym wartościowe dane do Moskwy? Gestapowiec również nie był pewny, czy ujął już większość członków siatki, czy też ist-

REKLAMA

niała jeszcze jakaś jej głęboko zakonspirowana komórka donosząca Moskwie o rzeczywistym przebiegu sytuacji, co sugerował mu Trepper.

Żyd, któremu udowodniono aryjskość...

Leopold Trepper nie ukrywał, że jest Żydem, jednak paradoksalnie fakt ten nie zraził Niemców. Sonderkommando uznało, że jest to doskonale skrojona legenda stworzona przez GRU na potrzeby wykonywanych zadań jej najlepszego agenta. Przeprowadzono na nim nawet badania antropologiczne, które wykluczyły jego... semickie pochodzenia. Nawet trudny do ukrycia fakt jego obrzezania został uznany za element przykrywki, zaś szczere wyznania Treppera odnośnie jego narodowości, uznane zostały zwyczajnie za kłamstwo. Kto bowiem przy zdrowych zmysłach, będąc w rękach Gestapo, zdradza tak niewygodny element swojej tożsamości? W odróżnieniu od pozostałych aresztowanych członków „Czerwonej Orkiestry", traktowany był bardziej jak równorzędny partner, niż więzień. Nie było mowy o jakichkolwiek torturach, czy głodowym wikcie. Dysponuje swobodą do tego stopnia, że wykorzystując nieuwagę strażników nocami opracowywał raport dla centrali w Moskwie, odsłaniający całkowicie prawdziwe intencje prowadzonej gry. Co najciekawsze, udało mu się go przesłać w jednej z szyfrowanych depesz pod pozorem nawiązania kontaktu z pozostającą na wolności łączniczką grupy. Po jakimś czasie przyszła z Moskwy odpowiedź sugerująca podjęcie gry przez Rosjan.

Grząski grunt...

Na przestrzeni 1943 r. wielu wyższych dowódców wojskowych Niemiec w wyniku niepowodzeń na froncie wschodnim (klęska pod Stalingradem), w obliczu lądowania aliantów na Sycylii i obalenia Mussoliniego we Włoszech, zaczęło powątpiewać w sukces militarny III Rzeszy i jej zwycięstwo w wojnie. Coraz bardzie docierało do nich, że prawdopodobnie wojna zakończyć się będzie musiała kompromisowym rozwiązaniem. Pojawiły się więc koncepcje podjęcia zakulisowych rokowań z aliantami i próby zawarcia separatystycznych układów mających na celu rozbicie spójności koalicji. Służyć miał temu m.in. przejęty kanał łączności oparty na stacjach radiowych „Czerwonej Orkiestry". Centrala powiadomiona przez Treppera o prawdziwych celach prowadzonej przez Niemców wielkiej gry przyjęła ją, licząc, że przez długi czas Niemcy musieli przesyłać do Moskwy wartościowe informacje, by nie wzbudzić podejrzeń Moskwy. Było to spore, a zarazem ryzykowne wyzwanie koordynowane w Berlinie przez szefa Gestapo Mullera oraz Bormanna i Himmlera. Musieli oni użyć wszelkich możliwych środków, by wymusić na dowództwie Wehrmachtu selekcję wartościowych danych wywiadowczych, dotyczących już nie tylko sytuacji wojskowej na zachodzie Europy, gdzie działała „Czerwona Orkiestra", ale również informacji mających związek z działaniami na froncie wschodnim. Wkrótce doprowadziło to do konfliktu pomiędzy dowództwem Wehrmachtu, a kierownictwem niemieckich służb wywiadowczych.

Także centrala w Moskwie podejmując grę, zaczęła realizować własne cele. Zdając sobie sprawę z charakteru tego typu działań, prosiła o coraz więcej szczegółowych danych. Stawiała również przed siatką zadania wykraczające w normalnych warunkach możliwości jej działania. Niemcy chcąc utrzymać pozory, zmuszeni byli do wysyłania wiarygodnych odpowiedzi. Co ciekawe, Moskwa także zaczęła puszczać w eter dane będące elementem podjętej przez Rosjan gry, np. informując w jednej z depesz „wielkiego szefa" o stratach Wehrmachtu na froncie wschodnim. Dane te były o wiele wyższe, niż oficjalne, pochodzące ze źródeł niemieckich. Tym samym Himmler mógł je dostarczyć Hitlerowi zdobywając kolejne punkty we własnej grze przeciwko wojskowym... Niemcy z kolei umieszczali w treści depesz informacje (często dość naiwne) mające negatywnie wpłynąć na relacje Związku Radzieckiego ze swymi sojusznikami, np. sugerujące współpracę Brytyjczyków z Niemcami...

Druga faza

Gdy w lipcu 1943 r. prowadzący negocjacje z Trepperem Karl Giering zachorował na raka, zastąpił go niejaki Pannewitz. Wraz z tą zmianą wielka gra weszła w kolejną fazę. Powstała koncepcja, by doprowadzić do próby przeprowadzenia odrębnych, lecz tym razem już bezpośrednich rokowań ze Związkiem Radzieckim, czego orędownikiem miał być sam Martin Bormann. Co ciekawe, podobna gra toczyła się w stosunku do aliantów zachodnich. Rzeczywistym zaś celem było rozbicie koalicji. Wkrótce do Moskwy wysłana została depesza zawierająca propozycję „pewnych kręgów niemieckich oficerów z Berlina" pragnących nawiązać kontakt z Rosjanami. Jak można się spodziewać nie spotkała się z żadnym odzewem. 13 IX 1943 r. Leopoldowi Trepperowi udało się ostatecznie uciec pilnującemu go strażnikowi. Mimo zakrojonej na szeroką skalę obławy i pościgu za nim, nigdy już nie trafił w ręce Niemców. Do wyzwolenia Paryża udaje mu się przetrwać na wolności, za którą wielu jego towarzyszy broni przypłaciło życiem, nie zdradzając miejsca jego pobytu. Wielka gra była zakończona, a jej niemieccy gracze z Pannewitzem na czele zacierali jej krwawe ślady. Czy w dobie jednak nieuchronnego już upadku III Rzeszy miało to jeszcze jakiekolwiek znaczenie? Raczej nie, tym bardziej, że Niemcy z miesiąca na miesiąc systematycznie tracili już jakąkolwiek pozycję przetargową w potencjalnych rokowaniach z kimkolwiek.

„Wielki szef" skutecznie unikał zastawianych na niego przez Pannewitza pułapek i wielkiej obławy, jaką zorganizowano w celu jego pojmania. Było już jednak za późno. Paryż został wyzwolony w sierpniu 1944 roku. Gra była skończona. Miesiąc później ujawnił się radzieckiej misji wojskowej, która przybyła do stolicy Francji. W styczniu 1945 r. został samolotem przewieziony do Moskwy, gdzie próbował zorganizować misje ratunkowe dla wciąż przetrzymywanych przez Niemców członków „Czerwonej Orkiestry", a także doprowadzić do schwytania zdrajców i członków Sonderkommando. Lecz dla nikogo w Moskwie nie miało już to żadnego znaczenia. Został aresztowany przez NKWD, jako wróg państwowy i oskarżony o nieokreślone zbrodnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu... Zbyt długo przebywał za granicą, przed wojną jako działacz Kominternu wiązał się z niewłaściwymi ludźmi, wrogami ludu, a przede wszystkim Stalina. Działalność „Czerwonej Orkiestry" nikogo nie obchodziła, podobnie, jak ofiary jej członków, zasługi, zdrady – wielka gra. Trepper trafił na 9 długich lat do więzienia, z którego wyszedł zrehabilitowany dopiero po śmierci Stalina...

Spalona składnica Grundmanna

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI

O składnicy w Gościszowie pisało już wielu poszukiwaczy skarbów. Niestety, w większości przypadków były to te same informacje, bazujące na publikacji Józefa Gębczaka „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie drugiej wojny światowej" . Jedną z nielicznych osób, która zadała sobie trud odszukania nowych informacji, była wrocławska historyk sztuki Małgorzata Stankiewicz. Nic zatem dziwnego, że to właśnie jej spostrzeżenia stały się impulsem do dalszej kwerendy źródeł i poszukiwań.

Osoba, która nigdy wcześniej nie była w Gościszowie (niem. Giessmannsdorf), będzie miała pewien problem z odnalezieniem dawnej składnicy dolnośląskiego konserwatora. Powodów jest kilka. Po pierwsze, to bardzo duża i zarazem jedna z najdłuższych wsi łańcuchowych w regionie. Po drugie, żaden z zabytków we wsi nie jest oznaczony drogowskazami, choć część z nich, to unikaty w skali regionu! Do tego jednak już przywykliśmy w naszym kraju. Po trzecie wreszcie, najważniejsze obiekty opisane w tym artykule są obecnie w tak fatalnym stanie, że w każdej chwili mogą zmienić się w przygnębiającą stertę gruzu.

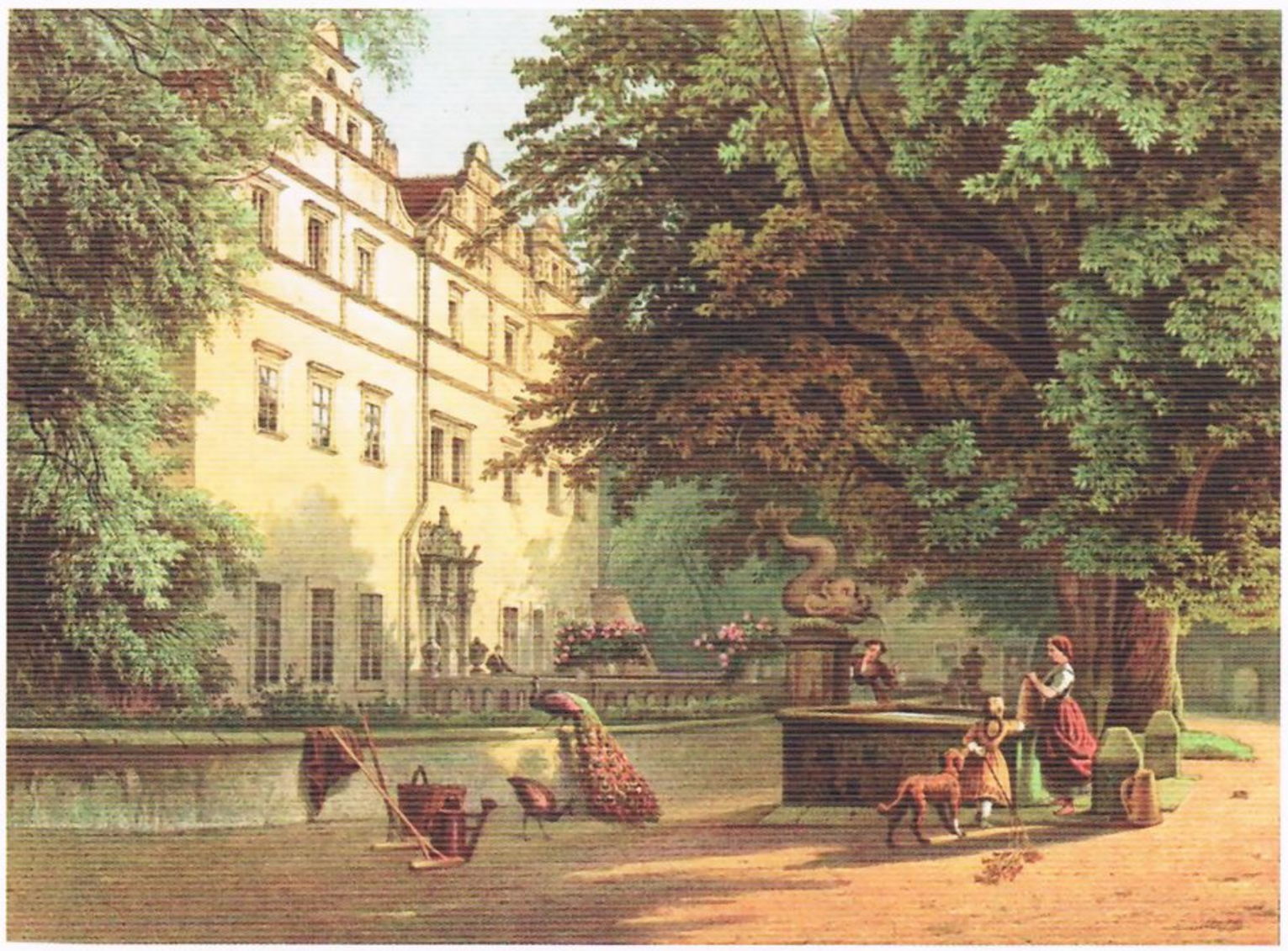

Fasada zamku w Gościszowie w 2 poł. XIX w. Reprodukcja ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Dlaczego Gościszów?

Nikt do tej pory nie zadał sobie chyba istotnych pytań: dlaczego Günther Grundmann wybrał tę niepozorną wieś na miejsce ukrycia ogromnej liczby eksponatów sprowadzonych z Berlina? Dlaczego niemiecki konserwator zabytków prowincji dolnośląskiej nie skorzystał z podobnego obiektu, o dwa razy większej kubaturze, położonego w sąsiedniej wsi? Szczególnie, że powstały w Mściszowie (niem. Seifersdorf) budynek, był o kilkadziesiąt lat młodszy i wykonany z nieco trwalszego materiału. Co wobec tego zadecydowało o wyborze Gościszowa? Zapewne trzy czynniki: znajomość terenu, bliskie położenie budynku od przystanku kolejowego oraz zgoda ówczesnego właściciela. Grundmann bywał tutaj wielokrotnie na przełomie lat 30. i 40., dzięki czemu doskonale poznał położenie poszczególnych budynków. Początkowo celem jego wizyt były prace konserwatorskie prowadzone w późnoromańskim kościele oraz rozmowy i sugestie dotyczące projektu odrestaurowania gotycko-renesansowego zamku, uważanego za jeden z cenniejszych na Śląsku. Z kolei w 1941 roku, przy okazji jednej z takich wizyt, był obecny przy otwarciu dwóch grobowców tubowych dawnych właścicieli wsi: Caspra von Warnsdorfa i jego żony (Caspar był ostatnim ze swego rodu posiadaczem tej wsi oraz jednym z najznakomitszych i najbardziej wykształconych przedstawicieli szlachty śląskiej przełomu XVI i XVII w.). Tego wyjątkowego dnia w kościele katolickim obecni byli między innymi: ówczesny właściciel posiadłości baron Frierdrich Karl von Eggeling, konserwator Grundmann oraz towarzyszący mu fotograf. Według relacji ówczesnego pastora Helmuta Kleina, przybyłym udało się zobaczyć złożone w trumnie szczątki najsłynniejszego właściciela Gościszowa z charakterystyczną długą, jasną brodą, który w swych rozsypujących się dłoniach trzymał rycerski miecz leżący wzdłuż tułowia: – *Obie całopostaciowe* płyty *z wyobrażeniami zmarłych zostały uszkodzone podczas wojen napoleońskich, a potem naprawione spoczywały w kościele do 1945 roku. Zaginęły pod koniec lat 60. ubiegłego stulecia* – mówi Mał-

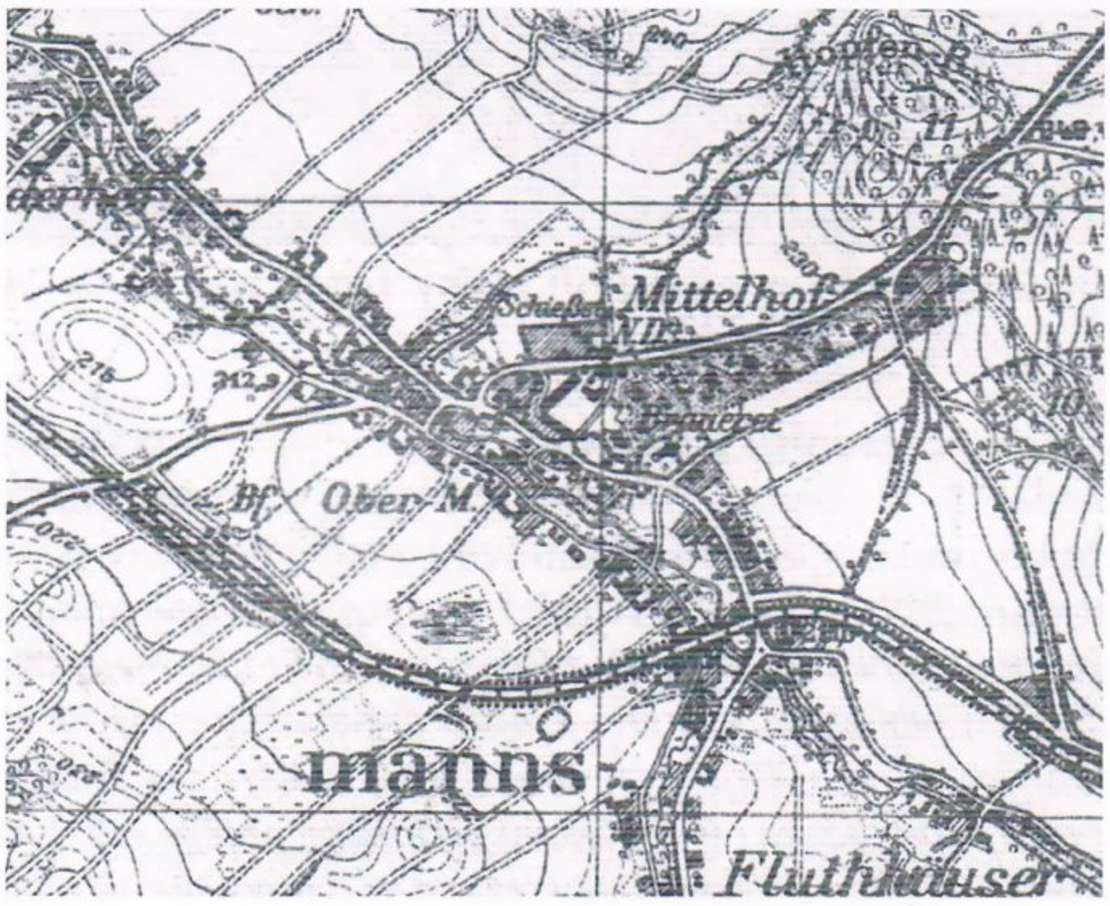

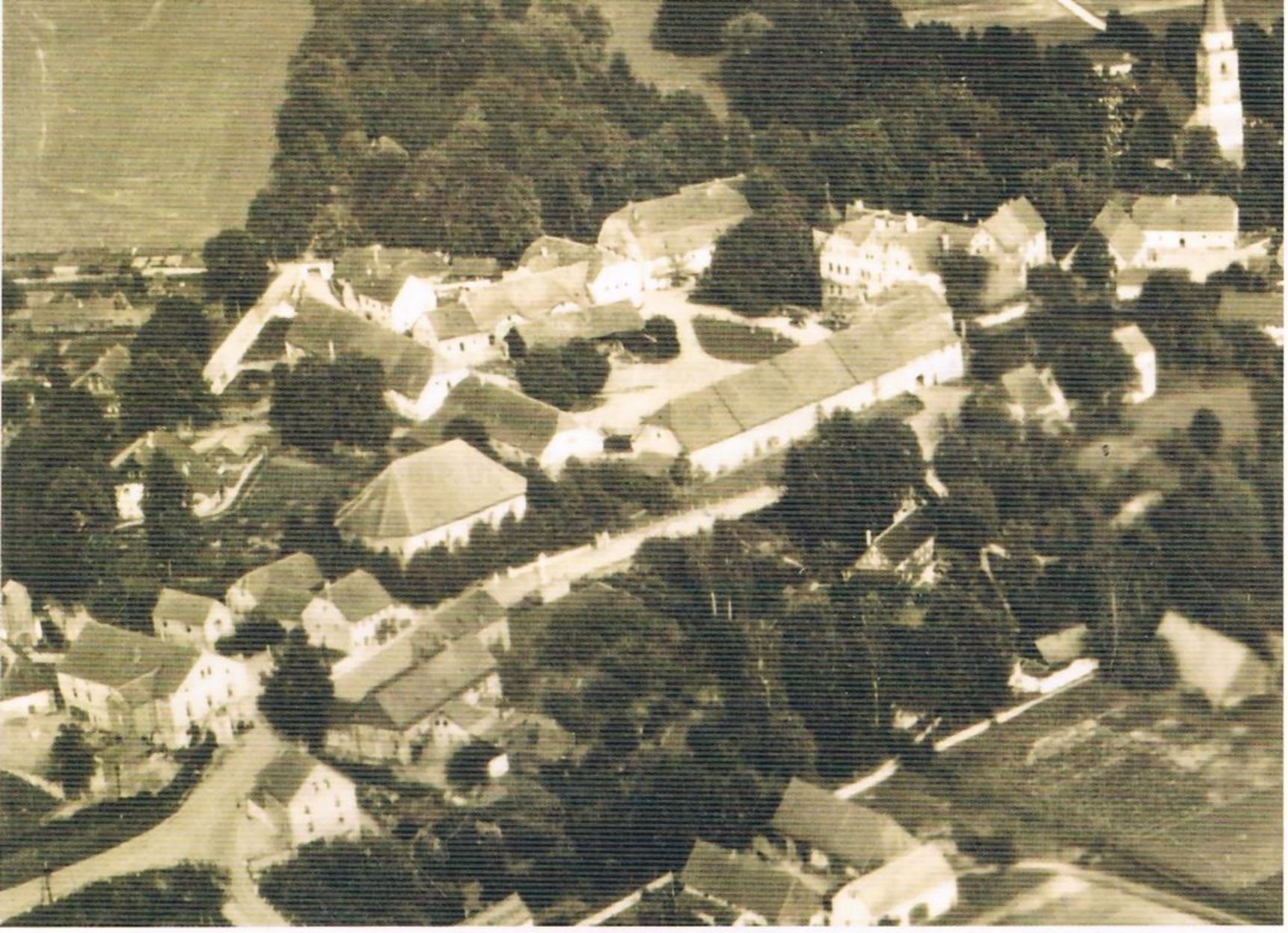

Zbór ewangelicki oraz folwark z zamkiem w Gościszowie ok. 1944 r. Fot. ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

gorzata Stankiewicz, autorka książki „Gościszów. Dzieje zamku".

Pod koniec wojny ważne było dla Günthera Grundmanna także i to, by transportowane eksponaty mogły być szybko przewiezione z wagonów kolejowych do przygotowanej składnicy. Gościszowski przystanek spełniał takie zadanie, znajdował się bowiem kilkaset metrów od miejsca docelowego przeznaczenia. A był nim murowany zbór ewangelicki, wzniesiony w latach 1754-1755. Założony na planie prostokąta o ściętych narożach posiadał okna w dwóch rzędach – zamknięte łukami odcinkowymi. Co prawda w sąsiednim Mściszowie znajdował się znacznie większy zbór, wzniesiony w drugiej dekadzie XIX stulecia i remontowany w 1899 r., lecz przez wieś nie przebiegała linia kolejowa. Przewagą gościszowskiej świątyni było również jej położenie przy skrzyżowaniu dróg, dających ewentualną możliwość wywozu dzieł w kilku kierunkach. Niemałe znaczenie miało także bardzo bliskie sąsiedztwo zamku, do którego w razie potrzeby można było przenieść „skarby". Los czasem jednak bywa nieprzewidywalny. Pozornie doskonała lokalizacja składnicy, była niczym wobec siły żywiołów…

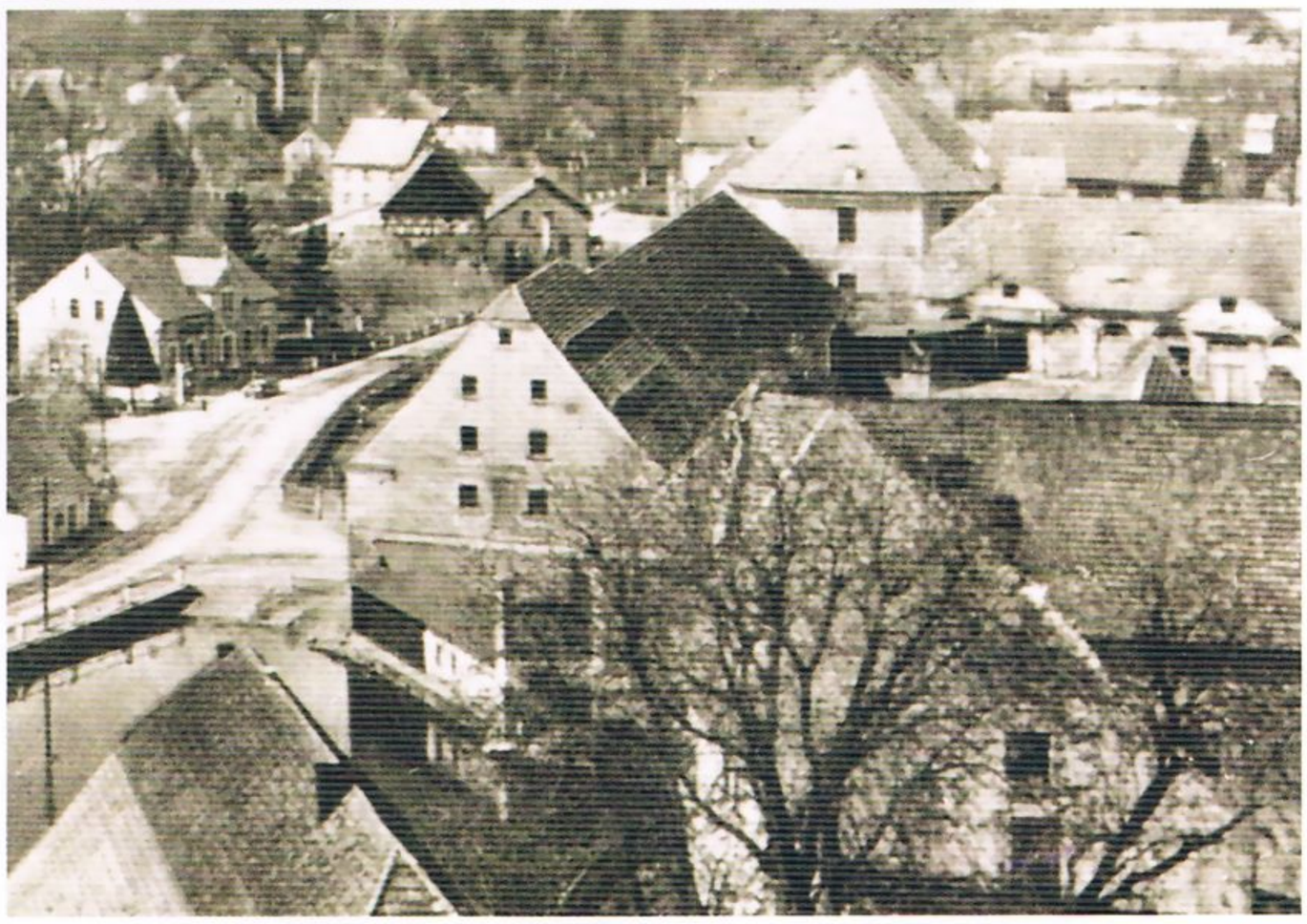

Centrum Gościszowa w okresie II wojny światowej, w tle budynek składnicy. Ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Składnica w świątyni

– *Około 1941 roku, w związku z nasileniem działań wojennych i groźbą bombardowań, nastąpiło przyspieszenie ewakuacji zbiorów z Preussischen Staatsbibliothek z Berlina* – mówi dr Keiser Stephan. – *Działo się to w sposób niesystematyczny i bez dokładnej dokumentacji. Skarby biblioteki ulokowano w ponad 30 depozytach; przede wszystkim w kopalniach, ale także w pałacach, kościołach i szkołach podległych prowincji. Razem z 30 depozytów złożonych pod koniec wojny, 11 było na Pomorzu i Śląsku, w sumie 680 000 tomów druków, jak i też innych materiałów. Z tego w Gościszowie ulokowano 280 000 tomów* – dodaje dyrektor Oberschlesisches Museum w Ratingen. Ogromna ilość cennych eksponatów stanowi dowód, jak ważna składnica znajdowała się obok zamku barona von Eggeling.

Zacznijmy jednak od początku. W pierwszych dniach listopada 1943 roku Günther Grundmann zlecił wykonanie wizytacji świątyni. Po otrzymaniu raportu nadał depozytowi specjalne znaczenie: *„Ławki są w bardzo dobrym porządku i zupełnie wytrzymałe. Podłoga z desek sięga od ołtarza, aż do wysokości ławek do siedzenia; na niej także można zmagazynować książki. Potem można kłaść deski ponad nimi i na nich układać nowe książki. Tak samo mocne są empory. Jestem przekonany, że gościszowski dom modlitwy można przekształcić w magazyn książkowy"*.

Wysyłka ogromnej liczby książek nadeszła, jak planowano, koleją. Po opróżnieniu Preußische Staatsbibliothek w Berlinie, w dniach od 31 grudnia 1944 roku do 6 stycznia 1945 roku wysłano do Gościszowa 6 wagonów wypełnionych rozmaitymi zbiorami. Drugi etap polegał na wysłaniu, po krótkiej przerwie, kolejnych 12 wagonów. Podróż z Berlina do Bolesławca i dalej do Gościszowa zajęła 2 dni. W celu ograniczenia uwagi niepotrzebnych świadków, wagony wynajęto od miejscowej firmy meblowej, a ponadto w kilku z nich umieszczono zaufanych ludzi przebranych w wiejską odzież. Berlińskie zbiory znakomicie wytrzymały transport i w dobrym stanie trafiły do dwustuletniego zboru. Prace przy składowaniu książek zakończono 2 lutego 1944 roku. Było ich tak dużo, że zajmowały całą nawę kościoła, aż do ołtarza. Magazynier Johannes Brede, który nadzorował akcję i był za nią odpowiedzialny, tak pisał 4 lutego w swoim sprawozdaniu: *„Książki są ułożone w 3 wielkich blokach, około 2-2,5 m wysokich. Przykrycie zbiorów od strony okna i od wpadającego przezeń światła nastąpi, kiedy odpo-*

wiedzialny za to kościelny Paul Wieland przyśle papier. Tymczasem obficie wyłożono środek na myszy". Efekt wizualny akcji uzupełniają słowa Kurta Tautza, od lat zajmującego się losami Preußische Staatsbibliothek: *„Powstała tu ściana w szerokim, wysokim wnętrzu, można odnieść wrażenie, że książki są materiałem budowlanym".*

Książki starano się układać zgodnie z numeracją sygnatur, jednak wykonywano to w takim pośpiechu, że następowały pomyłki i przemieszczenia. Na tym etapie prac, we wnętrzu gościszowskiej świątyni złożono książki z Głównej Czytelni, w tym Wielką Czytelnię i zbiory specjalne z dwóch innych sal: – *Poleceni, pracujący na Łużycach i w Jeleniej Górze referenci (biuro informacji i katalogowanie), mieli kierować pracą na przełomie kwietnia i maja oraz we wrześniu 1944 roku. Do pomocy wyznaczono Johannesa Brede, który zajmował się naukowym i technicznym opracowaniem wybranych książek z Czytelni* – potwierdził inny badacz dziejów Preußische Staatsbibliothek, Werner Schochow.

Co dokładnie, i w jakiej ilości znajdowało się w ewangelickiej świątyni? Oprócz wartościowych druków trafiły tutaj rozmaite akty, starodruki i książki. Według raportu w pierwszej dostawie przybyło 56 tysięcy, a w drugiej 225 tysięcy tomów. Znalazły się tutaj rękopisy z Wielkiej Czytelni (ok. 30 tys. tomów) oraz znaczna część z Oddziału Rękopisów. Spośród publikacji o charakterze tematycznym na podłogę zboru trafiły księgi z Działu Teologii, dotyczące historii Niemiec, a także duża część zbiorów specjalnych (m.in. kilkanaście tysięcy tomów dotyczących I wojny światowej) oraz bliżej nieokreślone zbiory prywatne.

Zamek w Gościszowie, stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

Wycieczka rowerowa miejscowych dziewcząt. W tle gościszowski pałac. Gościszów 22 VIII 1935 r. Ze zb. Dietera Fiebigera.

Dworskie skarby

Kilkadziesiąt metrów od XVIII-wiecznej świątyni znajdowała się niegdyś wspaniała rezydencja, sięgająca swymi początkami w czasy średniowiecza, która wraz z upływem stuleci zmieniała wygląd w wyniku kolejnych przebudów. Po śmierci Caspara von Warnsdorfa w 1631 roku Gościszów na ponad 300 lat trafił w ręce rodziny von Bibran-Modlau i w nieprzerwanym dziedziczeniu (ostatnie stulecie w linii żeńskiej) pozostał w jej posiadaniu do końca II wojny światowej. W 1828 roku, na podstawie recesu spadkowego, posiadłość za sumę 100 tys. talarów otrzymali: Egon Gustaw von Schönberg oraz jego żona z domu von Bibran-Modlau. Co prawda pełnił on obowiązki królewskiego szambelana, jednak w każdej wolnej chwili starał się podróżować po świecie. Przez pewien czas posiadał nawet rezydencje w Paryżu i Rzymie. Był niezwykłym człowiekiem. Nader wykształcony, mówiący biegle po włosku i francusku, w duszy romantyk. Zapamiętany został przez potomnych również ze względu na przyjaźnienie się z najwybitniejszym niemieckim poetą i dramaturgiem przełomu XVIII i XIX stulecia – Johannem Wolfgangiem von Goethe. Pewnego dnia zdecydował się sprzedać swoją posiadłość w Wenecji i przewieść niektóre elementy z wyposażenia do Gościszowa! W dolnośląskim pałacu powieszono przepiękne obrazy, ustawiono ozdobne meble i przedmioty codziennego użytku, zamontowano także wielkie i zdobione drzwi weneckie. Ponadto nad otworami drzwiowymi w parterowej sieni zawieszono miedziane tablice z filozoficznymi sentencjami. W rozległym parku znalazło się też wiele późnobarokowych rzeźb, nie mających sobie równych w okolicy: – *Egon Gustaw założył na północ od zamku rozległy ogród w stylu angielskim. W celu łatwiejszego przedostania się z zamku do parku, z pominięciem wyjścia przez folwark, kazał wykuć też nowy przejazd w murze obwodowym i umieścić nad nim herb Schönberg-Bibranów. Miał on zakupić około 1850 roku we Francji kilkanaście kamiennych rzeźb późnobarokowych ukazujących postaci historyczne oraz nawiązujące do mitologii antycznej. Przed fasadą stały na wysokich postumentach cztery z nich: Ludwik XIV, Joanna d'Arc, Laoko-*

Zniszczona fasada zamku w Gościszowie, stan w 1964 r., Źródło: Internet.

on i Mojżesz. W parku była Niobe, a przed „Domem Kawalerów" jeszcze jedna rzeźba. Na moście od strony północnej, ustawiono sześć figur, między innymi: Demeter z kłosami zboża we włosach i koszem owoców, Florę (córka Demeter) z wieńcem kwiatów, Bachusa oplecionego winną latoroślą i Prometeusza z płomienistą wazą przy nodze, a także dwie damy w bogatych, barokowych strojach. Ponadto jedna z rzeźb przedstawiała Hermesa. Były to rzeźby o dużej wartości artystycznej – twierdzi Małgorzata Stankiewicz.

Po śmierci właścicieli cennym majątkiem władały ich dzieci i wnuki, które pozostawiły w pałacu dawne wyposażenie. Ostatnimi prawowitymi właścicielami pałacu był Karl von Eggeling i jego żona Hildegarda. Oni to zaplanowali gruntowną przebudowę mającą na celu przywrócenie rezydencji pierwotnego – gotycko-renesansowego wyglądu. Konieczność wykonania wielu badań, w tym także archeologicznych, dokonania odpowiednich pomiarów i odrysowania istniejących jeszcze sgraffit, które zamierzano zrekonstruować, przygotowanie specjalnej zaprawy itd., spowodowały, że inwestycja musiała być realizowana przez wiele lat. Pierwsze przygotowania zaczęto czynić już w latach 30. – *Jeszcze w 1938 roku prowadzono stosowne rozmowy z generalnym konserwatorem prowincji dolnośląskiej Güntherem Grundmannem, który w związku z tą sprawą wielokrotnie przyjeżdżał do Gościszowa. Realizacja całego projektu planowana była na rok 1950!* – dodaje wrocławska historyk sztuki.

Z lakonicznych opisów źródłowych, bezpośrednich relacji świadków i analizy zdjęć, udało się tylko w niewielkim przybliżeniu ustalić, co znajdowało się we wnętrzach zamku. Oddajmy zatem głos osobie, która od kilku dekad bada historię tego zapomnianego obiektu. – *W Gościszowie istniała przede wszystkim znakomicie zaopatrzona biblioteka. Nie wiadomo właściwie, gdzie mieściła się za czasów Caspara von Warnsdorfa. Do 1945 roku znajdowała się na parterze traktu dziedzińcowego pałacu, w miejscu dawnej kaplicy. W latach 1930-1934 skatalogowano zbiory, najcenniejsze egzemplarze częściowo skopiowano, a kopie złożono we wrocławskiej Schlesische Landesbibliothek (dzisiejsza Biblioteka Uniwersytecka na Piasku, która została zbombardowana w czasie wojny tracąc dużą część swoich zbiorów). Znajdowały się tam liczne dokumenty średniowieczne z pieczęciami, dzienniki Bibranów z XVII-XVIII wieku, księgi czynszowe, korespondencje z Mikołajem Kopernikiem, ze śląską rodziną Parlerów, wreszcie, z Antonym van Leeuwenhoekiem – odkrywcą mikroskopu, od którego pochodziły też wczesne preparaty. Były również liczne instrumenty muzyczne i astronomiczne, a w jednej z sal na pierwszym piętrze wisiały sztychy Friedricha Bernharda Wernera z widokami zamku (zaginione), a także portrety Caspara von Warnsdorfa, sztychowany i olejny. W szerokim, sklepionym przejściu do parterowej sieni, podtrzymywanym przez dwie pary klasycyzujących kolumn, umieszczono dwa obrazy wyobrażające naturalnej wielkości postacie Nickiela von Bibran i jego żony z domu von Haugwitz. W jadalni, na pierwszym piętrze, wisiały całopostaciowe portrety Bibranów. Natomiast przy wyjściu z sieni na dziedziniec stał wysoki (ok. 1,2 metra) kamień z płaskorzeźbioną figurą św. Floriana. Przedstawiał rycerza w zbroi, ze skrzydłami, oraz wizerunek płonącej wsi. Na terenie zamku stały też cenne meble, między innymi gotycka szafka o wymiarach 3,5×2,5 metra, szafa florencka z XVI wieku, obok niej dostawiony do starszego kominka piec z miśnieńskiej porcelany, kupiony przez marszałka dworu króla saskiego* – wymienia kolejno autorka książki „Gościszów. Dzieje zamku".

Spalone, czy zaginione?

Po dotarciu informacji o zajęciu przez wojska radzieckie położonego kilkanaście kilometrów dalej Bolesławca (12 lutego), zarządzono częściową ewakuację Gościszowa. Następnie przygoto-

Zamek w Gościszowie w połowie lat 60. XX w., widok od ulicy. Reprodukcja ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Zamek w Gościszowie na kilka lat przed zniszczeniem, w lutym 1945 r. Ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

wano stanowiska strzeleckie, których celem była ochrona dróg prowadzących do Lubania oraz przebiegającej w pobliżu linii kolejowej. Wieczorem 13 lutego czerwonoarmiści mieli zbliżyć się do centralnej części wsi oraz położonego nieopodal Milikowa i Nowogrodźca (53. Brygada Pancerna Gwardii), co doprowadziło do kontrataku wojsk niemieckich. Ponieważ w trakcie nalotu niemieckiego bombowca zauważono oddziały radzieckie stacjonujące na folwarku wokół zamku, zrzucono pociski, z których część trafiła przypadkowo w kilka budynków. Jednym z nich był gościszowski zbór ze swoim drewnianym pokryciem dachowym i wyposażeniem. Po kilkunastogodzinnym pożarze przetrwały wyłącznie ściany nośne.

Wśród części poszukiwaczy skarbów funkcjonuje opinia, jakoby zgromadzone tutaj księgi Preußische Staatsbibliothek zostały wcześniej zabrane. Niestety, jest to mylny pogląd: – *W dniu 14 lutego po raz pierwszy Rosjanie zajęli częściowo spalone miejsce, i nikt nie myślał o gaszeniu palących się książek. Jeszcze w maju tegoż roku można było rozróżnić zwęglone tomy książek. Pozostały popioły i puste otwory okienne, a wewnątrz i zewnątrz wyrosła roślinność* – twierdzi na podstawie relacji ówczesnych mieszkańców wsi Werner Schochow. – *Pierwsze informacje o pożarze kościoła, ale jeszcze nie o zniszczeniu zbiorów, dotarły do Berlina listownie w grudniu 1945 roku, od ostatniego pastora Helmuta Kleina, z jego nowego miejsca pobytu w klasztorze Lehnin* – dodaje niemiecki badacz. Informacje o zwęglonej podłodze i spalonych książkach potwierdzają się także w relacjach pierwszych polskich osadników.

Ogień strawił również zamek. Ponoć z pożaru nie zdołano uratować niczego z jego przebogatego wyposażenia; w kupki popiołu zmieniały się książki, dokumenty, obrazy, meble oraz zbiory dzieł sztuki gromadzone tu przez kilka ostatnich stuleci. Oczywiście znacznie popularniejsza jest powojenna historia, jakoby Rosjanie w połowie lutego 1945 roku dokonali we wsi grabieży wartościowszych dlań przedmiotów, po czym celowo podłożyli ogień w świątyni ewangelickiej oraz w zamku. W rzeczywistości nie wiadomo, czy właściciele zdołali wcześniej zabrać ze sobą cenniejsze przedmioty na Łużyce, gdzie znaleźli swój nowy dom. Z całą pewnością część rzeczy ukryli w nadziei, że wrócą tu po zakończeniu wojny. Świadczy o tym powojenne znalezisko sreber schowanych w wylocie kominowym. Dziś stan ruin i zniszczone otoczenie dowodzą, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat wielokrotnie poszukiwano tutaj skarbów, bądź cenniejszych detali architektonicznych (portale, obramienia okienne, rzeźby).

Gościszów to nie tylko dwie świątynie i zamek. Kierując się drogą w kierunku Lwówka Śląskiego, po lewej stronie, na zboczu niewielkiego wzniesienia, znajdują się malownicze ruiny Górnego Dworu. Mieszkająca w nim niemiecka pisarka Gertruda Bäumer w końcowym okresie II wojny światowej pozostawiła tutaj wiele rzeczy osobistych, korespondencję oraz książki. W tym samym miejscu miało dochodzić do tajnych spotkań oficerów spiskujących przeciwko Hitlerowi. Czy to prawda? Opowiem o tym innym razem…

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy"; „Napoleon nad Bobrem i Kwisą. Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku".

Tropem ostatniego lotu He-111

TEKST: MICHAŁ ŁAŁAK „BEAVISO"
ZDJĘCIA: KAROLINA DOMBROWSKA, MIROSŁAW WEGNER, STOWARZYSZENIE „DENAR"

Dźwięk silników lotniczych tym razem był jakiś inny, jakby bardziej natarczywy. Ich ryk narastał. Woźnica, prowadzący zaprzęg drogą na południe od Gierzwałdu, uniósł głowę w porę, by ujrzeć znajomy, widywany przecież na niebie od kilku lat charakterystyczny kształt wielkich skrzydeł bombowca He-111. „Die-Spaten-He" w niekontrolowanym locie szybko zbliżał się ku ziemi. Zdecydowanie nie był to taki lot, jaki widział we wrześniu 1939, gdy formacja Heinkli podążała wysoko z bombami na Warszawę. Po chwili samolot uderzył w niewielki zagajnik, a jego szczątki z impetem spadły na sąsiadujące z nim pole. Katastrofa!

Walcząc ze zwykłą, ludzką ciekawością, woźnica nie pobiegł wprost do wraku, lecz powściągnął emocje i popędził konie, by jak najszybciej dostać się do telefonu w najbliższym urzędzie pocztowym. Wkrótce na miejscu zdarzenia pojawiła się zaalarmowana żandarmeria. Tylko po to, by stwierdzić, że samolot uległ doszczętnemu zniszczeniu, a jego załoga nie miała lotniczego szczęścia…

Tak mogły wyglądać zdarzenia, które, wg relacji sędziwej mieszkanki Gierzwałdu (niem. Geierswalde), miały miejsce w kwietniu 1944 roku, na krótko przed jubileuszem urodzin Führera. Odkrywcy wraku poznali ją drugiego dnia prac, gdy wśród mieszkańców Gierzwałdu przyglądających się efektom, pojawiła się osoba pamiętająca to wydarzenie.

Członkowie elbląskiego Stowarzyszenia Historyczno-Poszukiwawczego „Denar", na czele z prezesem Grzegorzem Nowaczykiem, od pewnego czasu weryfikowali zasłyszaną hipotezę mówiącą o wraku niemieckiego samolotu na polu pod Gierzwałdem, położonym w woj. warmińsko-mazurskim, niedaleko historycznych pól bitewnych Grunwaldu. W pracy tej mieli znaczących sprzymierzeńców w osobach właścicieli terenu – rodziny pana Jerzego Głowackiego z Frygnowa. Pierwsze prace pozwoliły na odkrycie pojedynczych elementów, które bezspornie świadczyły o tym, że poszukiwacze mają do czynienia z wrakiem maszyny He-111, niemieckiego bombowca, którego choć odrobinę obeznanym w historii lotnictwa, nie trzeba przedstawiać. Zapadła decyzja o przeprowadzeniu wydobycia szczątków maszyny.

Stowarzyszenie „Denar", które dzięki swojemu profesjonalnemu podejściu do eksploracji nieraz zdobywało przychylność urzędów decydujących o zgodzie na prowadzenie poszukiwań, i tym razem nie miało problemów z uzyskaniem niezbędnych zezwoleń. Aprobata właściciela terenu była czystą formalnością. Do uczestnictwa w pracach został skierowany arch. z elbląskiego Muzeum Archeologiczno-Historycznego, pan Grzegorz Stasiełowicz.

Prace rozpoczęły się od badania gruntu magnetometrem. Żartobliwie nazwany patefonem, jest ulubioną „zabawką" Marcina Tomaszewskiego „Herussa" z Sekcji Historyczno-Eksploracyjnej Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Strzałka magnetometru pokazała, gdzie poszukiwacze powinni skupić swoje wysiłki. W połowie lipca członkowie „Denara" przygotowali, z pomocą właściciela gruntu, teren pod wykopaliska – wykarczowano dziką roślinność, wykonano wjazd na pole dla samochodów osobowych oraz rowy melioracyjne mające za zadanie choć częściowo odwodnić miejsce, w które miała wbić swą łychę koparka – a należy dodać, że grunt tam jest grząski i dość silnie podmokły.

W końcu, w piątek 16 sierpnia na miejscu zjawiła się ekipa „Denara" wspomagana przez kolegów z sopockiego TPS. Wielu z nich z rodzinami i przyjaciółmi, chętnymi do pomocy, lub po prostu ciekawymi tego, co miała oddać po blisko 70 latach ziemia. Czas ku temu był doskonały – długi, świąteczny weekend, piękna pogoda. W tym miejscu

Zamiast stu łopat – Pan Jerzy Głowacki chętny do pomocy.

Nie wszystko zrobi za nas koparka – eksploratorzy z narzędziem nr 1…

trzeba koniecznie wspomnieć o tym, co poszukiwaczy ucieszyło – miejsce chętnie odwiedzali spacerowicze z Gierzwałdu, zatrzymywały się przejeżdżające drogą samochody, ludzie nieśmiało, ale z zaciekawieniem zadawali pytania. Jeśli choć jeden z obecnych tam młodych gości spojrzał następnie do internetu, aby poszukać informacji o nieznanym mu dotąd Heinklu 111, to poszukiwacze spełnili również edukacyjną rolę. W końcu nie tylko „grzebanie w ziemi" jest celem dojrzałego eksploratora, ale i kształtowanie świadomości poznawczej oraz wiedzy historycznej.

Prace przy wraku He-111 trwały do końca soboty, zaś w niedzielę, 18 sierpnia, wykopane elementy zostały zebrane. Będą przekazane do Muzeum Lotnictwa i Techniki Militarnej w Rogowie, gdzie w poniemieckim hangarze nadmorskiego lotniska z pewnością znajdzie się miejsce na ich ekspozycję. Na razie niewielkie, bowiem poszukiwaczy mimo wszystko zaskoczył stan wraku, który uległ rozbiciu na tysiące powykręcanych na wszystkie sposoby elementów… Na pewno w ziemi nie zalegały do dzisiaj wszystkie jego szczątki – brakowało większych fragmentów poszycia. Przypuszczalnie ten cenny materiał został tuż po katastrofie zebrany z powierzchni przez specjalizującą się w demontażu wraków ekipę niemiecką – w końcu notoryczne braki w zaopatrzeniu w metale kolorowe były jedną z największych bolączek niemieckiego przemysłu. To, co zaryło się głębiej, zostało dla odkrywców po 69 latach. Wśród wydobytych artefaktów, które wzbudziły najwięcej emocji był portfel z dokumentami niemieckiego lotnika i niemal kompletne, choć mocno sfatygowane od uderzenia w ziemię, dwucentymetrowe działko lotnicze MG FF, instalowane w stanowisku dziobowym. I, jak to w życiu poszukiwacza bywa, gdy wykrywacz ma zwykle trochę za mały zasięg, tym razem to ramię koparki okazało się zbyt krótkie. W szybko podchodzącej brunatną wodą ziemi pozostały te największe elementy, które wcześniej dawały silne wskazania magnetometru. Poszukiwacze brodzący w błotnistej mazi wyraźnie je czu-

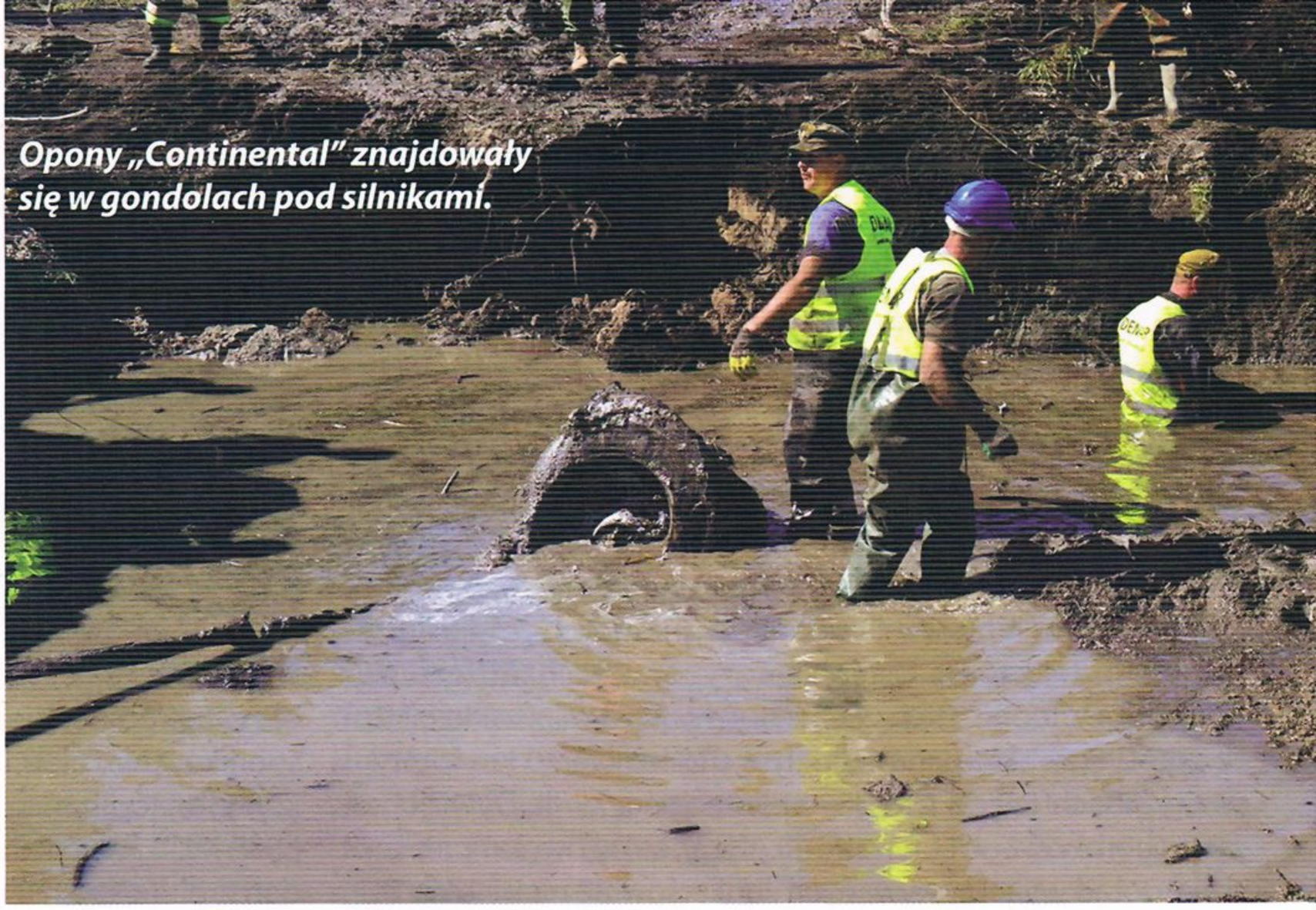

Opony „Continental" znajdowały się w gondolach pod silnikami.

Działko lotnicze MGFF ze stanowiska obserwatora-bombardiera w nosie samolotu.

Tabliczka znamionowa wyposażenia wyrzutników bombowych Heinkla 111 H-11.

li, chodzili po nich… To niemal z pewnością silniki JUMO 211 – na powierzchnię wydobyto elementy wydechu jednego z nich. Tym razem jednak ich wydobycie nie powiodło się. Silniki muszą zaczekać w konserwującym je środowisku do czasu, gdy poszukiwacze zjawią się ponownie, tym razem z większą i silniejszą koparką. A stan zachowania wydobytych już szczątków, brak jakiejkolwiek korozji, pozwala sądzić, że i silniki zachowały się w równie doskonałym stanie.

Członkom „Denara" i TPS w wykopaliskach pomagał właściciel gruntu, jak również strażacy z lokalnej jednostki OSP. Swą przychylność okazał wójt gminy Grunwald, pan Henryk Kacprzyk. Im wszystkim, jak również wszelkim oso-

Elementy goleni podwozia głównego.

Masa równoważąca stery kierunku – element Heinkla.

bom zaangażowanym w to przedsięwzięcie, należą się serdeczne podziękowania, które niniejszym składamy.

Na koniec kilka słów o identyfikacji samolotu. Poszukiwacze nie czekając na efekt profesjonalnych prac konserwatorskich m.in. nad weryfikacją właściciela odnalezionego portfela z dokumentami, sami snują domysły w oparciu o informacje dostępne w internecie. A tych, wbrew pozorom, jest całkiem sporo. Wymagają zatem złożonej analizy, by wyłowić spośród nich te najbardziej prawdopodobne hipotezy. Autor tej relacji, który znacznie lepiej czuje się wśród pisemnych źródeł aniżeli w błotnistej kąpieli, wstępnie wytypował najbardziej prawdopodobną teorię. Otóż w czasie, gdy miała miejsce katastrofa pod Gierzwałdem, na odległym o zaledwie 20 km lotnisku w Gryźlinach (niem. Grieslienen) stacjonował III. Dywizjon 3. pułku bombowego Luftwaffe (III./KG 3), który ówczas przechodził z dotąd wykorzystywanych Junkersów 88 na Heinkle 111, sformowany na nowo w lutym 1944 r. w oparciu o personel II./KG 51, a więc jednostki również latającej wcześniej na Ju-88. Piloci wymagali zatem przeszkolenia przed rozpoczęciem lotów na Heinklach, których 36 sztuk zasiliło dywizjon w Gryźlinach w maju 1944 – i, nota bene, jeszcze w tym samym miesiącu dwa z nich uległy zniszczeniu. Wcześniej, właśnie w kwietniu, a więc wówczas, gdy opisywane zdarzenie miało według mieszkanki Gierzwałdu miejsce, wykonujący loty z Gryźlin III. Dywizjon KG 3 stracił 1 samolot – Heinkla 111 w wariancie H-11, a więc starszym niż wkrótce przydzielone jednostce samoloty wariantu H-16. Przyczyny należy upatrywać w błędzie pilota lub usterce technicznej. Wariant H-11 był pod pewnym względem charakterystyczny – cechował się bowiem unikalnym dla całej rodziny Heinkli 111 systemem podwieszeń bomb i zasobników, w całości opartym na zaczepach zewnętrznych, wykorzystujących m.in. moduły uzbrojenia zapalników bomb typu EBSE XII. A właśnie taki element poszukiwacze wydobyli jako jeden z pierwszych. Do tego działko MG FF oraz uchwyt najcięższego karabinu maszynowego MG 131, które również wspólnie występowały w wersji H-11, co nie pozostawia żadnych sprzeczności w dokładnym określeniu typu maszyny, która zakończyła swój wojenny żywot na polu pod Gierzwałdem. Czy był to właśnie ten He-111 H-11, który stracił wówczas III./KG 3? Liczymy, że najbliższa przyszłość przyniesie odpowiedź na to pytanie.

Michał Łałak „beaviso"

Zaprzyjaźniony z eksploratorami skupionymi w sopockim TPS, od niemal 10 lat, w wolnym czasie, prowadzi amatorskie badania związane z militariami i historią. Swoją uwagę skupia na niemieckiej radiolokacji, walkach na Pomorzu Gdańskim w 1945 roku i bitwie pod Komarowem wroku 1914. Wielbiciel muzyki Iron Maiden i piwa Amber Koźlak.

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR

samochody zabytkowe i klasyczne

motocykle zabytkowe i współczesne

części

renowacja pojazdów

pojazdy wojskowe

akcesoria

dawna technika

militaria

literatura

starocie

gadżety

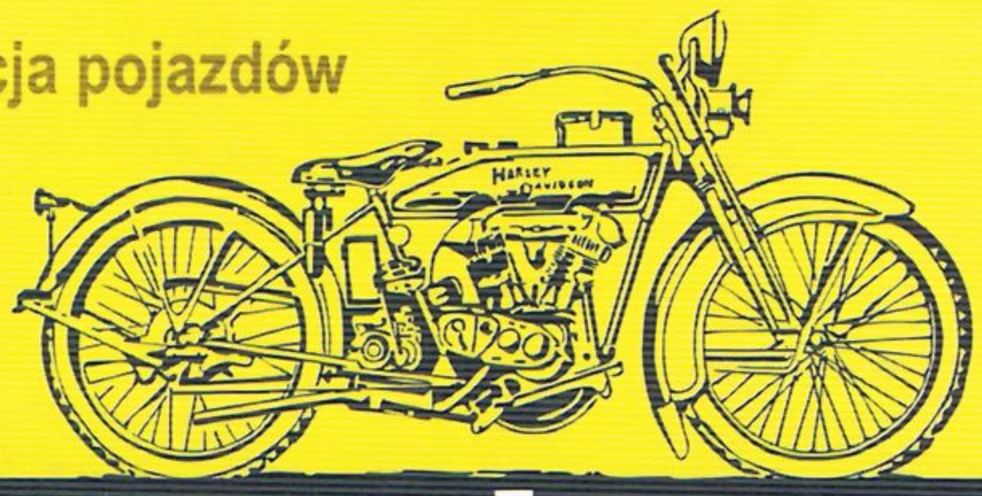

7-8 WRZEŚNIA 2013

ŁÓDŹ - STADION "START" - UL. TERESY 56

PONAD 50 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia giełdy 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 20-letnia tradycja.
Zapraszamy do Łodzi! Informacje - tel.: 42 205 44 33, 602 328 837
www.motoweteranbazar.com

Kiedy poznamy tajemnicę Szybu Południowego?

TEKST I ZDJĘCIA: MACIEJ BARTKÓW

Tajemnica związana z Szybem Południowym nieistniejącej już dzisiaj kopalni „Miechowice" rozpala wyobraźnię badaczy i poszukiwaczy już od przeszło 50 lat. Prace przy jego budowie rozpoczęto w roku 1907, a do użytku oddany został w 1911, pełniąc rolę szybu wentylacyjnego i częściowo zjazdowego. W roku 1934, w wyniku wyczerpywania się pokładów węgla w polu południowym oraz wskutek uszkodzenia szybu wywołanego wybieraniem węgla z jego filara ochronnego, został on, jako zbędny, otamowany i wyłączony z użytku. Stan taki trwał do roku 1944, kiedy to nieczynnym, położonym na uboczu i otoczonym lasem obiektem zainteresowali się SS-mani. Wówczas to pod nadzorem ściągniętej do Miechowic specjalistycznej firmy z Westfalii, rozpoczęto prace zmierzające do rekonstrukcji szybu i odbudowy jego podszybi. Działania te utrzymywano w ścisłej tajemnicy, czego potwierdzeniem może być dzisiaj fakt, iż w archiwum dawnej kopalni „Prusy" (tak nazywała się wówczas późniejsza kopalnia „Miechowice"), nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące zakresu, przebiegu czy celu prowadzonych robót. Co w tej historii najdziwniejsze, po zakończeniu prac, na przełomie lat 1944/45, dopiero co odrestaurowany szyb został przez nazistów… wysadzony w powietrze. Co mogło być powodem tego – wydawałoby się – logicznie niewytłumaczalnego czynu? Na pewno nie była nim chęć unieruchomienia kopalni. Szyb Południowy w żaden sposób nie był konieczny dla zapewnienia normalnej pracy górniczej przedsiębiorstwa, zresztą gdyby Niemcy chcieli na długi czas wyłączyć kopalnię z użytkowania, to wysadziliby nie tylko ten jeden, peryferyjny szyb, ale także wszystkie inne, z najważniejszymi na czele.

Wyjaśnieniem zagadki są wydarzenia, jakie rozegrać się miały w okolicy Szybu Południowego tuż przed jego wysadzeniem. Wtedy to, jak na łamach „Życia Bytomskiego" pisał już w 1962 roku Jan Wyżgoł: *„W ciszy nocnej, nad gęstymi zaroślami za kopalnią stale rozlegał się szum i warkot motorów. W mroku docierały pod teren szybu kolumny transportowe samochodów ciężarowych. Z czym przyjeżdżały? Co wywoziły? Czas płynął w gorączkowej atmosferze. Mroźny styczeń 1945 roku spotęgował wśród hitlerowców popłoch i niepokój. Gdy ofensywa armii radzieckiej zbliżała się do granic Śląska – pod ciemnym niebem zaśnieżonego »Szybu Południowego« zawisły groza i śmierć. Pewnej nocy styczniowej głuche detonacje przeszyły ciszę i… szyb znowu zamarł."* W swoich czeluściach pogrzebał tajemniczy, złożony z wielu różnej wielkości skrzyń ładunek, jaki Niemcy ukryli w chodniku na głębokości 370 m. Nigdy nie wyjaśniono, co było ich zawartością, a temat ten z biegiem lat zaczął obrastać licznymi hipotezami, z których najpoważniejsze to te, według których w szybie ukryto nieodnalezione do dzisiaj archiwum katowickiego gestapo, zrabowane przez Niemców dzieła sztuki lub również pochodzące z rabunku złoto i kosztowności. Nie brakowało także hipotez mówiących o ukryciu w czeluściach szybu części nowych broni, a nawet o funkcjonowaniu tam podziemnej fabryki zbrojeniowej. Zdaniem niektórych, w szybie znaleźli śmierć więźniowie polityczni i jeńcy wojenni wykorzystani do rekonstrukcji szybu i jego podziemi.

W latach 1968-1980 śledztwo w sprawie możliwości popełnienia w tym miejscu zbrodni wojennej prowadziła, pod kierunkiem prokuratora Zygmunta Brzyckiego, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach. Niestety, podjęte przez nią działania nie przyniosły pożądanych rezultatów i nie przyczyniły się w żaden sposób do rozwiązania tajemnicy szybu. W 1980 roku, oficjalnie, w związku z brakiem możliwości spenetrowania podziemi, śledztwo zostało umorzone, a jego dokumentacja trafiła na długie lata do archiwum, gdzie spoczęła obok wielu innych niewyjaśnionych do dzisiaj spraw.

Gdy wydawało się, iż wszystkie szanse na rozszyfrowanie tajemnicy zostały już – nomen omen – pogrzebane, umorzone 30 lat wcześniej śledztwo, wobec zaistnienia nowych możliwości, podjął na nowo, w październiku 2010 roku, katowicki Instytut Pamięci Narodowej. Prowadzone przez prokuratora Dariusza Psiuka dochodzenie zmierza do uzyskania odpowiedzi na pytanie: czy w Szybie Południowym doszło do ludobójstwa. Pracownicy Instytutu szukają wszystkiego, co pomogłoby zweryfikować hipotezę o zamordowaniu w tym miejscu jeńców lub pracowników przymusowych przez żołnierzy niemieckich. Impulsem do wznowienia umorzone-

Wnętrze Szybu Południowego.

Tak obecnie prezentuje się Szyb Południowy.

go w 1980 roku śledztwa, było rozpoczęcie przez, sąsiadujący niemal z opisywanym miejscem, Zakład Górniczy „Siltech" starań zmierzających do uzyskania koncesji na wydobycie węgla, prowadzone w kierunku dawnych wyrobisk kopalni „Miechowice" – w tym przede wszystkim do Szybu Południowego. Jak się okazało z archiwalnych planów górniczych, w tzw. filarze ochronnym szybu jest jeszcze węgiel, którego wydobycie i sprzedaż okazać się może solidnym zastrzykiem finansowym dla prowadzącego tzw. eksploatację resztkową przedsiębiorstwa. Prawdziwa bomba wybuchła, gdy właściciel tej prywatnej kopalni Jan Chojnacki zapowiedział przebicie się do chodnika na poziomie 370 m, a więc dokładnie do tego, w którym Niemcy mieli ukryć tajemnicze skrzynie. Zakład może do niego dotrzeć z poziomu 330 metrów. Chojnacki powiedział wówczas jednemu z lokalnych dzienników: – *Zastanawiający jest fakt, że wycofujący się Niemcy zlikwidowali wieżę szybową i całą infrastrukturę na powierzchni. Wygląda to na dobrze przemyślaną robotę, zacieranie śladów i uniemożliwienie dotarcia do podziemi kopalni. Jeśli hitlerowcy rzeczywiście ukryli w tym rejonie cokolwiek, to z całą pewnością do tego dotrzemy.* Po uzyskaniu wszystkich koniecznych zezwoleń, „Siltech" – pod nadzorem katowickiego IPN – rozpocząć miał operację „Szyb Południowy".

Pierwszym terminem dotarcia do podziemi Szybu Południowego i ostatecznego rozwiązania jego zagadki, o czym ogłoszono publicznie, był październik 2011 roku. Niestety, z wielu względów, przede wszystkim formalnych, data ta nie została dotrzymana. Jak wyjaśniał J. Chojnacki, przeciągnięciu uległ termin wydania przez Ministerstwo Środowiska zezwolenia na wejście wyrobiskami „Siltechu" w teren nie objęty koncesją, a bez tego nie można było rozpocząć koniecznych prac rozpoznawczych. Także ówczesne władze Bytomia zwlekały z wydaniem stosownej opinii, a w związku z tym, iż wydobycie miało odbywać się na terenie naszego miasta, jej uzyskanie było nieodzowną częścią dokumentacji pozwalającej rozpocząć Zakładowi pracę. Przeciwności udało się jednak pokonać i w marcu 2012 roku prace górnicze ruszyły pełną parą. W ich trakcie nie obyło się bez sensacji. Już w maju środowisko badaczy tajemnicy zostało zelektryzowane informacją, jakoby już w tym miesiącu, dokładnie 4 maja udało się wydobyć na powierzchnię cztery pochodzące z czasów II wojny światowej skrzynie, zawierające niezidentyfikowany, acz zapewne cenny ładunek. O zdarzeniu takim jednak nie posiada żadnej wiedzy katowicki IPN, sam J. Chojnacki zaś stanowczo temu zaprzeczył.

Niemniej jednak niektórzy pracownicy „Siltechu" – anonimowo – komentując tę informację twierdzą, iż skrzynie faktycznie wydobyto w tym dniu, podając nawet czas – godzinę 14:00. Miały to być jednak nie skrzynie, ale – *pozostałości drewnianych kufrów. Nie można tego było nazwać skrzyniami, ani nie było tam żadnych swastyk*. W trakcie prac przygotowawczych do właściwego drążenia, na innym poziomie dokonano także kolejnego, ciekawego odkrycia. Nie było ono co prawda związane z tajemniczymi wydarzeniami przełomu 1944/1945 roku, niemniej jednak o tyle interesujące, iż wskazujące na potencjalną możliwość dobrego stanu zachowania ukrytych w podziemiach dokumentów. Otóż, jak poinformował w grudniu 2012 roku „Głos Zabrza i Rudy Śląskiej": *„Górnicy prywatnej kopalni »Siltech« penetrujący stare, kopalniane chodniki wydobywcze pod ziemią, odnaleźli wetkniętą w ocios pierwszą stronę gazety codziennej z 1968 roku! Zachowana niemal w idealnym stanie trafiła od razu w ręce właściciela kopalni Jana Chojnackiego, który teraz owego białego kruka przechowuje w swoim gabinecie. I zapowiada, że najprawdziwszy skarb jest dopiero do odkrycia. Pierwsza strona »Trybuny Robotniczej« z 29 lutego 1968 roku została odnaleziona na pokładzie nr 507 znajdującym się 240 metrów pod ziemią w wyrobisku eksploatowanym w międzywojniu. Wiadomo jednak, że w 1968 roku gazetę wetknął w ocios jakiś górnik ówczesnej KWK Pstrowski. »To jest zaskakujące, w jak doskonałym stanie ta 43-letnia strona śląskiej prasy zachowała się tam głęboko pod ziemią. Widocznie tak dobre, suche powietrze się tam znajdowało« – mówi Chojnacki, zapowiadając jednocześnie po raz kolejny, iż liczy na to, że na jednym z pokładów w tzw. szybie południowym może znajdować się prawdziwy poniemiecki skarb. Wiodący do niego szyb został zasypany dosłownie w ostatnich dniach wojny, a pracujący tam więźniowie nigdy już na powierzchnię nie wyjechali. Podkreśla, iż daje do myślenia, dlaczego właśnie ten szyb zamknięto, chociaż inne, podobne taki los nie spotkał. (…) Nie było przekonujących powodów do jego likwidacji, a więc może w legendach jest ziarnko prawdy. Bo dlaczego niby nagle zamyka się trudno dostępny, ukryty w lesie szyb, który mógł jeszcze działać?"*. Podobnie twierdzi kierownik robót górniczych ZG „Siltech", a jednocześnie osoba odpowiedzialna za przebicie się do chodnika prowadzącego do Szybu Południowego – Kazimierz Kasperek. W rozmowie z autorami telewizyjnego programu „Nie do wiary", którego jeden z odcinków poświęcony został właśnie tajemnicy Szybu Południowego, Kasperek mówi: – *Są różne wersje na temat tego szybu, byli świadkowie, których nawet znałem, bo tu się urodziłem na tej kopalni. Coś było lokowane, to jest pewne. Co jest w środku, tego nikt nie wie. Dotrzemy, będziemy wiedzieć.*

Jednocześnie podejmowano kolejne próby spenetrowania szybu z góry. W jednym z zimowych miesięcy 2012 roku przeprowadzono eksplorację obiektu, zakończoną ponownym dotarciem do poziomu 210 m. W miejscu tym znajduje się pierwszy chodnik (szyb ma takich trzy, na poziomach: 210, 370 i 520 metrów), który po raz pierwszy zdobyty został w lutym 2011 roku przez trzech, pochodzących z różnych miejsc w kraju, eksploratorów. Tym razem zejścia dokonali mieszkańcy naszego województwa, potwierdzając ustalenia poczynione przez swoich poprzedników. Jak mówi jeden z nich: – *To wyprawa naprawdę ekstremalna. Poniżej pewnego poziomu woda leje się niemal wszędzie, a nad głowami znajdują się elementy obudowy i gruzu, które przy jakimś nieostrożnym ruchu w każdej chwi-*

li można strącić. W wyniku oględzin wnętrza szybu i chodnika stwierdzono także, iż dotarcie z góry do poziomu 370 m a więc tego, gdzie najprawdopodobniej został ukryty tajemniczy ładunek, jest niemożliwe ze względów bezpieczeństwa.

Tymczasem ze strony „Siltechu" pada kolejna data. Po terminie wiosenno-letnim 2012 roku okazuje się, iż możliwość rozwiązania tajemnicy może mieć miejsce najwcześniej latem 2013 roku. Rodzą się także wciąż nowe niejasności, i co w tej sytuacji naturalne – plotki. W styczniu 2013 r. okazuje się, iż pracownicy „Siltechu" przejechali przez stare zroby i przedostali się do pokładu 504, znajdującego się w rejonie Szybu Południowego. Jak powiedział wówczas J. Chojnacki jednemu z lokalnych tygodników branżowych: *„To jest głębokość 330 metrów, zaś domniemany skarb może się kryć na poziomie 370 metrów. Ten poziom wykonany jest w wyrobisku kamiennym. Teraz, po wykonaniu wyrobiska w pokładzie 504, spróbujemy wykonać odwiert do przekopu na poziomie 370 metrów i specjalistyczną kamerą spenetrować to wyrobisko".* Wśród mieszkańców Zabrza niemal natychmiast zaczyna krążyć informacja, przekazana rzekomo przez jednego z młodych górników zatrudnionych w „Siltechu", jakoby odwiert został już wykonany, a szyb spenetrowany za pomocą kamery dostarczonej przez IPN. Co w tej sprawie najciekawsze, taką informację otrzymałem około 2 tygodnie przed przywoływanym powyżej artykułem, w którym Chojnacki zapowiedział przeprowadzenie takich prac, przy czym mój „informator" twierdził, iż w wyniku przeprowadzenia tej swoistej wizji lokalnej, po obejrzeniu widoku, jaki zarejestrowała kamera, prokuratorzy Instytutu Pamięci Narodowej zdecydowali o przerwaniu prac i zamurowaniu powstałego w wyniku wiercenia otworu. Czy tak było naprawdę? Nie wiem. Indagowany przeze mnie w tej sprawie prokurator D. Psiuk zaprzeczył, jakoby takie prace zostały wykonane, a tym bardziej, aby katowicki IPN podjął decyzję o zaprzestaniu prac dążących do wyjaśnienia zagadki. – *Śledztwo w chwili obecnej jest zawieszone i cały czas czekamy na zakończenie prac „Siltechu". Dyrektor Chojnacki ma powiadomić IPN, gdy tylko pojawi się możliwość bezpiecznego wejścia do interesującego nas chodnika* – powiedział Psiuk.

Alarmująca informacja pojawiła się również niedawno. W lipcu okazało się, iż w wyniku niewiadomych działań diametralnie zmieniła się wentylacja w szybie. – *Albo zaciąga, albo wieje tak, iż roślinki wokół dziury niemal kładą się na ziemię* – mówi M., który kilkakrotnie uczestniczył w eksploracjach w głąb szybu i sprawy związane z jego wentylacją zna, jak mało kto. Według niego najbardziej prawdopodobnym powodem takiej zmiany jest nic innego, jak tylko przebicie się na dole do interesującego nas chodnika.

Następnego dnia, wespół z eksploratorami z Bytomia, jedziemy sprawdzić te niepokojące informacje. Faktycznie, „cug" w szybie jest taki, jakby na dole ktoś włączył potężny odkurzacz. Aby zobrazować siłę ciągu postanawiamy rozpalić przy otworze, nazwijmy go umownie „wejściowym" do szybu, małe ognisko. Niemal natychmiast po rozpaleniu ogień ogarnia ułożony stosik drewna, a jego języki znikają w szybowym otworze. Po kilku chwilach zgromadzone drewno spala się na bielutki popiół. Pod betonową płytą czopującą szyb, w okolicy drabinki prowadzącej w czeluść, wieje już tak, jakby tam ktoś uparł się, by w ekspresowym tempie zobaczyć nas na dole. Czyżby więc faktycznie udało się przebić do szybu od dołu? Postanawiam sprawdzić to u źródła, czyli u dyrektora „Siltechu" J. Chojnackiego. – *Cały czas* dążymy do celu – mówi Chojnacki. – *W chwili obecnej przejechaliśmy w okolicy Szybu Południowego, ale nie na tej głębokości. Jesteśmy na pokładzie 504 na poziomie 330 metrów, aby dostać się do interesującego wszystkich chodnika, który z kolei znajduje się na poziomie 370 m, musimy wykonać wyrobisko, drążąc w kamieniu. To bardzo kosztowna inwestycja, której koszt szacuję nawet na pół miliona złotych. Pojawiające się informacje o zakończeniu robót i przebiciu się do Szybu to plotki, na pewno dotrzemy tam w tym roku, ale kiedy dokładnie, nie wiadomo. Wszystko zależy od tego jak pójdą nam roboty, jak pójdzie praca przy tym kamiennym wyrobisku, które jak wiadomo nie przynosi żadnego zysku, pochłania za to ogromne pieniądze.* Poproszona o komentarz osoba od wielu lat związana zawodowo z górnictwem, po wysłuchaniu relacji z przebiegu wizyty przy szybie, mówi: – *Możliwości są dwie. Pierwsza to ta, że na dole rzeczywiście przebito się do nieczynnego chodnika, udrożniając w ten sposób wentylację w szybie. Pamiętać trzeba, że Szyb Południowy jest praktycznie wyrobiskiem pustym. Przy likwidacji nie zasypano go podsadzką piaskową lub kamienną, ani żadnym innym materiałem wypełniającym, a jedynie zniszczono częściowo obudowę w strefie przypowierzchniowej i zaczopowano prowizorycznie wlot do szybu betonową płytą. Ale możliwe także, iż ciąg powietrza spowodowany został w zdecydowanie mniej tajemniczy sposób. Może to być efektem np. tego, iż prace „Siltechu" odbywają się w niewielkiej odległości od szybu. To wystarczy, aby aktywnie zaczął „pracować" układ spękań i szczelin, jakich w tego typu obiektach jest nadzwyczaj wiele. Depresja wentylatora głównego, przy nieszczelnym zamknięciu szybu, może spowodować dokładnie takie zjawisko, o jakim mówimy, gdyż w starych, kilkupoziomowych, naruszonych wielopokładową eksploatacją kopalniach – szczelny górotwór faktycznie nie istnieje.* Indagowany na tą okoliczność prokurator IPN D. Psiuk także nie potwierdza, jakoby miał posiadać informacje dotyczące przebicia się „Siltechu" do tajemniczego chodnika.

Jak więc jest naprawdę? Aby to sprawdzić i empirycznie przekonać się o postępie prac, już wkrótce, w ramach prowadzonego we współpracy z miastem projektu „Tajemniczy Bytom" udamy się pod ziemię, na rekonesans w wyrobiskach kopalni „Siltech". O efektach tej wyprawy przeczytacie w jednym z następnych numerów „Odkrywcy". ◗

Maciej Bartków
Autor książki „Tajemnica Szybu Południowego".

Ognisko obrazujące siłę ciągu.

POSZUKIWANIA

Zniszczyć Warszawę!

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA

Dziennikarze akredytowani przy Międzynarodowym Trybunale Wojskowym w Norymberdze jeszcze w trakcie sensacyjnych zeznań generała Erwina Lahousena pobiegli do telefonów, by poinformować swe redakcje o tym, co powiedział ów tajemniczy świadek. W okolicach Oppeln (Opola), gdzie w drugiej dekadzie września 1939 roku stacjonowała ruchoma Kwatera Główna Führera, słyszał on, jak Adolf Hitler kazał zbombardować Warszawę w sytuacji, gdy nie było takiej potrzeby militarnej.

Na semaforze zapaliło się zielone światło. Po jakiejś minucie rozległ się dźwięk gwizdka zawiadowcy. Wagony drgnęły, i początkowo bardzo wolno, a po chwili coraz szybciej długi ich skład zaczął oddalać się od skrytego w lasach i tonącego w ciemnościach tamtej wrześniowej nocy dworca kolejowego miasta-garnizonu Gross Born. Pociąg specjalny Adolfa Hitlera opuszczał prowincję pomorską (obecne Pomorze Zachodnie), by pasażerów, a zwłaszcza głównego pasażera, zawieźć w okolice Oppeln na Śląsku. A że od ponad tygodnia trwała wojna z Polską, trasę pociągu wytyczono tak, by w bezpiecznej odległości omijał on zajmowane przez Wehrmacht dotychczasowe terytorium Rzeczypospolitej. Dodatkową osłonę powietrzną jadącego na Śląsk pociągu zapewniał specjalny oddział Luftwaffe, dowodzony przez osobistego pilota Hitlera – Hansa Baura.

Po latach kamerdyner Hitlera, Heinz Linge, napisał w swych wspomnieniach: *„3 września* (1939 roku) *Hitler wyjechał z Berlina specjalnym pociągiem o nazwie »Amerika«, który na pewien czas miał pełnić rolę siedziby Führera. Ochronę nad pociągiem powierzył Erwinowi Rommlowi, który zaledwie dwa dni wcześniej został awansowany do stopnia generała i pełnił funkcję komendanta Kwatery Głównej Führera. Tego dnia pociąg skierował się do Bad Polzin, 4 września z Bad Polzin do Pienitz, 5 września z Pienitz na poligon wojskowy w Gross Born na Pomorzu, skąd aż do 8 września Hitler obserwował przebieg kampanii. (…) Hitler zachowywał się tak, jakby trwały manewry wojskowe. Prawie codziennie jeździł w opancerzonym wozie zwiadowczym po lasach i innych terenach, gdzie w ukryciu nadal pełno było polskich strzelców wyborowych”*. Tyle Linge. Dodam jeszcze, że Bad Polzin, to dzisiejszy Połczyn-Zdrój, Gross Born – to Borne Sulinowo, a w przypadku leżącej na północ od Piły wioski Płytnica kamerdyner Hitlera popełnił błąd. Do 1945 roku ta mała miejscowość nazywała się Plietnitz, a nie Pienitz.

Ruchoma kwatera Hitlera

Kwatera Główna Führera, czyli Führerhauptquartier (pozostańmy przy przyjętym w Polsce skrócie FHQ, a nie przy niemieckim FHQu), została utworzona na mocy dekretu Hitlera i wbrew pozorom nie była nazwą konkretnego miejsca. To była nazwa instytucji obsługującej Führera, jako głowę państwa i naczelnego dowódcę Wehrmachtu w czasie wojny. Stąd też najważniejsze role w FHQ odgrywali wojskowi: szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu (OKW) generał, a od połowy 1940 r. feldmarszałek Wilhelm Keitel, szef Sztabu Dowodzenia w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu generał Alfred Jodl, naczelny adiutant Wehrmachtu przy Führerze, pułkownik, a później (aż do śmierci wskutek ran odniesionych podczas eksplozji bomby płk. Clausa Stauffenberga podczas zamachu w „Wilczym Szańcu” 20 VII 1944 r.) generał Rudolf Schmundt i adiutanci poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Wśród nich wyróżniał się kapitan (w następnych latach awansowany aż do stopnia pułkownika) Nicolaus von Below – adiutant Luftwaffe przy Führerze i autor wspomnień z lat służby u boku Hitlera. Do jego obowiązków należało m.in. koordynowanie spraw związanych z funkcjonowaniem Kwatery Głównej Führera. W skład FHQ wchodzili także: jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, (od 12 V 1941 r. szef Kancelarii NSDAP) Martin Bormann oraz: oficerowie łącznikowi poszczególnych rodzajów sił zbrojnych, oficer łącznikowy Reichsführera SS, adiutant SA, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy, szef biura prasowego Rzeszy i urzędowy fotoreporter Rzeszy, dwaj lekarze i osobista ochrona Hitlera dowodzona przez szefa samodzielnego wydziału Służby Bezpieczeństwa Rzeszy Johanna Rattenhubera oraz komendant FHQ, którym w 1939 r. był wymieniony przez Lingego generał Erwin Rommel. Podlegały mu dwie kompanie zabezpieczenia (pancerna i rozpoznawcza), tworzące batalion eskorty Führer-Begleit-Bataillon. W zatwierdzonym przez Hitlera składzie FHQ byli również dwaj adiutanci Keitla i oficer Sztabu Generalnego, a zwyczajowo, także adiutanci osobiści i sekretarki Hitlera, które towarzyszyły mu przez całą wojnę, aż do samobójczej śmierci w berlińskim bunkrze.

Zbliżał się czas decydujących rozstrzygnięć w wojnie z Polską i Hitler chciał być bliżej swych wojsk. Dlatego też zdecydował o przeniesieniu swej ruchomej kwatery na Śląsk, do-

Zdjęcie z okresu funkcjonowania FHQ koło Oppeln (Opola) we wrześniu 1939 roku. Korzystając z pięknej pogody Hitler zwołał odprawę ze swymi adiutantami na świeżym powietrzu. Pierwszy z lewej, to kapitan Nicolaus von Below. Zdjęcie z albumu „Mit Hitler in Polen”.

Na naradę do Gogolina przyjechał głównodowodzący Kriegsmarine, wielki admirał Erich Raeder (z prawej). Zdjęcie z albumu „Mit Hitler in Polen".

kąd „Amerika" wyjechała z Gross Born późnym wieczorem 8 IX 1939 roku. W ciemnościach ciepłej nocy pociąg jechał drogą okrężną przez Frankfurt nad Odrą i Breslau (Wrocław). Wszak leżący na najkrótszej trasie z Gross Born do Oppeln Poznań, był jeszcze w polskich rękach. Dowództwo Wehrmachtu wydało rozkaz zdobycia stolicy Wielkopolski dopiero 12 września, licząc, że do tego czasu miasto opuszczą oddziały Wojska Polskiego. Wskutek niesubordynacji mjr. von Sahera jego czternastoosobowy patrol zwiadowczy – wbrew wspomnianemu rozkazowi – zajął opuszczony przez wojsko i instytucje państwowe Poznań już w niedzielę, 10 września.

Za potężnym parowozem (od 1940 r. pociąg specjalny Hitlera ciągnęły dwa parowozy, a na zelektryfikowanych liniach zachodnich Niemiec dwie lokomotywy elektryczne) jechał wagon przeciwlotniczy z działkami dwudziestomilimetrowymi i 26 żołnierzami obsługi oraz wagon bagażowy, zwany też maszynownią, ponieważ jego część zajmował silnik spalinowy z prądnicą. Kolejny wagon nosił numer 10206, i był salonką Adolfa Hitlera. Zakwaterowani w nim byli również: główny adiutant z Wehrmachtu, główny adiutant osobisty i kamerdyner Führera. W kolejnym wagonie dowodzenia odbywały się konferencje i narady. Pełnił on także funkcję centrum łączności. W długim składzie „Ameriki" znajdowały się ponadto: wagon eskorty, wagon restauracyjny, dwa wagony sypialne dla współpracowników Hitlera i zaproszonych do pociągu gości, wagon-łaźnia, dwa wagony dla personelu, wagon kierownika biura prasowego z krótkofalowym nadajnikiem radiowym o mocy 700 W, i zamykające skład pociągu te same wagony, co na początku, czyli wagon bagażowy z maszynownią i wagon przeciwlotniczy. Z wyjątkiem wagonów bagażowych i przeciwlotniczych pozostałe były z zewnątrz podobne do siebie, jak dwie krople wody. Wszystkie pomalowane w kolorze ciemnoniebieskim.

Wypady na front

W sobotni ranek, 9 IX 1939 r., pociąg specjalny Hitlera zatrzymał się na bocznicy, od kilkudziesięciu godzin dobrze

Hitler (drugi z lewej) wraz ze swą świtą, gdzie widać Heinricha Himmlera, Wilhelma Keitla i Martina Bormanna, obserwują przeprawę przez San po zbudowanym przez niemieckich saperów moście. Zdjęcie z albumu „Mit Hitler in Polen".

strzeżonej stacji kolejowej wioski Illnau (wcześniej Jellowa, obecnie Jełowa), na północ od Oppeln. „Amerikę" podłączono do kolejowej sieci łączności telefonicznej, i tym samym rozpoczął się prawie dziesięciodniowy epizod związany z pobytem ruchomej Kwatery Głównej Führera na Śląsku, początkowo koło Illnau, a od 12 września w innej podopolskiej miejscowości – Gogolinie, niedaleko Góry św. Anny. W Gogolinie pociąg „Amerika" stał początkowo na bocznym torze w pobliżu stacji kolejowej. Hitlerowi przeszkadzały tam jednak codzienne odgłosy miasteczka, więc rychło cały skład przetoczono do lasu, w dzielnicy zwanej dzisiaj Karłubcem. I prawdopodobnie tam, a nie w Jełowej, wykonano całą serię czarno-białych i kolorowych zdjęć z „Ameriką" w tle. Z tego też okresu pochodzi następujący zapis generała Rommla: *„Führer jest w doskonałym humorze, często rozmawiamy ze sobą. Twierdzi, że za osiem, dziesięć dni wojna na Wschodzie się skończy i wszystkie zaprawione w bojach jednostki Wehrmachtu zostaną przerzucone na Zachód. Wydaje mi się jednak, że Francuzom ani w głowie walka. Ich żołnierze kąpią się w Renie nie niepokojeni przez naszych chłopców"*. Wprawdzie sytuację na granicy niemiecko-

Zabudowania niewielkiej dzisiaj stacyjki kolejowej Jełowa koło Opola, w pobliżu których 9 IX 1939 r. na kilka dni zatrzymał się, na nieistniejącej już bocznicy, pociąg „Amerika".

Kolumna pojazdów Führera 13 IX 1939 r. wjeżdża na plac Wolności w Łodzi. Zdjęcie z albumu „Mit Hitler in Polen".

-francuskiej omawiano na naradach organizowanych w Illnau i Gogolinie z zawezwanymi na Śląsk politykami i wojskowymi – o czym będzie jeszcze mowa – ale w sytuacji trwającej wojny z Polską, to ona miała priorytet. Hitler kilkakrotnie opuszczał swój pociąg, z Opolszczyzny udając się ze swą świtą, w kombinowanych podróżach samolotami i samochodami, na różne odcinki frontu. Samoloty Junkers Ju 52 startowały z lotniska w Neudorf w pobliżu Oppeln, a więc niedaleko miejsc, gdzie wówczas stała „Amerika".

10 września, a zatem w dniu, gdy kilkunastu zwiadowców mjr. von Sahera wkroczyło do Poznania, Führer wizytował na Kielecczyźnie dowodzoną przez gen. Waltera von Reichenaua 10. Armię. Następnego dnia przebywał w okolicach Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie oglądał pozycje wojsk niemieckich zacieśniających pierścień okrążenia wokół Warszawy. 13 września wrócił w te okolice. Tego dnia długa kolumna pojazdów z opancerzonym, trzyosiowym mercedesem G4 Hitlera pojawiła się na ulicach Łodzi, która w ręce Niemców wpadła bez żadnych zniszczeń wojennych. W wydanym pod koniec 1939 r. albumie „Mit Hitler in Polen" zamieszczono dwa zdjęcia przedstawiające przejazd pojazdów tej kolumny przez Łódź. Jedno z nich wykonano na placu Wolności, z widocznym nań pomnikiem Tadeusza Kościuszki (wkrótce zburzonym przez hitlerowców), a drugie koło jakiejś fabryki, gdzie grupa Łodzian zasypuje wykopane tuż przed wojną rowy przeciwlotnicze. Mimo że na pierwszym z wymienionych zdjęć widać charakterystyczne pojazdy batalionu eskorty Führera, w wydanej w 2012 r. pracy Andrzeja Rukowieckiego „Łódź 1939-1945. Kronika okupacji" kwestionuje się ten fakt, stwierdzając, że przedstawia ono wjeżdżające od strony Zgierza jednostki niemieckie… Dodajmy jeszcze, że w Łodzi Hitler spotkał się z dowódcą 8. Armii gen. Johannesem von Blaskowitzem, a 15 września Führer poleciał aż w rejon Jarosławia nad Sanem, gdzie m.in. obserwował przemarsz żołnierzy po zbudowanym przez saperów moście.

Generał Lahousen zeznaje

Proces przywódców hitlerowskich Niemiec przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze dopiero się rozkręcał, gdy niespodziewanie dla obserwatorów powołano pierwszego świadka oskarżenia. Nazwisko generała Erwina Lahousena akredytowanym dziennikarzom nic nie mówiło. Karol Małcużyński, który w Norymberdze był jednym z kilku polskich sprawozdawców, w książce „Oskarżeni nie przyznają się do winy" pisał m.in.: *„Przeprowadziliśmy szybko wśród dziennikarzy wewnętrzną konsultację i najlepsi nawet eksperci od spraw hitlerowskich nie wiedzieli nic o żadnym generale Lahousenie. Musiał być jednak znany – i to dobrze – oskarżonym. Gdy tylko prokurator wymienił swego świadka, na ławie oskarżonych zakotłowało się, jakby kto kij w mrowisko wsadził. Göring, niezwykle podniecony, pisał jedną po drugiej karteczki do obrońcy, Keitel spurpurowiał, ożywił się nawet apatyczny Ribbentrop. Wkrótce adwokaci tłoczyli się do pulpitu, by sprzeciwić się powołaniu tego świadka, zażądać przełożenia zeznań na inny termin, zaprotestować, że nie zostali uprzedzeni o jego wezwaniu, i tak dalej, i tak dalej".*

Przy pulpicie świadka stanął wysoki, szczupły mężczyzna o inteligentnym wyrazie twarzy. Na prośbę Trybunału przedstawił się. Powiedział, że urodził się w Wiedniu, w I wojnie światowej walczył w armii austriackiej w stopniu porucznika. Po wojnie ukończył austriacką Wyższą Szkołę Wojenną. Od 1936 r. służył w Sztabie Generalnym w stopniu pułkownika, zajmując jedno z najwyższych stanowisk w wywiadzie austriackim. Po Anschlussie Austrii Niemcy wcielili go do Abwehry, gdzie rychło został jednym z bliskich współpracowników szefa niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego admirała Wilhelma Canarisa. I to Lahousen, ale jeszcze w stopniu pułkownika, towarzyszył Canarisowi w wyjeździe w okolice Oppeln, gdzie Hitler w swym pociągu zwołał nieznaną wcześniej (przed zeznaniami Lahousena w Norymberdze) naradę, w której, w poszczególnych etapach, uczestniczyli: feldmarszałek Hermann Göring (głównodowodzący Luftwaffe i przewodniczący Reichstagu), Joachim von Ribbentrop (minister spraw zagranicznych Rzeszy), Reichsführer SS Heinrich Himmler (szef policji niemieckiej), feldmarszałek Walter von Brauchitsch (głównodowodzący siłami lądowymi), wielki admirał

W 1939 roku kolejowy ruch dalekobieżny z Oppeln do Gleiwitz (Gliwic) kierowano przez Gross Strehlitz (Strzelce Opolskie), a nie Gogolin, więc widoczna na zdjęciu stacja z całym zapleczem nadawała się na miejsce stacjonowania ruchomej kwatery Hitlera.

Erich Raeder (głównodowodzący siłami marynarki), a także generałowie: Wilhelm Keitel, Alfred Jodl oraz Wilhelm Canaris z Erwinem Lahousenem. W niektórych etapach tej narady brał też udział Adolf Hitler, choćby wtedy, gdy w obecności najwyższych dowódców wojskowych kategorycznie zabronił w jakikolwiek sposób prowokować Francuzów. Wtedy to Canaris zaczął przekonywać Führera, że z informacji wywiadu wynika, iż Francuzi systematycznie gromadzą piechotę i artylerię naprzeciw Saarbrücken, przygotowując ofensywę na dużą skalę. Hitler w to wątpił, a wsparł go Jodl. Zdaniem Lahousena szef Abwehry specjalnie wyolbrzymiał zagrożenie ze strony Francuzów, by studzić wymierzone w Polaków barbarzyńskie zamiary Hitlera, choćby niszczycielskie bombardowania Warszawy. I właśnie poruszenia tego wątku bał się w Norymberdze Hermann Göring, który pamiętał, że sprawę bombardowania stolicy Polski, z jej dzielnicami mieszkaniowymi, oznaczonymi znakami Czerwonego Krzyża szpitalami i wiekowymi zabytkami, omawiał z Hitlerem 12 września. Tego dnia Warszawa nie była jeszcze całkowicie otoczona i zamknięta. Hitler wyraził wtedy zgodę na zniszczenie miasta i Canaris zwracając uwagę na francuskie przygotowania do ofensywy, próbował odwrócić jego uwagę od Warszawy. Nadaremnie.

„Poza tym Canaris – w Norymberdze mówił dalej świadek Lahousen – *przestrzegał bardzo energicznie przed znanymi mu zarządzeniami dotyczącymi projektowanych rozstrzeliwań i eksterminacji, jakie miały być skierowane przede wszystkim przeciw polskiej inteligencji, szlachcie* (tu w znaczeniu elity społecznej – przyp. L. A.), *duchowieństwu oraz w ogóle przeciw tym elementom, które mogłyby być uważane za ostoję oporu narodowego. Canaris powiedział wówczas – cytuję to mniej więcej dosłownie – że za te metody świat kiedyś pociągnie do odpowiedzialności także i wojsko niemieckie, na oczach którego te rzeczy będą się działy. Ówczesny szef OKW* (czyli gen. Wilhelm Keitel – przyp. L. A.) *odpowiedział mu – to, co teraz mówię, jest zaczerpnięte z moich notatek, które przeglądałem przed paroma dniami – że te rzeczy są już przesądzone przez samego Führera, i że Führer, jako wódz naczelny armii, oświadczył, że jeśli wojsko odmówi udziału w wykonywaniu tych zarządzeń, albo też nie będzie się z nimi zgadzało, to będzie musiało pogodzić się, że do wykonywania tych zarządzeń postawione będzie SS, Sipo i podobne organizacje. (…) Taki był mniej więcej zasadniczy sens rozmowy o planowanej akcji eksterminacyjnej i rozstrzeliwań w Polsce"*. Na prośbę prokuratora, precyzując dla protokołu, jakie to zarządzenia 12 IX 1939 r. zostały w Illnau uzgodnione – według Keitla – z Hitlerem, Lahousen potwierdził, że bombardowanie Warszawy oraz rozstrzeliwanie *„przede wszystkim polskiej inteligencji, szlachty, duchowieństwa, no i – rozumie się samo przez się – Żydów"*.

Co z Polską?

Karol Małcużyński w kolejnych wydaniach ukazującej się w czasach Polski Ludowej książki „Oskarżeni nie przyznają się do winy", ze względów cenzuralnych nie mógł napisać o innych wątkach narad w pociągu „Amerika", i w salonkach dwóch innych pociągów specjalnych stojących na bocznicach w Illnau i Gogolinie, które to tematy poruszył w Norymberdze świadek Erwin Lahousen. Dotyczyły one przyszłości Polski w kontekście przyjaznych stosunków niemiecko-radzieckich. Uczestnicy narady uznali, że ziemie polskie zostaną podzielone między Związek Radziecki i Trzecią Rzeszę. Hitler przewidywał jednak utworzenie małego państwa polskiego, którego władze zmusi się do podpisania traktatu pokojowego z Rzeszą. Litwie przekazana zostanie Wileńszczyzna, a z ziem Galicji i – jak to określano – polskiej Ukrainy utworzone zostanie – za zgodą Rosjan – odrębne państwo ukraińskie. Założono, że w razie realizacji tego rozwiązania państwo to zrezygnuje z aspiracji do ziem Ukrainy radzieckiej. W Illnau i Gogolinie żaden z wojskowych i polityków niemieckich nie przewidział, że na powstanie mikroskopijnej Polski i proniemieckiej Ukrainy nie wyrazi zgody nowy sojusznik Hitlera – Józef Stalin.

Gdy „Amerika" stała na bocznicy w Gogolinie, przed świtem 17 września do pociągu dotarła wiadomość, że Armia

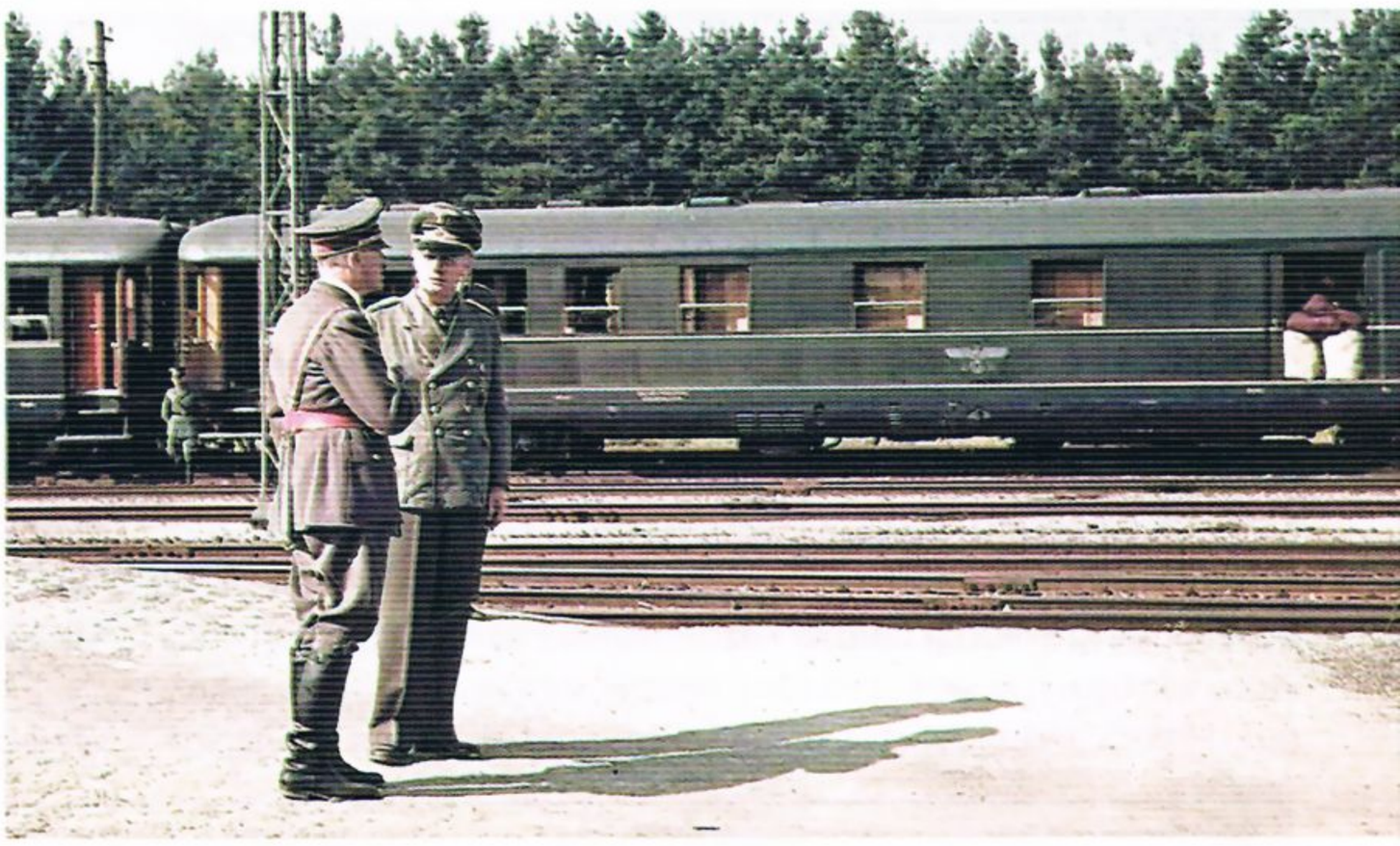

Jedno z kolorowych zdjęć znalezionych przez Amerykanów w zajętych Niemczech. Hitler i Joachim von Ribbentrop rozmawiają na tle pociągu „Amerika" prawdopodobnie na dalekim zapleczu stacji w Gogolinie (pod lasem w dzielnicy zwanej Karłubcem).

Czerwona lada chwila wkroczy do Polski. Hitler właśnie szykował się do snu, kiedy poinformowano go o depeszy ambasadora Rzeszy w Moskwie Friedricha Wernera von der Schulenburga w tej sprawie. W wagonie dowodzenia na Führera czekali już płk Schmundt oraz generałowie Keitel i Jodl. Wojskowi, patrząc na mapy, obawiali się, że dla dowódców oddziałów Wehrmachtu operujących w głębi Polski pojawienie się Armii Czerwonej może być niemiłym zaskoczeniem. Nikt ich bowiem nie uprzedził o takiej możliwości rozwoju sytuacji wojennej. Jak się zachowają? Nie wszyscy w pociągu „Amerika" wierzyli, że Armia Czerwona wystąpi zbrojnie przeciwko Polsce, wspomagając Wehrmacht. Byli tacy, którzy podejrzewali, że Stalin gra swą własną grę, i radzili czekać na rozwój wydarzeń. Dopiero po kilku godzinach pojawienie się w Gogolinie promieniującego ministra Ribbentropa rozwiało wszystkie wątpliwości. To jest mój dyplomatyczny sukces – zdawał się mówić. Przy okazji niektórzy z niewtajemniczonych w szczegóły podpisanego na Kremlu 23 VIII 1939 r., w obecności Stalina, przez Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa niemiecko-radzieckiego układu o nieagresji dowiedzieli się o dołączonym doń tajnym protokole o podziale stref wpływów w tej części Europy.

– *Uzgodniliśmy ze Stalinem* – mówił Ribbentrop na naradzie w jednym z wagonów stojącego obok „Ameriki" pociągu ministerialnego – *że linia demarkacyjna oddzielająca dwie strefy interesów, będzie przebiegała wzdłuż czterech rzek*. I wykreślił ją na mapie, na której centralne miejsce zajmowała Wisła. Jednak przyszła granica niemiecko-radziecka została pod koniec września wytyczona nieco bardziej na wschód, na co podczas kolejnej wizyty Ribbentropa w Moskwie zgodził się Stalin. Hitler podarował mu za to Litwę, która pierwotnie miała znajdować się w niemieckiej strefie wpływów.

Panel sterowania machiną wojenną

Codzienną krzątaninę w pociągu „Ameriki" i towarzyszącym mu pociągu ministerialnym uważnie obserwował oficer SS, który już w najbliższych tygodniach zacznie błyskawicznie piąć się po szczeblach kariery w hitlerowskich służbach specjalnych. Był nim przysłany przez szefa Głównego Urzędu Służby Bezpieczeństwa SS (właśnie przekształcającego się w Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) Reinharda Heydricha młody prawnik Walter Schellenberg. Po latach późniejszy szef wywiadu zagranicznego SS i następca Canarisa na stanowisku szefa Abwehry wspominał: *„Starałem się jak najczęściej przebywać w specjalnym pociągu Führera, aby wiedzieć, na ile się da dokładnie, co się tam dzieje. Przebywanie przy panelu sterowania olbrzymią machiną wojenną, której tryby obracały się z największą prędkością, było fascynujące. Z pokładu tego pociągu nazistowskie kierownictwo wpływało na kształt kolejnych etapów w rozwoju państwa i narodu niemieckiego"*. Gdy Schellenberg chłonął niemal każde słowo i zawierał znajomości, które wkrótce mu się przydadzą, niemiłosiernie nudziły się sekretarki Hitlera. Jedna z nich, Christa Schroeder, w liście do przyjaciółki wysłanym z Gogolina pisała m.in.: *„Mieszkamy już od dziesięciu dni w pociągu. Miejsce postoju stale się zmienia, ale przez to, że Dara* (Gerda Daranowski była również sekretarką Hitlera – przyp. L. A.) *i ja nigdy nie wychodzimy, nasze życie staje się bardzo jednostajne. Upał jest prawie nie wytrzymania, wręcz potworny. Słońce praży cały dzień, a my jesteśmy w przedziałach bezbronne wobec tropikalnego upału. Ja wręcz spuchłam, naprawdę wyglądam okropnie. Do tego dochodzi jeszcze to, że nie można się zająć niczym pożytecznym. Jest jak zawsze: szef odjeżdża rano ze swoimi panami samochodem, a my jesteśmy zdane na to, by czekać i jeszcze raz czekać. Próbowałyśmy już wszystkiego, żeby w czymś pomóc, ale uniemożliwia nam to fakt, że w żadnej miejscowości nie zostajemy dostatecznie długo"*. Czas postoju „Ameriki" w podopolskim Gogolinie się kończył. 18 września wieczorem pociąg specjalny Führera w kłębach pary i dymu wyruszył w długą podróż przez Breslau, Frankfurt nad Odrą, Küstrin (Kostrzyn), Stargard (Stargard Szczeciński), Stolp (Słupsk) i Lauenburg (Lębork), aż do Goddentow-Lanz (Godętowa), małej stacyjki na wschodnich krańcach prowincji pomorskiej, tuż nad międzywojenną granicą z Polską. Stamtąd, w kolumnie samochodów Hitler przejechał do Zoppot (Sopotu), gdzie zamieszkał w tamtejszym hotelu „Cassino". Jeszcze tego samego dnia, we wtorek 19 września 1939 roku, Hitler triumfalnie wjedzie do Danzig (Gdańska), ale to już inna historia…

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej. Ostatnio na rynku wydawniczym ukazała się kolejna pozycja autora bestsellerów „Zmierz bogów w Posen" i „Łuny nad jeziorami. Agonia Prus Wschodnich", „Dymy nad Gdańskiem. Agonia Prus Zachodnich".

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Śpiew ptaków | Godność | Zapał, natchnienie / Ze stolica w Wilnie | W Japoni na dzień dobry | Tłuczeń żużlowy / Rodzaj bukietu | Drążona przez kroplę | Wada wzroku / Impertynent | Krew zwierzęcia. | Rodzaj drzewa / Bez żony | Kółko zębate

Dietetyczny wywar | 3 | Pora kanikuły | Nagi obraz / Ojciec Zeusa. | 15

Stróż z nieba | Czytnik optyczny / Przed upiciem | 16 | Inny wróg Rommla

Uciekł z Talinna / Imię Dziedzic | Nowy w wojsku / Ojciec

Krewny po kądzieli | Przestępstwo / Model Łady | Duży bat / Autor "Solaris" | Arka | 10

17 | 7 | 4 | Taniec z Polinezji | Dowódca kozacki | Maszyna licząca | Rośnie na brzegach

Rewizor w pociagu | Oprych, bandyta | Miasto w RFN / Nieznajomy | Dawniej pląs | Chwast z rzepami | 6

Piętno, niesława | 2 | Nauka zwierząt | 14

W kościele / Siała mak | Zadaszenie na słupach | Mała istota | Wybitne zdolności

Głośne wołanie | W wojsku rozpoznanie | Objaw przeziębienia | Polska ciężarowka | Koleżanka Bolka i Lolka

Polityki lub showbiznesu | Na głowie | Z Akropolem | 12 | Treningowy lub np. pod Calais | Gatunek cukierka | Statek Noego

Na kolanie lub łokciu | Puszysta u lisa

Szyfrator | Morza lub wiatru | Państwo w Andach | 5 | Kobieta mająca władzę

Dawniej ukrop / Zimą na drodze | Samochód

Nowinek lub owoców | Wypoczynek na luzie | Np. węgiel, koks, drewno | 13

Podbrzusze | Melorecytacja z Bronxu | Rodzaj pokrowca | Najdłuższa rzeka Europy | Zagłębienie terenu | Ziemniaczany szkodnik | Np. ciepło - zimno | Miasto w Kraju Krasnodarskim

Symbol F, I.a. 9 / Duża tabletka | Nędzarz, żebrak | Np. Alaska / W tanim winie

Kastrowany kogut | Magnetyczny urok | Szef klasztoru / Kompres. | Przyjaciel Mai | Ze stolicą w Tallinie

Do krycia dachów | Moje "ja" | Schodki na statek | Model Polonеza | Imię Terentiew

Zajęć lub spraw | Jej nie wypada | Na list / Ważna karta | 11 | Liryczna pieśń / Blaga, bluff | 1 | 9

Pożywka drobnoustrojów | Mały, parkan. | 8

Każdego dnia inna | Druga część kurtki | Solenizantka z 2 VIII

Stolica Nigerii | Do zabijania much | Graniczy z Jemenem

Sekretna krzyżówka
ODKRYWCY

Do wygrania 10 nagród książkowych o łącznej wartości ponad 400 zł.

Litery z ponumerowanych kolejno od 1 do 17 pól krzyżówki tworzą hasło główne.

Aby zagrać o nagrodę, od 10 IX do 30 IX 2013 r. wyślij treść hasła SMS-em pod nr 7368, wpisując:
HASLO._____
(po kropce wpisać treść hasła).
Koszt SMS-a to 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach). Regulamin na stronie www.odkrywca.pl

Nagrody zostaną przekazane kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy zwycięzców.

Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 2)

TEKST: JANUSZ SKOWROŃSKI, ANDRZEJ KUŹNIAR

Prawdziwy boom węglowy ogarnął Górne Łużyce po roku 1918. Wielki kapitał na wykupionych od chłopów węglonośnych polach budował nowe kopalnie, i rozbudowywał już istniejące. Wielu wyzbywając się ziemi kosztem utraty ojcowizny, stawało się nagle ludźmi bogatymi. Zjawisko to osiągnęło takie rozmiary, że zaczęto mówić o „nowej Ameryce" na Łużycach – przyrównując je do słynnej amerykańskiej gorączki złota. Nie ominęło ono Zaręby, Siekierczyna, a nawet położonego nieco na północ Starego Węglińca. Bo aż tam sięgały pokłady brunatnego skarbu. Co ciekawe, starczyć go miało na długie lata po zakończeniu II wojny światowej. Oto druga część tej historii.

Mapa zagłębia zarębiańsko-siekierczyńskiego. Oprac. A. Kuźniar.

Spółka Akcyjna „Glückauf" w latach 1935-37 podjęła się budowy i wydobycia węgla na granicy Siekierczyna (wówczas Geibsdorf) i Wesołówki (Lebenlust) w kolejnej kopalni. Otrzymała ona nazwę „Glückauf" , taką samą, jak całe dobrze prosperujące górnicze przedsięwzięcie. Wcześniej (1929) zasypano i zamknięto wyeksploatowany szyb „Albert". Głębinowa kopalnia „Glückauf" w Siekierczynie, brykietownia w Zarębie oraz kamieniołomy bazaltu eksploatowane przez firmę Holzamer und Bauer c.o. Lichtenau w Zarębie, nadawały trzon zagłębiu górniczemu na Łużycach. Po hiperinflacji z lat 20. nie było już śladu, „Glückauf" S.A. wypuściła nowe akcje kopalni (1937), wzmacniając swoją kondycję ekonomiczną. Unowocześniono sposób transportu wydobytego węgla. Od kopalni do stacji kolejowej Lichtenau (dziś Zaręba), gdzie funkcjonowała nowoczesna brykietownia, postanowiono wybudować kolejkę linową. Podjęła się tego firma Mackensen z Schöningen, która wszystkie urządzenia sprowadziła z warsztatów Siegersleben pod Magdeburgiem. Tam zdały egzamin przewożąc ok. 100 ton soli potasowych w ciągu godziny. Lina nośna o średnicy 45 mm pozwalała na przejazd wagoników o masie 430 kg i objętości 6 hl każdy; w ciągu godziny transportowano w ten sposób 50 ton surowego węgla. Nowa kolej liczyła 3,1 km i łączyła się przy kopalni „Robert Gumprecht" z wcześniejszą. Kolejkę napędzał silnik o mocy 50 KM. Klatką szybu głównego mogło zjechać w dół kopalni jednorazowo 10 osób, przy średniej prędkości 3,2 m/s. Głębia szybu liczyła 81 m, a jego przekrój – 2,5×1,6 metrów.

„GLÜCKAUF"
Aktiengesellschaft für Braunkohlenverwertung
100 Reichsmark AKTIE № 1549
über
EINHUNDERT REICHSMARK
Der Inhaber dieser Aktie ist mit dem Betrage von Einhundert Reichsmark bei der „GLÜCKAUF" Aktiengesellschaft für Braunkohlenverwertung in Lichtenau, Bez. Liegnitz, als Aktionär mit allen satzungsmäßigen Rechten und Pflichten beteiligt.
Lichtenau, Bez. Liegnitz, im Juni 1927.
„GLÜCKAUF"
Aktiengesellschaft für Braunkohlenverwertung
Der Aufsichtsrat: Der Vorstand:

Jednak warunki wydobycia węgla metodą głębinową stawały się coraz trudniejsze. W 1939

Kopalnia przed wojną emitowała nie tylko pieniądze zastępcze, także akcje.

10 Millionen T-Mark № 06375 B
Zehn Milliarden Mark
zahlt gegen diese Anweisung ohne Abzug
die Commerz- und Privatbank A.-G., Lauban und Görlitz ▫ die Darmstädter und Nationalbank, Lauban und Görlitz ▫ die Vereinsbank Lauban ▫ die Städtische Sparkasse Lauban ▫ die Stadtbank Görlitz ▫ die Schles. Industrie- u. Kohlenhandelsgesellschaft m. b. H. Görlitz, Struvestr. 27a ▫ und die Kasse unserer Gesellschaft in Lichtenau dem Ueberbringer.
Lichtenau, den 30. Oktober 1923.
Giltig bis 31. Dezember 1923. „Glückauf"
Der Kontrollbeamte. Aktiengesellschaft für Braunkohlenverwertung.

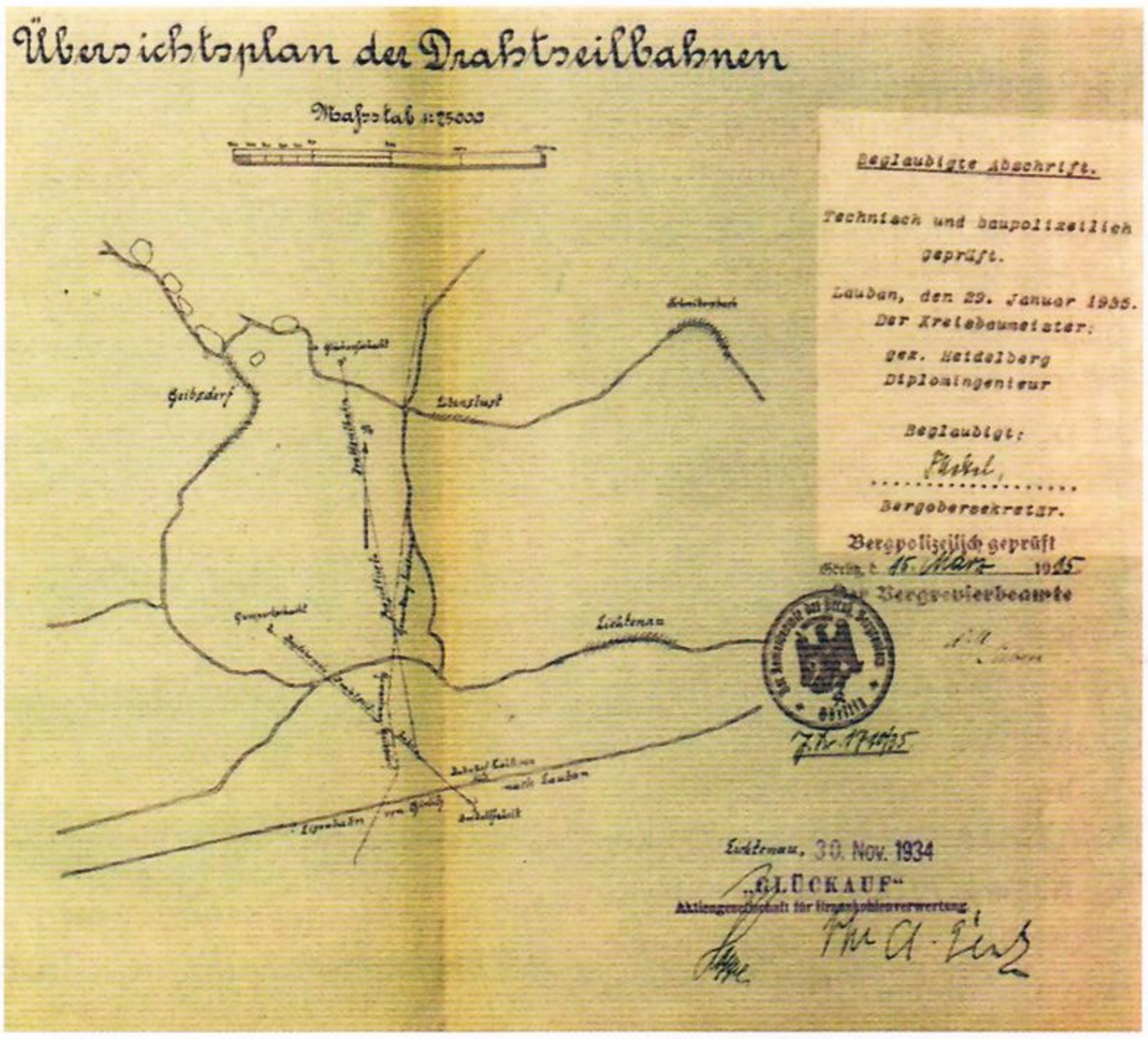

Plan kolejki napowietrznej do transportu urobku, z 1934 roku.

roku w szybie wydobywczym, na głębokości 39 m, w glinach marglistych natrafiono na silne dopływy wody. Należało przewiercić 5 studni z rurami filtrowymi. Uruchomiono wówczas 3 pompy po 15 KM, przy wydajności 1200-1700 l/min, oraz dwie po 22 KM każda o wydajności do 2500 l/min. Pogłębiono wykopy nad szybem wentylacyjnym. Tu znalazły zastosowanie przyszłe cedzidła. Dopiero na głębokości 69,5 m natrafiono na węgiel. Zaś na głębokości 76 m należało uporać się ze zbierającą poniżej wodą. Górniczą zmorą była wszechobecna kurzawka.

II wojna światowa nie przeszkodziła w wydobyciu węgla. Z zachowanych w niemieckich archiwach dokumentów wynika, że podczas wojny brakowało siły roboczej. W latach 1942-45, kiedy zatrudniano 250 górników, oprócz Niemców pracowali tu radzieccy i francuscy jeńcy wojenni. Od grudnia 1942 r. odnotowano pobyt 17 francuskich, a od stycznia 1943 r. – radzieckich jeńców wojennych (bez podania liczby). Te znane są z późniejszych relacji – 15 Rosjan (VII 1944), 11 – 25 I 1945 rok. Ostatni niemiecki dyrektor kopalni Felix Hundt podawał, że 15 II 1945 r. zmusił do pozostania na kopalni aż 65 radzieckich jeńców wojennych, będących marszem w drodze. Liczyły się każde ręce do pracy. Jednak dwa dni później, 17 lutego kopalnia stanęła. Wówczas trwały już gwałtowne i wielodniowe walki o pobliski Lubań, skutkujące odparciem wojsk radzieckich. W kopalni zabrakło prądu. To oznaczało jedno – tego dnia stanęły pompy i kopalnię „Glückauf" zaczęła zalewać woda. Tydzień później w zarębiańskiej brykietowni wybuchł pożar. *„Fabryka brykietu: płonie hałda węgla, pożar spowodowany przez ostrzał nieprzyjaciela* – raportował dyrektor Hundt. – *Brak prądu, brak pomp, brak możliwości ugaszenia. Czynności gaśnicze podjęto dopiero 9.3.45. Spaliło się wiele taśm gumowych i silników. Dwudziestu ludzi z Volkssturmu użyto w tej operacji. W samej kopalni od 9.03. nastąpił montaż pomp do odpompowania tego błota. Od 12.03. mieliśmy znów, a od 24.03. mogliśmy rozpocząć wypompowywanie wody na kopalni. Do 31.03. stan wody w zalanej kopalni obniżył się jedynie o około 10 m. Szacuje się, że potrwa to jeszcze około 3 miesiące. Brak właściwych pomp do odwodnienia kopalni".* Co ciekawe, dopiero 4 IV 1945 r. Gestapo w pobliskim Görlitz przeprowadziło szczegółowe dochodzenie, czy brak prądu, który w konsekwencji doprowadził do częściowego zalania kopalni nie był efektem sabotażu kogoś z miejscowych. Choć przesłuchano wiele osób, winnych nie znaleziono. Jeszcze 20 kwietnia Ortsgruppenleiter Lichtenau zawiadamiał urząd górniczy w Görlitz, że *„przeprowadzona inspekcja wykazała niemal całkowite opuszczenie brykietowni przez oddziały wojskowe, a na miejscu pozostało jedynie dowództwo oraz… amunicja. Poprosiłem jednostkę by zatroszczyła się o bezzwłoczne odtransportowanie".*

Zachował się szyld brykietowni. Ze zb. J. Kulczyckiego i…

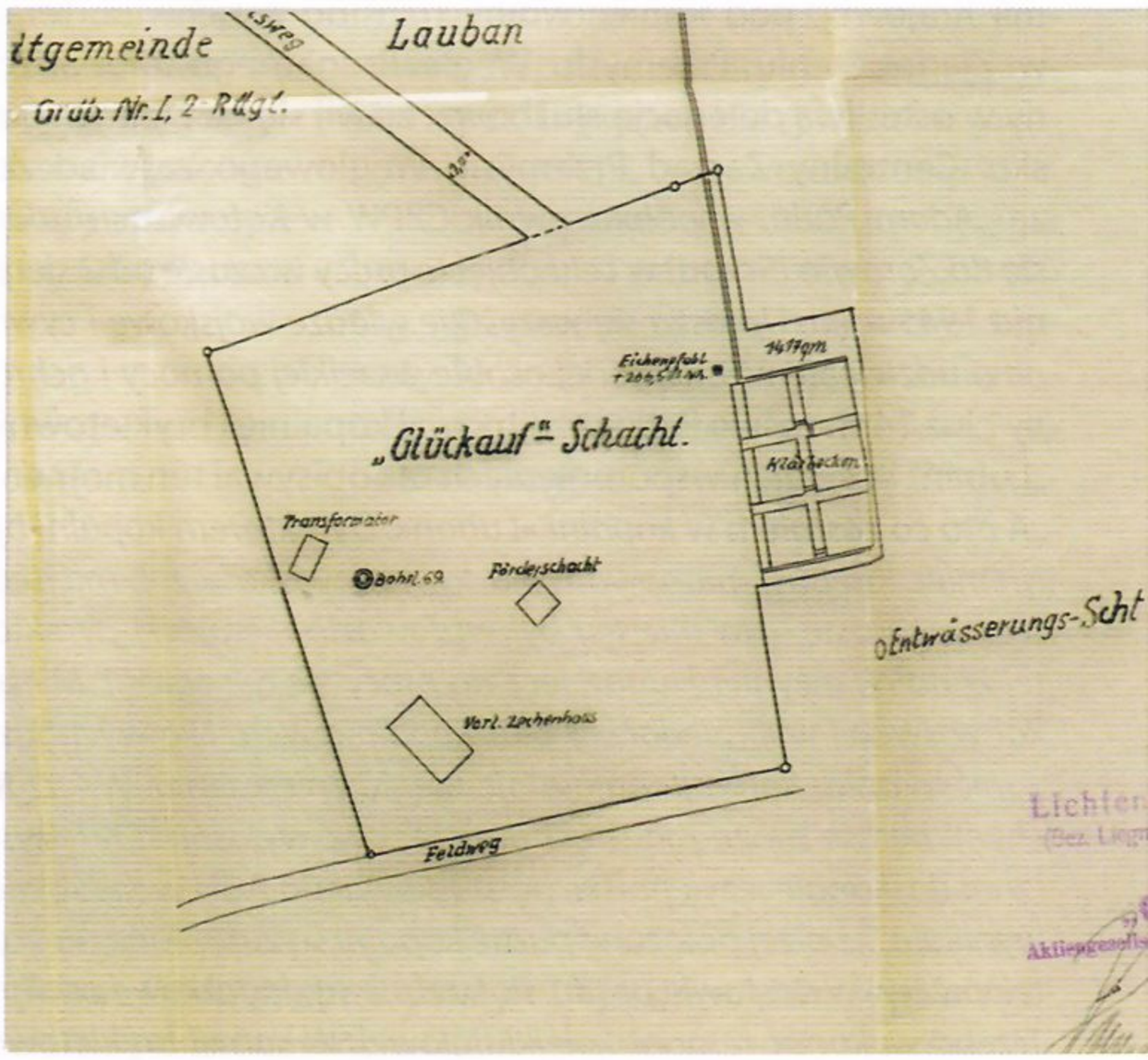

… górniczy plan położenia szybu „Glückauf".

Uratowana kopalnia i brykietownia mogły być eksploatowane niemal niezwłocznie po zakończeniu działań wojennych. Na miejscu pozostali niemieccy górnicy i częściowo niemiecki dozór. 1 VIII 1945 r. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego w Katowicach utworzył Zjednoczenie Przemysłu Węgla Brunatnego z siedzibą w Żórawiu (tak brzmiała pierwsza powojenna nazwa Żar)[1], któremu podporządkowano poniemieckie kopalnie na wschód od Nysy Łużyckiej, w tym m.in. kopalnię „Glückauf" – pod polską teraz nazwą „Kopalnia Lubań", choć nie znajdowała się ona w samym Lubaniu. W jej skład wchodził szyb wydobywczy w Geibsdorf i brykietownia w Lichtenau. Ogółem przedmiotem zainteresowania powołanej polskiej jednostki węglowej stało się, w pierwszej kolejności, przejmowanie obiektów kopalnianych na obszarze rozmieszczonym od Bogatyni poprzez Siekierczyn, Węgliniec, Łęknicę, aż po Smogóry i Sieniawę na Ziemi Lubuskiej. W sumie, w okresie kilkunastu miesięcy przejęto kopalnie podziemne o polskich już nazwach: „Lubań", „Henryk", „Kaławsk", „Maria", „Teresa", „Pustkowie", „Długoszyn", „Smogóry", „Zapomniana" (w Trocianowie, późniejszej Trójcy, na trasie Lubań-Zgorzelec) oraz „Babina". Wraz z kopalniami przejmowano przykopalniane brykietownie: „Babina" (w Łęknicy), „Kaławsk" (koło Węglińca), „Lubań" (w Węglinach-Zarębie) i „Smogóry", oraz elektrownie „Kaławsk" i „Łoza". Z chwilą pojawienia się polskiej administracji wojskowej i cywilnej, biuletyn informacyjny „Na Straży", wydawany w Lubaniu przez jednostkę 7. Łużyckiej Dywizji Piechoty II Armii WP, donosiła we wrześniu 1945 roku: *„Kopalnia węgla i fabryka brykietów w Lichtenau koło Lubania, unieruchomiona przez działania wojenne, nie mogła być dotychczas uruchomiona z tego powodu, że niektóre jej chodniki były zalane wodą. Obecnie przeprowadza się prace celem doprowadzenia kopalni do porządku. Kopalnia i fabryka zaczną pracować za 2 do 3 tygodni"*[2].

Pełnomocnikiem polskich władz do przejęcia i nadzorowania przygotowań do podjęcia produkcji przez kopalnie węgla brunatnego na Dolnym Śląsku został inżynier górnictwa Adam Patla (1899-1984). Były żołnierz Legionów i Armii Krajowej, pod koniec wojny trafił do Auschwitz. Teraz, w Zjednoczeniu Przemysłu Węgla Brunatnego zaopatrzony w osobliwą delegację służbową, zjawił się na Dolnym Śląsku. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego zaświadczał, że *„Adam Patla, współpracownik CZPW w Katowicach udaje się do Żórawia (Sorau) w celu objęcia pracy w czasie od 2 sierpnia 1945 roku. Uprasza się wszystkie władze wojskowe i cywilne o udzielenie wymienionej osobie wszelkiej pomocy i ochrony".* Już 14 września Patla przejmował kopalnię i brykietownię „Lubań". W swoich wspomnieniach tak opisywał ten moment: *„A oto co zastałem w kopalni »Lubań«. Dyrektorem kopalni był Niemiec Kriebus, mianowany na to stanowisko przez miejscowego starostę.*[3] *Na miejscu był wprawdzie niemiecki dyrektor tej kopalni, inżynier Hundt, lecz do pracy się nie zgłosił. Mieszkał w swojej willi niedaleko biur kopalnianych. Nie wychodził z mieszkania. Sama kopalnia nie uległa zniszczeniu. W każdej chwili będzie można ją uruchomić. (…) Z wyjaśnień Kriebusa (znał doskonale język polski, bo studiował na AGH w Krakowie) wynikało, że niżej położone partie kopalni są zatopione na skutek przerw w dostawie prądu. Potrzebne są dodatkowe pompy. Trzeba wykonać remont kolejki liniowej. W samej brykietowni konieczny jest remont pras brykietowych"*[4].

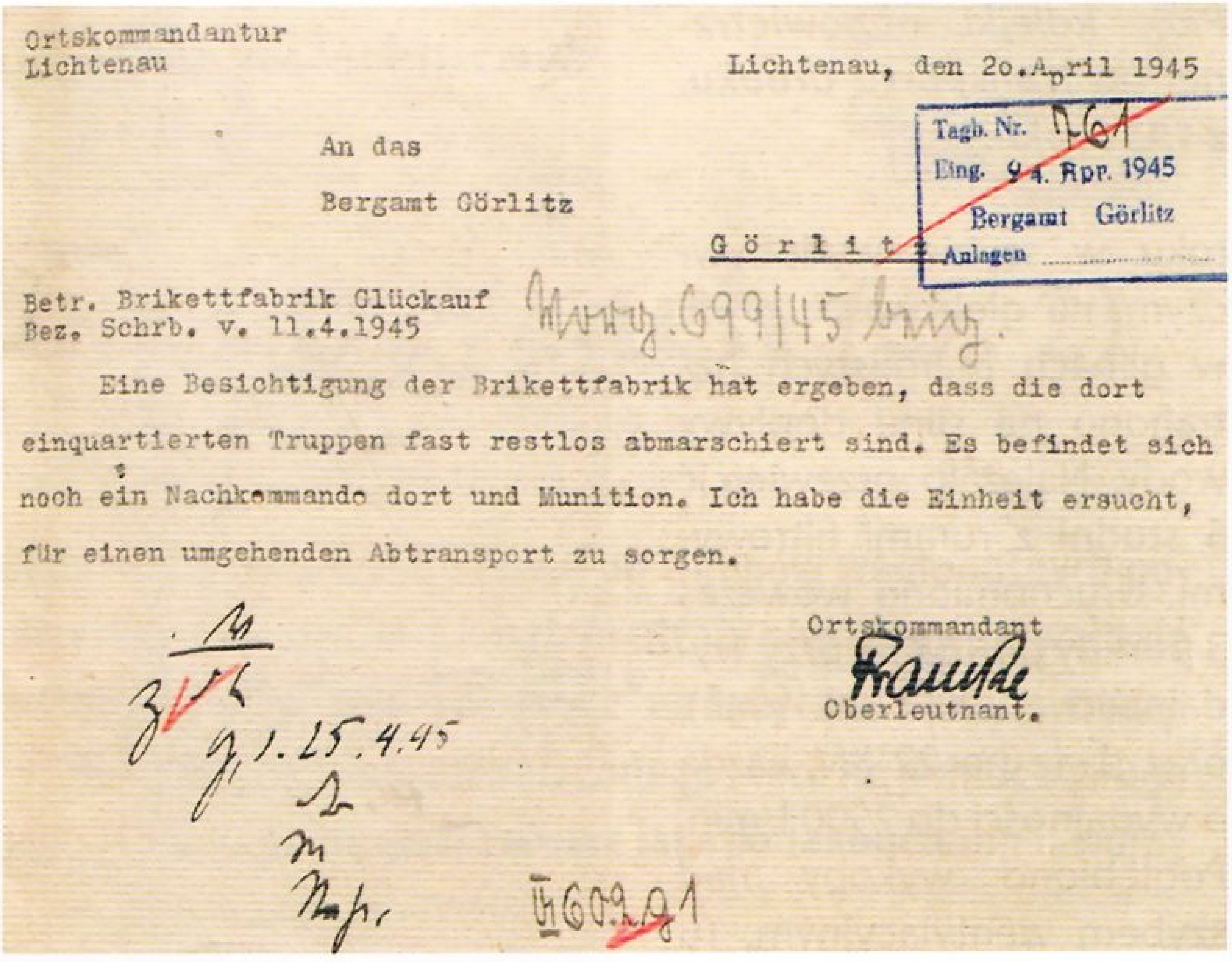
Ortskommandantur
Lichtenau

Lichtenau, den 2o.April 1945

Tagb. Nr. 761
Eing. 24. Apr. 1945
Bergamt Görlitz
Anlagen

An das
Bergamt Görlitz
Görlitz

Betr. Brikettfabrik Glückauf
Bez. Schrb. v. 11.4.1945

Eine Besichtigung der Brikettfabrik hat ergeben, dass die dort einquartierten Truppen fast restlos abmarschiert sind. Es befindet sich noch ein Nachkommando dort und Munition. Ich habe die Einheit ersucht, für einen umgehenden Abtransport zu sorgen.

Ortskommandant
Raucke
Oberleutnant.

Tuż przed końcem wojny informowano o złożonej w kopalnianej brykietowni amunicji. Zb. Bergarchiv Freiberg.

Energicznie zabrano się do pracy. Pierwsza załoga liczyła 60 pracowników, wyłącznie Niemców. Potrzebni byli polscy fachowcy branży górniczej. Tych brakowało. Górników ściągano zewsząd, także z Górnego Śląska, z kopalni węgla kamiennego. Przybywali tu raczej niechętnie. Adam Patla pisał: *„W pierwszym okresie górnicy z węgla uważali węgiel brunatny za zło konieczne, które trzeba tolerować, lecz nie należy się w ten przemysł zbytnio angażować. Górnik z węgla brunatnego był traktowany w hierarchii górniczej, jako stojący na najniższym poziomie górniczej »ważności«. Długo utrzymywała się ta opinia. Opinia ta powstała jeszcze w latach przed ostatnią wojną światową, gdy w Polsce nie było kopalni ziemistego węgla brunatnego. (…) Powoli do węgla brunatnego napływali fachowcy – górnicy, technicy i inżynierowie. Wśród tych, którzy zjawiali się w tym przemyśle fluktuacja była ogromna. Nowa, fachowa kadra dla węgla brunatnego tworzyła się bardzo powoli. (…) pomimo zaśniedziałych nastawień, że węgiel brunatny to nie górnictwo, lecz »gliniaki« – węgiel brunatny torował sobie drogę do należnej mu platformy ważności, aż stał się obok węgla kamiennego poważnym surowcem paliwowym".*

Z początkiem października 1945 r. Niemca Kriebusa zastąpił na stanowisku kierownik kopalni i brykietowni „Lubań", pochodzący z Górnego Śląska sztygar, technik górniczy Józef Jeleń. Patla, który obsadzał Polakami obie kopalnie, przyznawał, że odbywało się to w dość osobliwych warunkach: *„Zaraz w pierwszych dniach października wybrałem się do kopalni »Kaławsk« i »Lubań«. Zabrałem ze sobą sztygarów Stanisława Rogulę i Józefa Jelenia. Najpierw zajechałem do kopalni »Kaławsk«. Postanowiłem pozostawić tam sztygara Rogulę, jako jej kierownika. Następnie, przez Czerwoną Wodę, gdzie zagradzały drogę unieszkodliwione czołgi, polami, przez niezebrane zboża, dojechałem wraz ze sztygarem Jeleniem do Lubania. (…) Kriebusa zastaliśmy w biurach przy brykietowni. Zakomunikowałem mu, że z dniem dzisiejszym sztygar Jeleń jest odpowiedzialnym kierownikiem kopalni i brykietowni. W związku z tym on, Kriebus, przekaże mu wszystkie spełniane funkcje, pozostając w kopalni jako pomoc techniczna. Kriebus był wybitnie niezadowolony. Poprosiłem go o przedłożenie listy pracowników. Okazało się, że ich ilość poważnie zmalała. Pozostało zaledwie dwóch nadgórników i jeden do-*

Pierwsi polscy górnicy przed kopalnianą cechownią w Jeziornej. Obok zachowana lampka górnicza jednego z nich.

zorca maszynowy. »A gdzie reszta?« – zapytałem. Z wykrętnych wypowiedzi Kriebusa wynikało, że tak, jak przypuszczałem, odpoczęli i wyruszyli w dalszą drogę za Nysę Łużycką".

Kriebus okazał się bardzo obrotny. W czasie okupacji pełnił, z ramienia władz niemieckich, kierowniczą funkcję w polskich kopalniach cynku. Teraz wykorzystywał umiejętnie swoje stanowisko dyrektora. Zorganizował bowiem w kopalni punkt etapowy dla uciekających do Niemiec inżynierów i techników. Tu odpoczywali zaopatrzeni w zaświadczenia pracy w… polskiej już kopalni „Lubań". Jeśli pracowali, Kriebus osobliwie płacił za pracę. Dniówkę stanowił napełniony po brzegi i wyniesiony na powierzchnię plecak węgla. Był cenniejszy niż pieniądze.

Młody sztygar Jeleń, mimo dobrych chęci, nie zawsze dawał sobie radę. Doszło nawet do tego, że miejscowi osadnicy wojskowi postanowili mianować… swojego dyrektora kopalni. Na dowód tego, z mieszkania w Zarębie wyrzucili byłego niemieckiego dyrektora. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdyż na kopalni pojawił się… trzeci polski dyrektor. Tego z kolei mianowało Ministerstwo Ziem Odzyskanych. *„To wszystko* – pisał Patla – *gdyby nie było tragiczne, byłoby wprost śmieszne. Ujawniła się mentalność niektórych ludzi przybyłych na te ziemie. Tworzył się tak wielki wachlarz typów, typków, ambicji, ambicyjek, że mógłby posłużyć za kanwę dla wielu psychologicznych rozpraw i powieści".* Ostatecznie, samozwańczych dyrektorów przekonywały dopiero ostrzegawcze strzały z karabinów, w jakie Patla wyposażył kopalnianą straż przemysłową.

Adam Patla poszukiwał pomp niezbędnych do odwodnienia kopalni. Kiedy wizytował Leśną, dowiedział się, że miały się znajdować w nieukończonych podziemnych sztolniach. *„Minąwszy miasteczko, znalazłem się w głębokim wąwozie, gdzie sterczały hale fabryczne. Były świetnie zamaskowane. W lesistym, wąskim wąwozie ginęły kominy i budynki. Z odległości kilkudziesięciu metrów nie można było spodziewać się ich tutaj. Napotkany Niemiec, majster tej fabryki, wyjaśnił, że tu oraz w podziemnych tunelach i komorach dokonywano montażu pocisków V-2. Resztki pocisków walały się wśród maszyn"* – pisał Patla. Niestety, szukanych pomp już nie było. Kilka dni temu zostały stąd zabrane. *„A więc i tu dobrali się szabrownicy. Pozostały tylko ciężkie maszyny, których nie można było z sobą zabrać. W podziemne tunele i komory nie zapędzali się. Było niebezpiecznie. A to, co znajdowało się na powierzchni, szybko ulegało rozgrabieniu i zniszczeniu. Grupy operacyjne nie były w stanie wszystkiego dopilnować i zabezpieczyć".*

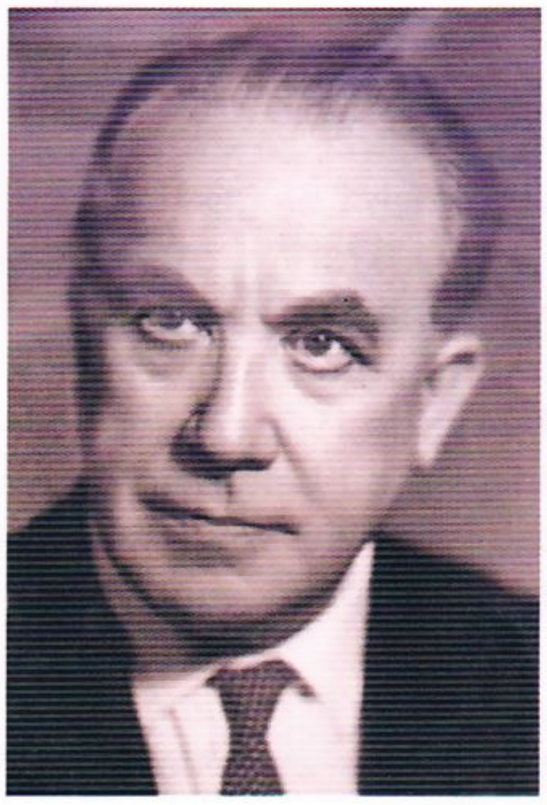

Zbliżała się jesień, pierwsza po wojnie. W kolejnej notce „Na Straży", pod optymistycznym tytułem *„WĘGLA NIE ZABRAKNIE W LUBANIU"*, podawała dalsze szczegóły: *„W pierwszych dniach października ruszy kopalnia węgla brunatnego i fabryka brykietów w Lichtenau. Obecnie kończy się prace nad uruchomieniem kolejki. Węgla w mieście i okręgu lubańskim nie zabraknie"*[5]. Pod koniec października w kopalniach węgla brunatnego (Zjednoczenia KWB w Żarach, które nadzorował Patla) zarejestrowano łącznie 98 Polaków i 265 Niemców. Pracowały kopalnie „Henryk", „Babina", „Lubań" oraz brykietownia „Lubań" w Lichtenau. Ogółem, we wrześniu 1945 r. wydobyto pierwsze 4950 ton węgla brunatnego, w październiku – już 8486 ton. Wyprodukowano pierwsze brykiety w ilości 686 ton. Niebawem niemieckie Lichtenau przemianowano na polskie Węgliny, nawiązując do miejsco-

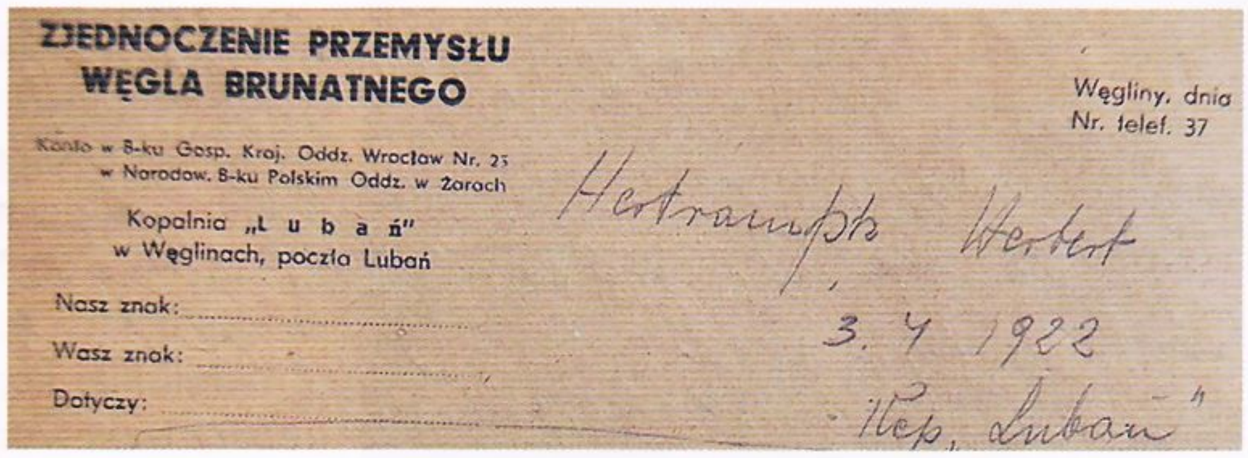

ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU
WĘGLA BRUNATNEGO

Węgliny, dnia
Nr. telef. 37

Konto w B-ku Gosp. Kraj. Oddz. Wrocław Nr. 25
w Narodow. B-ku Polskim Oddz. w Żarach

Kopalnia „L u b a ń"
w Węglinach, poczta Lubań

Nasz znak:
Wasz znak:
Dotyczy:

Hertrampfs Herbert
3. 4 1922
Kop. Lubań"

Adam Patla organizował polskie górnictwo węgla brunatnego na Łużycach. Obok – papier firmowy uruchomionej kopalni.

wego górnictwa. Nazwę Zaręba zaczęto używać dopiero w 1948 roku. Podobnie Geibsdorf stawał się polską Jeziorną, by ostatecznie zmienić nazwę na Siekierczyn. *„Brykiety już produkujemy. Kopalnia węgla brunatnego i fabryka brykietów w Lichtenau już została uruchomiona"* – donosiła z dumą lokalna gazeta.[6] Siekierczyńska kopalnia przez pierwsze powojenne lata była największym i najzasobniejszym w wysokiej jakości węgiel tego typu zakładem, obok kopalni „Kaławsk" w Węglińcu, na terenie całego Dolnego Śląska. Powoli do Węglin i Jeziornej wracało życie. Górnicy zakładali tu rodziny lub sprowadzali je z Polski. *„W Węglinach organizuje się obecnie Dom Ludowy. Wierzymy, że ta placówka odegra przynależną jej rolę w życiu kulturalnym naszego przemysłowego miasta"* – donosiła przed pierwszymi po wojnie świętami Bożego Narodzenia „Na Straży".[7]

W 1946 r. dyrektorem Kopalni „Lubań" został Stanisław Rogula, ten sam, którego Adam Patla wiózł do kopalni „Kaławsk", by organizować tam pracę. 24 X 1947 r. doszło do pożaru na dole kopalni. Przypuszczano podpalenie. Cała zmiana południowa zadusiłaby się w pół godziny – donosił jeden ze świadków – jednak wszyscy zostali ocaleni. *„Byli na miejscu zdarzenia i mogli zatamować ogień ratownicy ze stacji ratownictwa górniczego z Wałbrzycha i Bytomia. Od dnia pożaru kopalnia jest nieczynna. Na 27.10. wszyscy górnicy zostali załadowani do samochodów i zawiezieni do Żar i Kaławska. Polscy górnicy powinni zastąpić teraz Niemców. Kto z Niemców stracił pracę, musiał teraz odejść na rolę, jak choćby górnik Schuster"* – pisał w kronice parafialnej miejscowy pastor Saalfeld (1954). Mimo że w okolicy zaczęto wysiedlać Niemców, w kopalni pracowali oni nadal. Wspomniany górnik, Hermann Schuster, był Łużyczaninem i doskonale rozumiał się z polskimi górnikami. Pracowali wspólnie do końca 1946 roku. Potem osiadł na gospodarstwie rolnym. Z Zaręby wyjechał dopiero w 1948 roku.

Warto wspomnieć skąd rekrutowali się pierwsi polscy górnicy do kopalni. Górnicy Jan Żelichowski i Eliasz Kubicki przybyli z Kresów Wschodnich, gdzie do 1946 roku pracowali na kopalni wosku ziemnego w Borysławiu. Wprost z robót przymusowych na kopalni „Dösen" w Lipsku przyjechał na Dolny Śląsk górnik-rębacz Julian Dziuk. Po dyrektorze Rogule, przez pewien czas (1950), siekierczyńską kopalnią kierował Jerzy Koppel, również Górnoślązak. Wcześniej pracował jako zawiadowca kopalni „Lubań" (1947-48), a kolejny rok spędził będąc dyrektorem kopalni „Turów". Kiedy w 1950 r. dyrektor Koppel sporządzał wykaz górników do nagród jubileuszowych, wśród posiadających 40-letni staż pracy w górnictwie, na liście nadal figurowali Niemcy: Rudolf Thierhold, Gerhard Pfeiffert, Albert Göbel czy Paul Marz. Dobrzy fachowcy,

Cechownia górnicza – stan dzisiejszy.

Górnik Hermann Schuster w stroju galowym. W kopalni pracował do 1946 r.

Zachowała się szczątkowa dokumentacja archiwalna. Górnik Franciszek Błażek przybył tu w 1946 z Górnego Śląska, gdzie dwa lata pracował w kopalni „Eminencja" w Katowicach-Dębie. Poprzedzała je ponad dwudziestoletnia praca w kopalniach francuskich. Podobny życiorys miał Stefan Michalski, ze stażem w kopalniach francuskich i belgijskich. Także Stefan Nawrocki, który już jako młodociany chłopak znalazł się w kopalni niemieckiej „Bergmannsglück" (1918-24), a od 1924 aż do 1946 kolejno w kopalniach francuskich i belgijskich. Z belgijskiej kopalni „Hanzies" 42-letni rębacz trafił wprost do kopalni „Lubań". górnicy specjaliści niemieccy byli ciągle potrzebni.

Kolejny dyrektor kopalni Stefan Pełka pochodził, jak to wówczas określano, ze społecznego awansu. Nim objął to stanowisko, pracował jako zwykły górnik dołowy. W prowadzonym w Kopalni „Lubań", jak w całej krajowej gospodarce socjalistycznym współzawodnictwie, został w 1947 r. przodownikiem pracy – 140% normy, ustępując jedynie Józefowi Woziakowi – 169%, Stanisławowi Podolakowi – 159% i Stanisławowi Napadłkowi – 148%. Był, jak i jego poprzednicy, Górnoślązakiem. W tym czasie Kopalnie „Lubań" i „Kaławsk" były już organizacyjnie połączone tworząc kombinat górniczy o nazwie Kopalnia „Lubań-Kaławsk". Jak pamięta ówczesna pracownica ko-

Zapomniana, wybrukowana droga do szybu kopalni „Glückauf".

palnianej administracji Jadwiga Gałus, dyrektor Pełka pracę każdego dnia rozpoczynał od inspekcji Kopalni „Lubań", później wizytował kopalnię „Kaławsk". Obie kopalnie dzieliło ponad 20 kilometrów.

Dolnośląskie kopalnie węgla brunatnego, które organizował po wojnie wspomniany Adam Patla, pracowały w najlepsze. On sam wówczas (lata 1950-52) prowadził już intensywne badania geologiczne w okolicach Turku. Przyniosły one odkrycie pokładów węgla brunatnego wokół tego miasta, i zaowocowały stworzeniem dużego ośrodka wydobywczego. Dokonania Patli znalazły uznanie – na jego cześć jedną z tamtejszych kopalń nazwano później „Adamów".

A samo zagłębie zarębiańsko-siekierczyńskie? Jeszcze pracowało, choć szło nowe. I to niedaleko stąd. Początkowo przejęta w 1947 r. od Rosjan kopalnia otrzymała polską nazwę „Graniczna". Coraz śmielej zaczęto realizować pojawiającą się w latach 50. koncepcję budowy dużej kopalni odkrywkowej w okolicy Bogatyni, na miejscu niemieckiej, należącej przed wojną do spółki akcyjnej „Herkules" oraz budowę największej w kraju elektrowni o mocy 1200 MW. Niebawem miał powstać tam przemysłowy gigant węglowo-energetyczny socjalistycznej Polski. Ale na początku lat 50. nazwa Turoszów nie robiła na nikim wrażenia. Cdn.

Przypisy:
[1] Zjednoczenie KWB w 1950 r. zostało przeniesione do Wrocławia.
[2] „Na Straży", nr 31 z 1 IX 1945 r.
[3] Starosta, wówczas jako Pełnomocnik Rządu RP na Obwód nr XXXIII (powiat lubański).
[4] A. Patla, „Nie byłem sam" [w:] „Pamiętniki inżynierów", Warszawa 1964
[5] „Na Straży", nr 44 z 4 X 1945
[6] „Na Straży" nr 49 z 13 X 1945
[7] „Na Straży", nr 68 z 20 XII 1945

Fotografie ze zb. autorów, dokumenty Bergarchiv Freiberg, Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Lubaniu.

Autorzy dziękują za udzieloną wszechstronną pomoc Panu Joachimowi Neumannowi (Görlitz).

Zachowany szyb wentylacyjny kopalni „Glückauf".

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

Andrzej Kuźniar
Nauczyciel historii na emeryturze, badacz dziejów Gminy Siekierczyn na Dolnym Śląsku. Aktualnie pracuje w polsko-niemieckiej grupie nad nową monografią regionu, w tym historią głębinowego górnictwa węgla brunatnego na polskich Łużycach (Siekierczyn-Zaręba-Wesołówka i Zielonka).

REKLAMA

Opis techniczny zdjęcia:

Lokalizacja: Hel, Jurata, Jastarnia, Kuźnica, Władysławowo, Cetniewo, Puck – powiat pucki, województwo pomorskie.
Format zdjęcia: 18×18 cm, kamera Rb18, ogniskowa kamery – 204.94 mm
Data wykonania zdjęcia: 1939 lub 1940, godzina 10:00
Skala zdjęcia: 1:9700, wysokość lotu (przybliżona): 6500 m
Informacje dodatkowe: na tyłach zdjęcia można znaleźć pieczęć Ministerstwa Lotnictwa Rzeszy (niem. Reichsluftfahrtministerium) z datą przyjęcia do zasobu – 7 października 1940 rok.

Opis zdjęcia:

1 – Stanowisko nr 1 bat. Laskowskiego (po wojnie wysadzone przypadkowo w powietrze).
2 – Stanowisko nr 2 bat. Laskowskiego – całkowicie zakryte maskowaniem.
3 – Stanowisko nr 3 bat. Laskowskiego – zdjęte całe maskowanie z działa.
4 – Stanowisko nr 4 bat. Laskowskiego.
5 – Wille oficerskie na Cyplu.
6 – Niektóre miejsca wybuchu bomb lotniczych.
7 – Stanowisko kierowania ogniem baterii Laskowskiego.
8 – Kino wojskowe DAN (Dywizjon Artylerii Nadbrzeżnej).
9 – Koszary.
10 – Dom zdrojowy „Polonia" (dawny Kurhaus Hela).

Widziane z góry (cz. 3)

Cypel Helu/Helski

po zakończeniu Kampanii Obronnej 1939 roku

AUTOR: SEBASTIAN RÓŻYCKI
ZDJĘCIE: S. RÓŻYCKI/NARA

Pierwsze zdjęcie z serii niemieckich fotogramów dla Półwyspu Helskiego, przedstawiające Port Wojenny na Helu, mogli Państwo zobaczyć w sierpniowym numerze „Odkrywcy". W tym numerze prezentujemy następne, unikatowe zdjęcie Cyplu Helskiego wraz z opisem pana Władysława Szarskiego.

○ ○ ○

AUTOR: WŁADYSŁAW SZARSKI

Zdjęcie przedstawia Cypel Helu po zakończeniu Kampanii Obronnej 1939 roku. Hel bronił się 32 dni – był to najdłużej broniony obszar Polski. Trzonem obrony była największa polska bateria – 4 działa Boforsa kalibru 152,4 mm nazwana Baterią im. Heliodora Laskowskiego – na cześć oficera, który był jednym z głównych orędowników utworzenia na Helu silnej bazy mogącej ochronić polską flotę.

Heliodor Laskowski przełamał także monopol Francji na dostawy sprzętu wojennego i on to właśnie zakupił w Szwecji działa do baterii noszącej potem jego imię. Utworzony w 1936 r. Rejon Umocniony Hel spowodował militaryzację Helu i wstrzymanie ruchu turystycznego – od Juraty aż do końca cypla. W konsekwencji także zmiany własnościowe wielu zbudowanych wcześniej na cyplu willi.

Na zdjęciu jest niemal niewidoczna, skryta pod maskowaniem, gęsta sieć wojskowej kolejki wąskotorowej. Całkowity brak maskowania na jednym z dział baterii Laskowskiego i częściowo odsłonięte dwa inne działa dowodzi, że zdjęcie zostało wykonane już po kapitulacji Helu.

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

Władysław Szarski

Urodzony w Krakowie w 1945 roku. Z wykształcenia inżynier, pracował większość życia jako informatyk. Od 2006 r. jest wicedyrektorem i jednym z twórców MOW-Muzeum Obrony Wybrzeża Stowarzyszenia „Przyjaciele Helu". Autor wielu artykułów do prasy lokalnej o historii Helu, autor pięciu „zeszytów helskich" (wydawnictwo MOW) o tematyce militarnej związanej z obroną polskiego wybrzeża.

WIELKI KONKURS NA 15-LECIE

ODKRYWCY ROZTRZYGNIĘTY

Z okazji 15-lecia „Odkrywcy", w numerze kwietniowym ogłosiliśmy konkurs dla Czytelników naszego miesięcznika. Konkurs składał się z III etapów. W każdym z nich zadawaliśmy 5 pytań. W numerze lipcowym, chcąc dać szansę tym wszystkim, którzy mogli przeoczyć jakiś jego etap, zebraliśmy wszystkie pytania i ponownie je opublikowaliśmy.

Każdorazowo, po zakończeniu jednego z etapów, nagradzaliśmy 10 uczestników nagrodami książkowymi. Teraz wreszcie przeszedł czas na ogłoszenie laureatów głównych nagród.
10 uczestników, którzy prawidłowo odpowiedzieli na wszystkie 15 pytań nagradzamy najnowszą wersję gry „Tomb Raider" (PC) w polskiej wersji językowej. Głosu Larze Croft udzieliła Karolina Gorczyca.

Przedstawiamy zwycięzców wielkiego konkursu „15 pytań na 15-lecie", którzy otrzymują od nas grę komputerową.

– Anna Kępa
– Bożena Zalewska
– Arkadiusz Kamiński
– Andrzej Komandos
– Leszek Hoppe
– Piotr Kulik
– Wiesław Mączkowski
– Andrzej Lipski
– Mieczysław Oskiera
– Roman Żuk

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na wszystkie 15 pytań:

1C; 2A; 3C; 4C; 5A; 6B; 7C; 8A; 9C; 10B;
11B; 12C; 13A; 14A; 15B

Przypominamy, że listy laureatów kolejnych III etapów konkursu publikowaliśmy w numerach: czerwcowym (6/173), lipcowym (7/174) i sierpniowym (8/175).

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursach. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród.

Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom gratulujemy!

Płużnica Wielka – niby taka nijaka…

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Mijając Toszek i jadąc główną trasą w stronę Strzelec Opolskich, po drodze przejeżdżamy przez miejscowość Płużnica Wielka. Pewnie nie zwrócicie na nią uwagi, bo z pozoru niczym się nie wyróżnia. Wygląda dokładnie tak samo, jak inne. Ale uwierzcie mi, nie jest taka sama. Dlaczego? Jej dawni mieszkańcy mieszkają w Teksasie, interesował się nią sławny reżyser Kazimierz Kutz, a władze PRL-u nie chciały wyrazić zgody na film, który zamierzał nakręcić. I jest jeszcze coś. Całkiem możliwe, że właśnie stąd pochodzi rodzina papieża, który był Polakiem. Bynajmniej nie mam na myśli Jana Pawła II. To chyba wystarczy, żeby się tutaj zatrzymać.

Płużnica Wielka, to miejscowość o bardzo starym rodowodzie, co charakterystyczne dla wszystkich okolicznych wsi. Została poświadczona już w dokumencie biskupa wrocławskiego Jana Romki z dnia 13 X 1299 r., a później w kolejnych dokumentach z 1302, 1355 i 1447 r. Od początków XIV w. majątek w Płużnicy Wielkiej należał do rodziny Kiczka z Dolnej koło Strzelec Opolskich – śląskiego rodu szlacheckiego. Rodzina Kiczka od połowy XV w. zaczęła używać nazwiska Płużnicki (niem. Pluschnitzki), co bez wątpienia było związane z posiadaniem tego majątku, z którym właściciele mocno się identyfikowali. Rodzina Płużnickich była również właścicielem wielu innych okolicznych majątków. Ich nazwisko, jeszcze podawane jako Kiczka, po raz ostatni pojawiło się w dokumencie z 1644 r., wymieniającym śląskie rody szlacheckie. Później już go nie spotykamy. W II połowie XVII w. właścicielami Płużnicy Wielkiej była rodzina Przyszowskich (niem. Preiswitz), a po nich Franz Wilhelm von Larisch. Ten w 1706 r. odsprzedał majątek Andreasowi von Wehner, który był jego właścicielem do II połowy XVIII wieku. Płużnica Wielka została wraz z sąsiednią Błotnicą Strzelecką połączona w majorat Błotnica-Centawa i przekazana Karolowi Fryderykowi von Posadowsky-Wehner (1761-1840), synowi Fryderyka Wilhelma z Toszka i Amalii von Wehner. Po nim majorat odziedziczył jego najstarszy syn –Jerzy von Posadowsky-Wehner (1785-1851). Kolejnym dziedzicem był syn Jerzego – Hermann (1825-1912), za czasów którego mieszkańcy Płużnicy Wielkiej rozpoczęli swój exodus do USA. Rodzina von Posadowsky-Wehner była właścicielami tego majątku aż do końca II wojny światowej.

Kościół w Płużnicy Wielkiej. Fot.: D. Pietrucha.

Symbolem religijnej historii tej miejscowości jest obecny kościół, wybudowany w XVI w. w stylu późnogotyckim, prawdopodobnie jeszcze w czasach, gdy właścicielami miejscowości była rodzina Płużnickich. Jest doskonale widoczny, gdyż stoi przy głównej drodze do Opola. Podobno pierwsza świątynia została wzniesiona jeszcze w XIII w., ale spłonęła. Obok wybudowanego w XIV w. kościoła stała drewniana, wolno stojąca wieża, którą na przełomie XVIII i XIX w. zamieniono na murowaną, dostawioną do bryły kościoła. Obecnie jest to parafia św. Stanisława Biskupa i Nawiedzenia NMP w Płużnicy Wielkiej. To właśnie w tym kościele mieszkańcy żarliwie modlili się przed swoim wyjazdem do USA, licząc na boskie wsparcie i uśmiech losu. Kościół jest otoczony starym, kamiennym murem, a wokół niego znajduje się cmentarz. W pierwszej połowie XIX w. właściciele Płużnicy Wielkiej wybudowali sobie w tej miejscowości pałac. Nie była to jednak główna siedziba rodu von Posadowsky-Wehner, gdyż ta znajdowała się w pobliskiej Błotnicy Strzeleckiej (podczas III powstania śląskiego był on siedzibą polskiego sztabu powstańczego, o czym informuje umieszczona na ścianie pałacu tablica). Pałac w Płużnicy Wielkiej służył jako siedziba zarządcy majątku. Bez wątpienia, podobnie jak miejscowy kościół, był on świadkiem exodusu mieszkańców tej miejscowości, a po wojnie, tradycyjnie, był siedzibą PGR-u. Obecnie to własność prywatna. Pałac jest zamieszkały, choć jego stan pozostawia wiele do życzenia. Obok niego pozostały reszt-

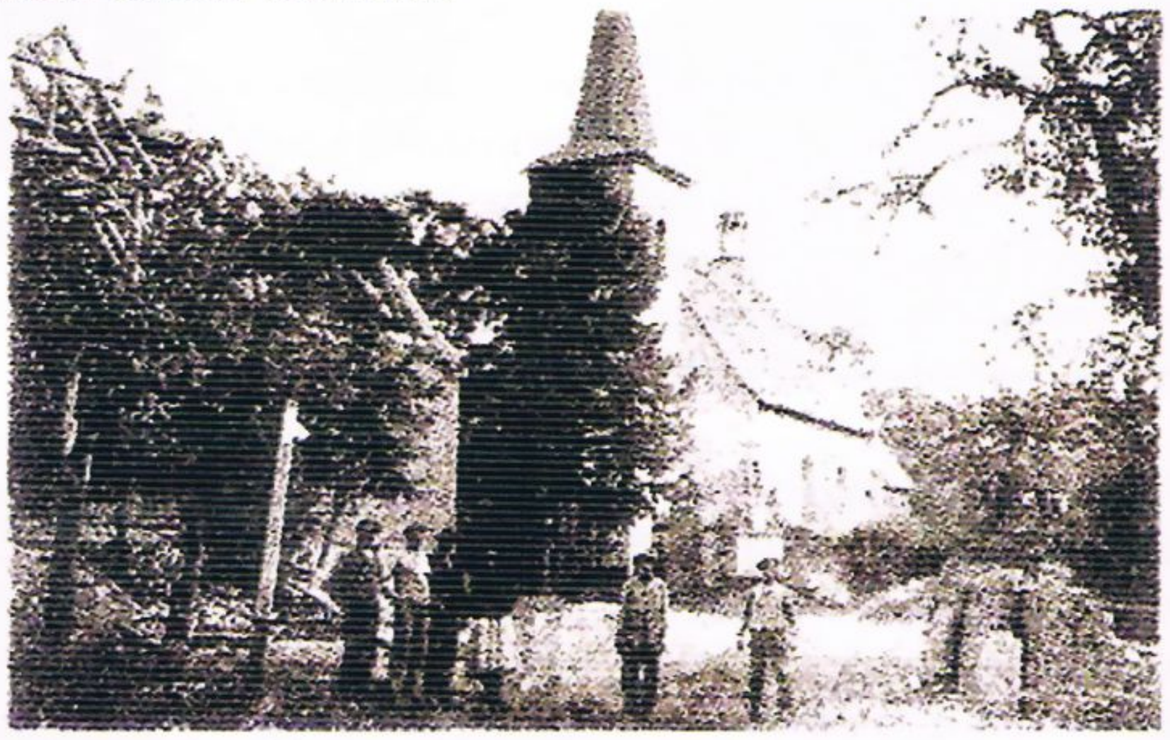

Kościół w Płużnicy Wielkiej na archiwalnym zdjęciu. Źródło: www.fotopolska.eu

ki zabudowań folwarcznych oraz relikty przepięknego parku krajobrazowego (w co trudno uwierzyć, biorąc pod uwagę jego dzisiejszy wygląd). Zarówno kościół[1], jak i pałac[2] wraz z parkiem[3] zostały wpisane do rejestru zabytków.

Jednakże kluczową postacią tej opowieści jest ksiądz Leopold Bonawentura Maria Moczygemba, który urodził się 18 X

Pałac rodu Posadowsky-Wehner w Płużnicy Wielkiej. Fot.: D. Pietrucha.

Pałac rodu Posadowsky-Wehner w Błotnicy Strzeleckiej. Fot.: D. Pietrucha.

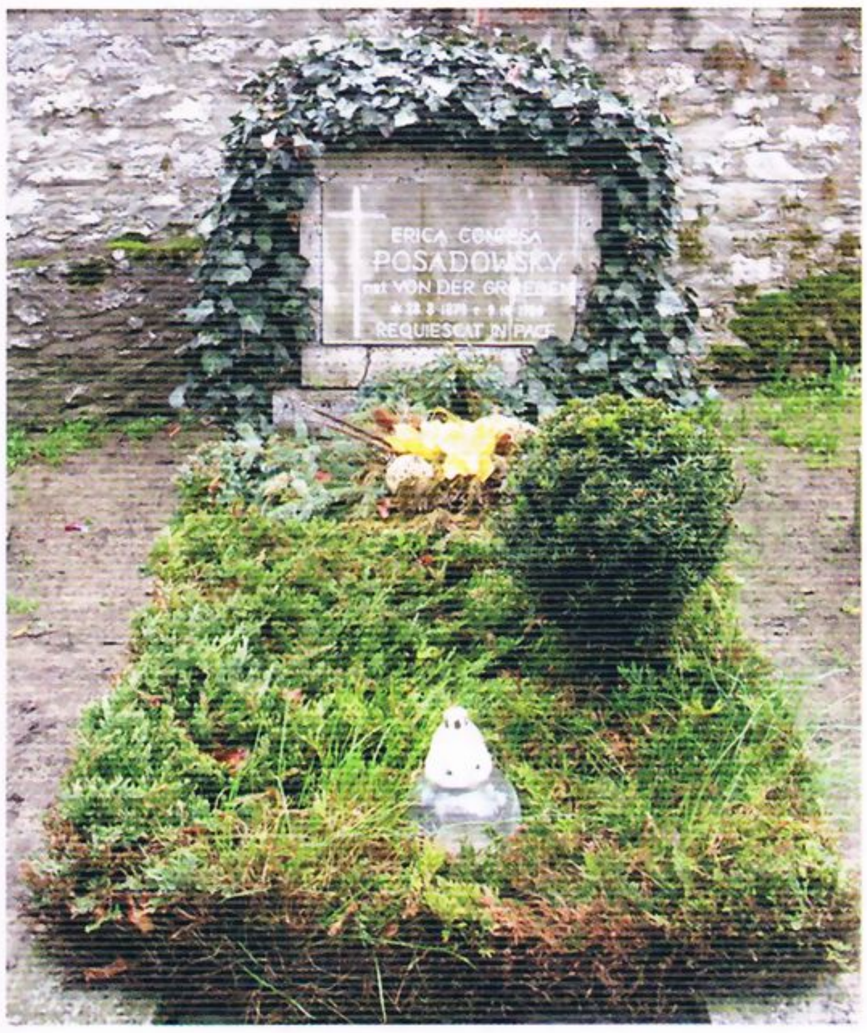

Grób hrabiny Eriki von Posadowsky na cmentarzu w pobliskiej Centawie. Fot.: D. Pietrucha.

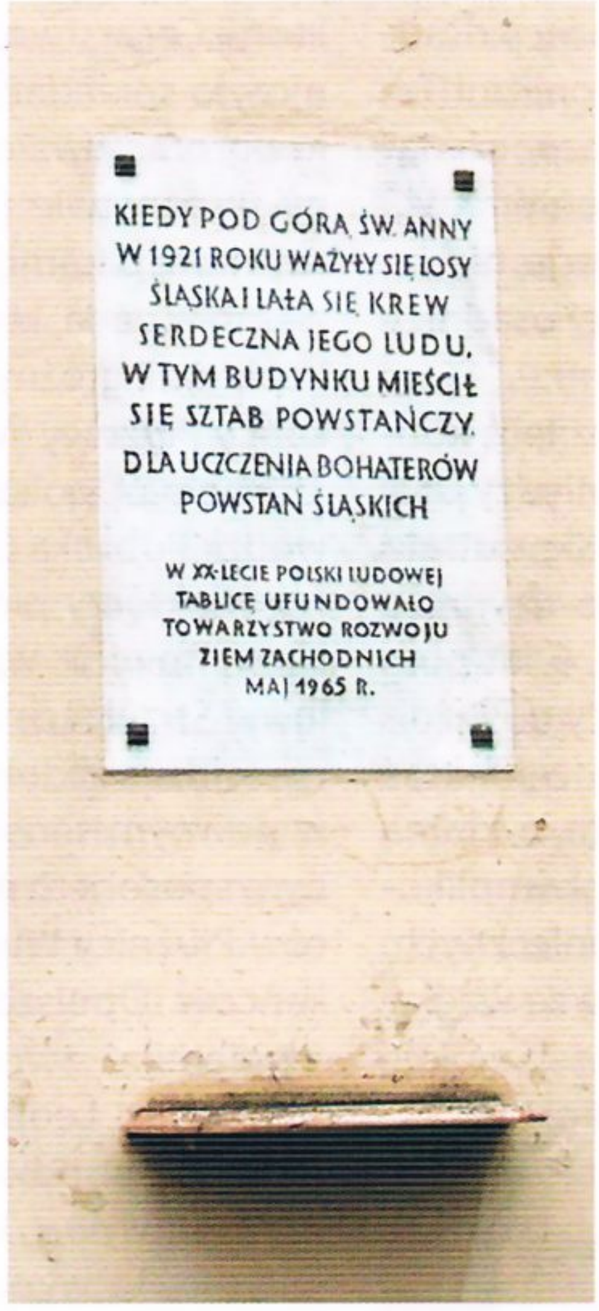

Tablica pamiątkowa na pałacu w Błotnicy Strzeleckiej. Fot.: D. Pietrucha.

1824 r. właśnie w Płużnicy Wielkiej. Miejscowość nosiła wtedy niemiecką nazwę Gross Pluschnitz (w latach 1936-1945 Marklinden). Jego ojcem był Leopold Moczygemba (1794-1869) – karczmarz urodzony w Płużnicy Wielkiej. Matką, Ewa (1789-1876) z domu Krawiec, córka chłopa z Boguszyc. Razem mieli dziesięcioro dzieci. To normalne w tamtych czasach, gdyż śmiertelność wśród dzieci była tak wysoka, że niewiele z nich dożywało wieku dorosłego. Poza tym do pracy na roli trzeba było jak najwięcej rąk. Inaczej nie dało się przeżyć. Bratem Leopolda Moczygemby był Józef, dwukrotnie żonaty. Wraz ze swoją drugą żoną Karoliną, z domu Szyguda, także znaleźli się w Teksasie. Kolejni bracia księdza Leopolda to Jan i Tomasz.

Młody Leopold skończył szkoły w Gliwicach i w Opolu. W późniejszym okresie znalazł się we Włoszech, gdzie 17 XI 1843 r. wstąpił do zakonu franciszkanów, którzy m.in. mieli swój klasztor na pobliskiej Górze św. Anny. Leopold otrzymał imię zakonne Grzegorz. Swój kapłański nowicjat odbył również we Włoszech, przebywając w klasztorze Santa Vitoria delle Fratte w Osimo. Był bardzo młodym kandydatem na kapłana. 18 XI 1844 r. złożył śluby zakonne, a 25 VII 1847 r. we włoskim Pesaro przyjął święcenia kapłańskie. Miał wtedy niecałe 23 lata, więc potrzebna była specjalna dyspensa. Wkrótce potem całą Europę ogarnęły potężne wstrząsy polityczne związane z okresem Wiosny Ludów (1848-1849), które na terenie państw włoskich przypominały prawdziwą erupcję wulkanu.

Kolejnym etapem były Niemcy. Leopold udał się do Bawarii, do istniejącego do dzisiaj klasztoru franciszkanów Oggersheim w Ludwigshafen (5 III 1993 r. klasztor został przekazany Krakowskiej Prowincji Franciszkanów). W 1851 r. zdołał jeszcze na kilka tygodni wyjechać do rodziny w Płużnicy Wielkiej, której nie widział od kilku lat. W miejscowym kościele odprawił swoją pierwszą mszę. Podobno zatrzymał się tutaj na dłużej, niż początkowo przewidział (musiał uzyskać na to specjalną zgodę), gdyż miejscowy ksiądz rozchorował się i trafił do sanatorium, więc Leopold go zastąpił. Prawdopodobnie właśnie w tym czasie zdobył zaufanie swoich krajan, które miało zaowocować na przyszłość. Jego rodzicom zależało na tym, aby ich syn został skierowany do działalności misyjnej gdzieś bliżej, by mógł częściej ich odwiedzać i doglądać. Podobno nawet pisali w tej sprawie do różnych kościelnych instytucji. Los sprawił inaczej. W 1852 r. w klasztorze Oggersheim ksiądz Leopold spotkał pochodzącego z Francji misjonarza i biskupa, Jean-Marie Odina (1800-1870)[4], zafascynowanego USA i Ameryką Północną. Odin szukał w Europie księdza do pomocy. Zapewne dla młodego Leopolda o wiele starszy od niego Jean-Marie stał się kimś w rodzaju życiowego mentora. Jean-Marie doskonale znał obszar Teksasu. Można podejrzewać, że to właśnie on rozpalił w wyobraźni Leopolda obszar teksańskiego pustkowia jako raju, do którego warto dotrzeć i pozostać tam na całe życie. Podobno Odinowi młodego Leopolda, jako obiecującego kapłana i misjonarza, polecił ksiądz Bonaventura Keller, również urzeczony USA, a także samym Teksasem. Leopold wraz ze swoim mentorem udał się więc do Teksasu, gdzie zajął się działalnością misyjną. W USA ksiądz Leopold początkowo pracował wśród niemieckich osadników w takich miejscach jak: New Braunfels, Fredericksburg czy Castroville.

Tak naprawdę Teksas, którym „zarażono" młodego Leopolda Moczygembę, wcale nie był rajem na ziemi. Od 1821 r., czyli od momentu zdobycia przez Meksyk niepodległości, był częścią tego państwa niezależną od USA. Co prawda znalazło się tam około 12 tys. Amerykanów, ale tylko dlatego, że meksykański rząd stworzył im dobre warunki do osiedlenia się, zapewniając również spory zakres lokalnej autonomii. Jednak-

że wraz ze wzrostem napływu emigrantów z USA, szczególnie ze stanów południowych, w których rzeczą normalną było stosowanie niewolnictwa, w 1829 r. rząd meksykański zakazał osiedlania się w Teksasie Amerykanom, znosząc jednocześnie na swoim terenie niewolnictwo. Decyzja ta wywołała głęboki sprzeciw amerykańskich osadników w Teksasie, stając się źródłem narastających napięć. Bunt emigrantów osiągnął swoje apogeum w marcu 1836 r., kiedy to mieszkańcy Teksasu, chcąc uwolnić się od panowania Meksyku, ogłosili powstanie Republiki Teksasu – na podstawie deklaracji niepodległości Teksasu uchwalonej 20 XII 1835 r. w miejscowości Goliad. To był pretekst do rozpoczęcia antymeksykańskiego buntu. Za odłączeniem się od Meksyku byli zarówno amerykańscy osadnicy, jak i mieszkający na terenie Teksasu autochtoniczni Tejanos. Na Teksas uderzyły wojska meksykańskie, rozpoczynając krwawą wojnę, której najbardziej znanym momentem była słynna obrona Alamo (luty-marzec 1836) położonego niedaleko San Antonio. Właśnie w te okolice trafili później osadnicy z Płużnicy Wielkiej.

Całkowite rozwiązanie trwającego jeszcze przez lata konfliktu nastąpiło w 1848 r., po zakończeniu wojny pomiędzy USA a Meksykiem, który raz na zawsze musiał pogodził się z utratą Teksasu. Nowa granica, tak doskonale znana z telewizyjnych westernów, została ustalona na rzece Rio Grande. 6 lat później zjawili się tutaj osadnicy z Płużnicy Wielkiej. Okazało się, że Teksas nie jest obiecanym rajem, a krainą wyniszczoną wojną, o skomplikowanych stosunkach społecznych, a także niebezpieczną ze względu na bandy maruderów, krążące po całym jego obszarze. Nie wspomnę już o specyficznym klimacie, którego mieszkańcy Opolszczyzny w ogóle nie znali.

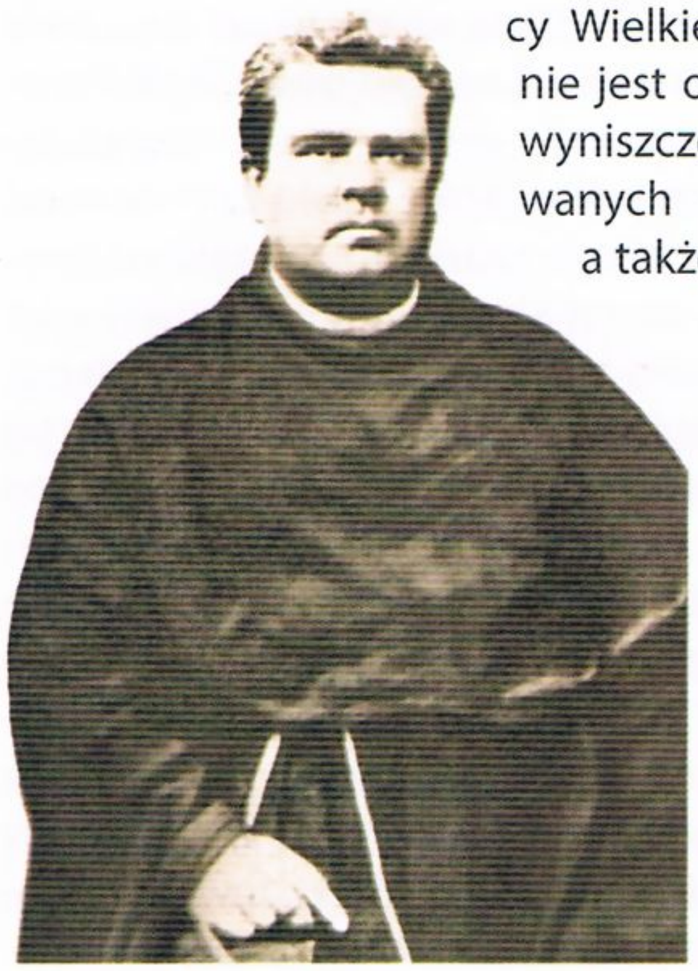

Ksiądz Leopold Moczygemba. Źródło: www.texascooppower.com

Biskup Jean Marie Odin. Źródło: www.acentury-oftradition.org

Natchniony przez swojego mentora wizją „teksańskiego raju", ksiądz Leopold Moczygemba zakupił ziemie w hrabstwie Karnes koło San Antonio, i rozpoczął przygotowania do ściągnięcia tam swoich rodaków – mieszkańców wsi Płużnica Wielka na Opolszczyźnie. Podobno planował stworzenie tam polskiej osady pod nazwą Cracow. Mieszkając koło San Antonio zaczął pisać listy, w których starał się nakłonić swoich krewnych i znajomych do przyjazdu. Nie było to łatwe, bo przecież wszyscy wiedzieli, że to podróż tylko w jedną stronę. Dlaczego zatem mieszkańcy Płużnicy Wielkiej dali się namówić na ten wyjazd? Być może chcieli uniknąć nędzy, która w tym czasie dotykała większość śląskich rodzin. A być może, pielęgnując polskie tradycje, starali się uciec od pruskiej rzeczywistości, od nawarstwiających się podatków, od służby w pruskiej armii, a także od narastających symptomów germanizacji. Co prawda czasy Otto von Bismarcka i jego Kulturkampfu miały dopiero nadejść, ale w tym rejonie Śląska żywioł polski miał się coraz gorzej. A ci, co wyjechali, bez wątpienia czuli się Polakami. Oni sami i ich potomkowie żyjący w USA podkreślali to z całą stanowczością. Na ich decyzję bez wątpienia miały również pośrednio wpływ wydarzenia polityczne związane z toczącą się w latach 1853-1856 wojną krymską, podczas której Cesarstwo Rosyjskie wstrzymało, lub też znacznie ograniczyło sprzedaż żywności w Europie. To z kolei spowodowało ogromny wzrost cen żywności bardzo dotkliwie odczuwany w państwie pruskim. A że nieszczęścia lubią chodzić co najmniej parami, na Opolszczyźnie zapanowała wtedy zaraza ziemniaczana, która doprowadziła do katastrofalnej fali głodu i epidemii groźnych chorób. Ludzie mieli już tego dość. Mieszkańcy Płużnicy Wielkiej nie byli tu żadnym wyjątkiem. W lecie 1854 r. na Opolszczyźnie doszło do tragicznej w skutkach powodzi. Pobliska Odra wylała, zalewając wiele pól i miejscowości. Niektórzy próbowali się jednak ratować kosztem innych. Niesamowicie wzrosła fala przestępstw, a więzienia w Opolu i w Strzelcach Opolskich były przepełnione. Ludzie cierpieli nie widząc żadnej nadziei na przyszłość. Zaproszenie do USA, w pewnym sensie, było dla nich jedynym, realnym i osiągalnym sposobem na przeżycie. Nie dotyczyło to tylko mieszkańców Płużnicy Wielkiej, bo w 1855 r. rozmiary emigracji mieszkańców Opolszczyzny do USA przybrały wręcz znamiona epidemii.

Ksiądz Leopold Moczygemba obiecywał swoim krajanom, że w nowym miejscu nie będą musieli płacić podatków. Opisywał Teksas, jako krainę pełną traw, gdzie spokojnie można wypasać duże ilości zwierząt. Każdy z nich mógł kupić tyle ziemi, na ile będzie go stać. Nie było w tym żadnych ograniczeń. Nikt nie miał ich dyskryminować za to, że czuli się Polakami. Moczygemba pisał, że z racji ciepłego i suchego klimatu nie istnieje niebezpieczeństwo powodzi. Mężczyźni nie musieli się obawiać powołania do armii, w której będą musieli walczyć i ginąć w obcej sprawie. Co najważniejsze, dzięki dobrej ziemi i łagodnej przyrodzie, będą w stanie wyprodukować tyle żywności (mając w tym względzie ogromne doświadczenie), że sami jej nie zjedzą, więc będą mogli sprzedawać ją okolicznej ludności. Cóż więcej do szczęścia było potrzebne ludziom, którzy już od wielu lat cierpieli głód? Zdecydowali się wyjechać, kuszeni wizją lepszego świata. Wierzyli księdzu Moczygembie. W końcu był jednym z nich. Jego listy wywołały prawdziwą sensację na Górnym Śląsku. Jedna rodzina przekazywała je drugiej do przeczytania, jak świętą relikwię. Zapisane kartki wędrowały po rodzinach w Płużnicy Wielkiej, Boguszycach, Jemielnicy oraz Dolnej. Ludzie słuchali tych słów z wypiekami na twarzy. Władze pruskie wiedziały o tym, co się dzieje, ale właściwie było im to na rękę. Jeżeli polski żywioł wyemigruje do Ameryki, na ich miejsce będzie można sprowadzić niemieckich osadników. Nikt nie miał zamiaru przeszkadzać im w wyjeździe.

Możemy sobie wyobrazić, jak trudna była to decyzja. Trzeba było sprzedać wszystko, co się posiadało i pożegnać się

z ziemią rodzinną uprawianą od pokoleń. Z ojcowizną. Pożegnać się z własnymi domami… z miejscem swoich urodzin. Zamknąć za sobą drzwi i ruszyć w daleki, nieznany świat. Pierwsza grupa ruszyła we wrześniu 1854 roku. Niemiecka gazeta w Poznaniu, edycja z 26 IX 1854 r., odnotowała, że około 150 Polaków z Opolszczyzny udało się pociągiem do Berlina, a stamtąd, także pociągiem, do Bremy. Z Bremy statkiem ruszyła do USA. Prawdopodobnie mylnie podano ich liczbę, gdyż nie było to 150 osób, lecz 150 rodzin (co do tego nie ma jednak pewności). Prawdopodobnie pociągiem z Gliwic dostali się do Wrocławia, a dalej pociągiem do Berlina. Jako początek ich podróży podaje się datę 15 IX 1854 rok. Podobno towarzyszący im ksiądz zabrał ze sobą kościelny dzwon, ziarno siewne oraz resztki dobytku. Pieniędzy, które dostali za swoją ziemię i domy, starczyło jedynie na podróż do Bremy. Podawana jest również informacja, że emigranci pieszo wyruszyli do portu w Gdańsku, skąd statkiem popłynęli do USA. Organizacją takich wypraw zajmowali się specjalni agenci emigracyjni, w tym przypadku niemieccy.

Osadnicy płynęli na pokładzie 265-tonowego statku „Weser". Nie wiadomo dlaczego, po czasie, część podróżnych przesiadła się ze statku „Weser" na „Antoinette". Na statkach panował ogromny ścisk, a warunki podróży były okropne. Osadnikom wolno było zabrać tylko niewielki, podręczny bagaż. Wiele osób nie przetrzymało trudów podróży. Zmarłych chowano w morzu. Taki los spotkał pierwszą żonę Józefa Moczygemby, brata Leopolda. Ich rejs przez Atlantyk trwał 9 tygodni, zanim w dniu 3 XII 1854 r. przybili do położonego niedaleko Teksasu portu w Glavestone. Tam nikt na nich nie czekał, skończyły się też pieniądze, więc w obcym kraju, wypełnionym obcymi ludźmi i niezrozumiałą mową, trzeba było poruszać się pieszo. Trzeba było sobie radzić.

W podróż w nieznane wyruszyło około 100 dobrze znających się rodzin, w sumie, mniej więcej, 800 osób w różnym wieku[5]. Wszyscy byli katolikami. Niektórzy z nich, zapewne ze względu na wiek, nie podjęliby takiego ryzyka, ale przecież nie mogli sami pozostać w nieznanym sobie miejscu. Razem podjęli decyzję, więc i razem będą kontynuować podróż. Wśród nich było bardzo dużo małych dzieci. Najpierw z Glavestone łodzią dostali się do portu Indianola. Stamtąd do miejsca przeznaczenia dzielił ich dystans około 150 mil (ok. 240 km). Pieszo przez kilka następnych tygodni przemieszczali się w stronę Teksasu, do rozwidlenia rzek San Antonio i Cibolo, próbując odnaleźć w tym pełnym niebezpieczeństw świecie własne, nowe miejsce na ziemí. Bez wątpienia spora część z nich już wtedy żałowała swojej decyzji, ale drogi odwrotu nie było. Zostawało tylko iść całą grupą, dalej i dalej przed siebie, do upragnionego i obiecanego w listach przez księdza Moczygembę raju, który wcale nim nie był. Ale oni jeszcze o tym nie wiedzieli. Każdego dnia przemierzali dystans od 12 do 18 mil. W dniu 21 XII 1854 r. dotarli do San Antonio. Dopiero tam spotkali księdza Leopolda Moczygembę, który przyjechał do nich z Castroville. Razem ruszyli w dalszą podróż do ostatecznego miejsca osiedlenia się, do którego było jeszcze około 60 mil. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, lecz brak zimowej aury jeszcze bardziej przygnębiał osadników. Na pustkowiu nie można było znaleźć choinki, na której można było zawiesić prowizoryczne ozdoby, więc po prostu zawiesili je na kaktusach. Podobno 24 XII 1854 r. odprawili swoją pierwszą mszę świętą. Na miejsce odprawienia mszy wybrali poletko pod wielkim dębem, który stoi do dzisiaj.

Dotarli do miejsca, które było własnością księdza Leopolda Moczygemby. Wycieńczeni podróżą nie mieli czasu zastanawiać się, czy jest tam ładnie, czy bezpiecznie… Wielu z nich już wtedy poczuło się oszukanych. Wokół nie było nic, oprócz wysokiej trawy i niewielu drzew. Powrotu jednak nie było, zdani tylko na siebie, musieli zacząć „nowe życie". Przystąpili więc do budowy pierwszych, prowizorycznych zabudowań. Tak powstała pierwsza polska osada w USA, którą osadnicy nazwali Panna Maria (ang. Virgin Mary). W 1855 r. dotarła tu następna grupa osadników. Prawdopodobnie było ich około 700. Wyruszyli na pokładzie trzech statków z portu w Bremie. Ich rejs trwał 59 dni. Przypłynęli na pokładzie statków „Ostend", „Weser" i „Gessner". Gdy dotarli do San Antonio, zostali tam przejęci przez Niemca, Johna Demnera, który poprowadził ich do Martinez Creek. Większość z nich w grudniu 1855 r. dotarła do osady Panna Maria. Późnym latem 1856 r. dołączyła kolejna grupa – ok. 500 osadników. Podobno osadnicy z drugiej i trzeciej grupy nie pochodzili tylko z Płużnicy Wielkiej, ale także z Opola, Strzelec Opolskich, Toszka, Lublińca i Olesna oraz ich najbliższych okolic. Wielu z nich, gdy znaleźli się już w Teksasie, utrzymywało ożywiony kontakt listowny ze swoimi rodzinami, które pozostały na Śląsku. Okres wielkiej teksańskiej suszy, jaka miała miejsce w 1856 r., gwałtownie powstrzymał falę emigracji ze Śląska do Teksasu.

Ziemia w okolicy osady Panna Maria była własnością Johna Twohiga, który sprzedawał ją śląskim osadnikom w cenie od 5 do 10,80 dolara za akr. Ksiądz Leopold Moczygemba był właścicielem kawałka ziemi wynoszącego 238 akrów. Rozparcelował go i podzielił pomiędzy osadników, których nie stać było na zakup ziemi od Twohiga. Zatrzymał jedynie rezerwę w postaci 25 akrów ziemi z przeznaczeniem na budowę kościoła. W 1857 r. w osadzie wybudowano pierwszy, kamienny dom, który był własnością Jana Rzepy. Jego wygląd przypominał śląskie, opolskie domy. Nic w tym dziwnego, bo przecież osadnicy przywieźli ze sobą do Teksasu także to, co doskonale zna-

Polscy emigranci wsiadający na pokład statku „Weser". Źródło: www.flmfoundation.org

Dąb w osadzie Panna Maria, miejsce pierwszej mszy świętej i… niedoszła szubienica. Źródło: www.info-poland.buffalo.edu

Pierwszy kamienny dom postawiony w osadzie… Źródło: www.info-poland.buffalo.edu

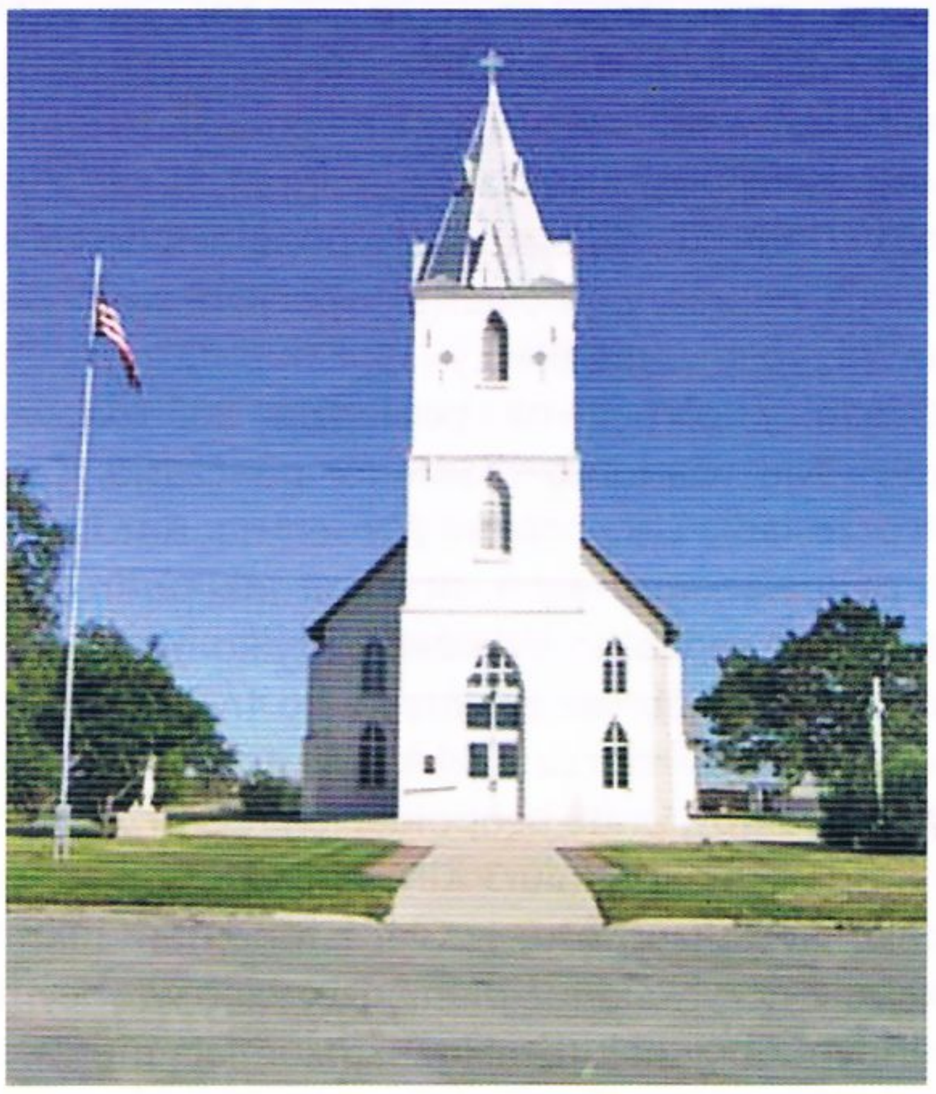

… i kościół w teksańskiej Pannie Marii. Źródło: www.info-poland.buffalo.edu

li i mieli w swoich sercach. W następnym roku kolejny kamienny dom postawił Jan Gawlik, a w 1859 r. wzniesiono następne trzy. Osadnicy zaczęli uprawiać swoje pola i dość szybko nauczyli się uprawy kukurydzy, rośliny charakterystycznej dla tej części świata. Pierwszy rok pobytu był dla nich dość łaskawy. Uczyli się wszystkiego, uprawiali ziemię, a także kupowali bydło. Od 1855 r. budowali swój pierwszy kościół, który później, w 1875 r. spłonął od uderzenia pioruna. Został poświęcony 21 III 1856 r. Przed wejściem do kościoła ustawiono Krzyż Święty z postacią Chrystusa, który jeszcze na Śląsku przygotowali Jan Rzepa i Franciszek Cebula, a w 1856 r. przywieźli go ze sobą do USA (krzyż do dzisiaj stoi nieopodal budynku obecnego kościoła). Gdy osadnicy zdołali już się nieco przyzwyczaić do nowego miejsca, zrozumieli, jak ciężko tu żyć. W 1877 r. wznieśli kolejny kościół, który w 1937 r. został powiększony. Jest zadziwiająco podobny do kościoła w Płużnicy Wielkiej. Podobno na jego konsekracji obecny był ksiądz Leopold Moczygemba, który już wtedy był skłócony z większością osadników. W 1855 r. mieszkańcy osady Panna Maria rozpoczęli naukę swoich dzieci, ale dopiero w 1860 r. zbudowali szkołę św. Józefa – pierwszą polską, prywatną szkołę w USA. Ich dzieci były uczone w języku polskim i angielskim. Miało jeszcze upłynąć wiele lat, zanim osadnicy wreszcie poczuli się Amerykanami, choć nigdy nie przestali być Polakami.

Mieszkańcom Panny Marii nie żyło się lekko. Borykali się z wieloma problemami, których wcześniej nie znali. Klimat – powodował u niektórych złą kondycję zdrowotną. Pustynia – pełna jadowitych węży i niebezpiecznych włóczęgów – była ciągłym zagrożeniem. Pogoda – na przemian susze i powodzie, przynosiła straty, i na dodatek epidemie malarii. Nie wszyscy poradzili sobie w tych warunkach. Zapewne wielu z nich zmarło. Niektórzy odeszli w inne miejsca. Część wyjechała do San Antonio. Spora grupa przeniosła się w okolice St. Louis w stanie Missouri. W 1858 r. w Pannie Marii mieszkało jeszcze 120 rodzin, ale już w 1909 r. było ich około 80-ciu. W San Antonio mieszkało kolejnych 50 rodzin, w mieście Bandera – 20, a w Martinez Creek 25 rodzin. Dla wielu Teksas nie był obiecanym rajem. Ogromne rozgoryczenie doprowadziło wkrótce do znacznego pogorszenia się wzajemnych relacji pomiędzy osadnikami a księdzem Leopoldem Moczygembą. Swoją frustrację i gniew osadnicy obrócili przeciwko niemu, uważając, iż to właśnie on jest winien wszystkich nieszczęść, które spotykały ich na każdym kroku. Wybuchł bunt. Musiał mieć bardzo gwałtowny przebieg, skoro osadnicy chcieli nawet powiesić księdza. Nota bene na tym samym dębie, przy którym odprawili swoją pierwszą mszę świętą w 1854 roku… Ksiądz zdołał jednak uciec i resztę życia spędził na północy USA. Jego parafianie pozostali na miejscu, choć część z nich wyjechała do pobliskiego miasta Bandery. Nowym księdzem osady Panna Maria został ksiądz Antoni Rosadowski, którego wkrótce zastąpił ksiądz Julian Przysiecki, podróżujący między wszystkimi polskimi osadami w Teksasie. Nieczęsto więc można go było spotkać w osadzie Panna Maria. Zresztą wkrótce stał się ofiarą wypadku i zginął. Zabrakło księdza, a osadnicy umierali bez ostatniego sakramentu.

A ksiądz Moczygemba? W 1879 r. w Orchand Lake w stanie Detroit założył polskie Seminarium św. Cyryla i Metodego. Przez resztę swojego życia czynnie wspierał Ślązaków i Polaków osiedlających się w północno-centralnych stanach USA (Wisconsin, Illinois, Indiana, Michigan, Missouri i New York). Był wybitnym księdzem. Długi czas mieszkał w Syracuse, w stanie Nowy Jork. Podobno biegle znał siedem języków. Był pierwszym prezesem Polonii amerykańskiej. W 1882 r. założył miasto Jasna Góra w stanie Illinois. Zmarł 23 II 1891 r. w miejscowości Dearborn w stanie Michigan. Został pochowany w Detroit, ale w 1974 r. jego doczesne szczątki przeniesiono do miejscowości Panna Maria.

W 1861 r. w USA wybuchła wojna secesyjna, która w dużej mierze rozgrywała się na obszarze Teksasu. Wojna, przed którą uciekali Ślązacy, dopadła ich w innym, obcym miejscu. Wszyscy mężczyźni w wieku od

18 do 50 lat zostali powołani do armii konfederackiej (siły Południa). Żegnani przez kobiety i dzieci wyruszyli na wojnę, z którą nie mieli nic wspólnego. Wielu z nich na różne sposoby próbowało uniknąć powołania do wojska. Ci, którzy trafili do armii, a w trakcie walk dostali się do niewoli, skorzystali z propozycji i włożyli mundur wojsk Unii (Północy). Najbardziej znanym z nich był nauczyciel z Panny Marii, Piotr Kiełbasa, który dosłużył się stopnia kapitana kawalerii wojsk Unii. Mogło więc się zdarzyć, że walczyli przeciwko sobie. Władze Teksasu w 1863 r. opublikowały w prasie nazwiska tych, którzy przeszli do wojsk Unii, co stało się powodem wrogiego nastawienia sąsiadów wobec śląskich osadników. Mieszkający wokół Amerykanie uważali, że polscy osadnicy sympatyzują z Unią. Takie przekonanie pozostało w nich na wiele następnych lat. Gdy wojna secesyjna zakończyła się w 1865 r., do swoich domów powrócili ci, którzy ją przeżyli. Część z nich nie została rozpoznana przez swoje własne rodziny… Właściwie dopiero po zakończeniu wojny secesyjnej polscy osadnicy uzyskali pełne prawa wyborcze i stali się prawdziwymi obywatelami USA. W latach 1886-1887 kolejna duża grupa osadników opuściła to miejsce, korzystając z wybudowania w okolicach San Antonio linii kolejowej.

Miejscowość Panna Maria z czasem stała się centrum życia amerykańskiej Polonii w Teksasie. Bez wątpienia jest najstarszą polską osadą w USA. Wkrótce zaczęły powstawać kolejne polskie osady, takie, jak założona w 1873 r. Cestohowa, Pawelekville czy też powstała w 1883 r. osada Kosciusko. Miasteczko Panna Maria istnieje do dzisiaj, choć mieszka w nim tylko około 100 osób. Podobno część z nich nadal zna język polski. Ma bardzo mało mieszkańców i właściwie stała się typowym dla krajobrazu Teksasu „miastem-widmem". Na upadek osady bez wątpienia ogromny wpływ miał fakt uruchomienia w latach 50., nieopodal osady, kopalni uranu. W całym Teksasie żyje obecnie około 200 tys. osób posiadających polskie korzenie. Dzisiaj Panna Maria przyciąga wielu turystów. W 1966 r., gdy obchodzono 1000-lecie istnienia państwa polskiego, w miejscowości odbyły się uroczystości z udziałem blisko 10 tys. osób. Prezydent USA Lyndon B. Johnson przekazał wówczas mieszkańcom Panny Marii kolorową, kamienną mozaikę złożoną z 12 tys. kamyków przedstawiającą Matkę Boską Częstochowską, wykonaną przez artystę Jana E. Krantza. Mozaika została umieszczona w kościele w osadzie Panna Maria i do dzisiaj tam się znajduje. W XX w. mieszkańcy osady nawiązali kontakty ze swoimi rodzinnymi stronami i pielęgnują je do dzisiaj. Czasami odwiedzają się w USA i w Polsce. Co ciekawe, zachowali w swojej mowie elementy śląskiej gwary tworząc specyficzną gwarę teksańską, w której można zauważyć o wiele mniej wpływów języka niemieckiego niż u ludności zamieszkującej Opolszczyznę. Przez cały XIX w. w amerykańskich dokumentach urzędowych większość z nich podawała, jako kraj swojego urodzenia, Polskę, choć przecież ta wtedy nie istniała. Amerykańska osada Panna Maria doczekała się już nawet swojego katolickiego biskupa, którego konsekrował biskup opolski Alfons Nossol. W 1986 r. do osady ze Śląska przyjechał ksiądz Franciszek Kurzaj. Osadę Panna Maria w 2004 r. odwiedził również Lech Wałęsa.

Natomiast w Płużnicy Wielkiej obecnie mieszka około 200 osób. Obydwie osady są więc porównywalne. Na ścianie kościoła w Płużnicy Wielkiej znajduje się pamiątkowa tablica wspominająca postać księdza Leopolda Moczygemby. Na

REKLAMA

płużnickim cmentarzu znajduje się wiele nagrobków rodziny księdza, zresztą nie tylko tutaj. W wielu okolicznych miejscowościach spotykamy te same nazwiska, gdyż w tamtych czasach były to niewielkie wsie, w których żyły prawdziwe rodzinne klany. Świadczy to o tym, że część rodziny księdza pozostała na miejscu. Nie odważyli się na tak wielkie ryzyko. Na wyjeździe z Płużnicy Wielkiej w stronę Strzelec Opolskich stoi kamienny krzyż przydrożny, wystawiony w 1877 r. przez Franza Moczygembę.

W latach 70. słynny, pochodzący z Górnego Śląska reżyser filmowy Kazimierz Kutz miał zamiar stworzyć film opowiadający historię mieszkańców Płużnicy Wielkiej i ich ucieczki do Ameryki. Zapewne zainteresował się historią tego miejsca z powodu swojego brata Henryka, który podczas wojny pracował w Płużnicy Wielkiej jako robotnik przymusowy. Co ciekawe, na cmentarzu w Płużnicy Wielkiej znajduje się nagrobek niejakiego Emila Kutza. Niestety nie wiem, czy to jakaś rodzina. Kutz napisał nawet scenariusz filmu pt. „Różowy horyzont". Film miał być trzecią częścią „śląskiego tryptyku", którego dwie poprzednie odsłony to „Sól ziemi czarnej" i „Perła w koronie". Rolę księdza Moczygemby miał podobno odegrać wybitny polski aktor, pochodzący ze Śląska, Franciszek Pieczka. Reżyser pojechał ze scenariuszem „Różowego horyzontu" do warszawskiego Ministerstwa Kultury, ale tam nie wyrażono zgody na jego realizację. Ówczesnym PRL-owskim decydentom nie podobała się historia ucieczki zwykłych ludzi do USA, prowadzonych przez jakiegoś księdza. I ta nazwa miejscowości – Panna Maria… Nie przeszło. Zamiast tego powstał film „Paciorki jednego różańca". Może i dobrze, bo wyreżyserowany przez Kutza film jest doskonałą, przynajmniej dla mnie, kwintesencją śląskości.

A co wspólnego miał z niewielką Płużnicą Wielką i samym księdzem Leopoldem Moczygembą papież Pius X, którego pontyfikat przypadał na lata 1903-1914? Otóż Giuseppe Melchiorre Sarto, bo to o niego chodzi, ma dwie biografie. Oficjalna podaje, że był drugim dzieckiem listonosza Giovanniego Sarto (1792-1852) i szwaczki Margherity z domu Sanson (1813-1894). Przyszły papież urodził się 2 VI 1835 r. w miejscowości Riese, we włoskiej prowincji Treviso. Rodzina Sarto od pokoleń mieszkała w okolicach Wenecji. Biografowie papieża podają także nazwiska jego dziadków od strony ojca (Giuseppe Sarto i Paoli Giacomello) oraz pradziadków (Anzolim Sarto i Antonia Liviero). Jednakże po czasie okazało się, że jego oficjalna biografia raczej nie jest prawdziwa. Powiązania ze starym włoskim rodem Sarto okazały się bardzo naciągane. Urzędnicy watykańscy zaczęli tropić i doszli do wniosku, że Pius X nie jest z pochodzenia Włochem, lecz jego ojciec pochodzi gdzieś ze Śląska Opolskiego. Tropiąc dalej pojawili się na Opolszczyźnie, gdzie prawdopodobnie okazało się, że jest to prawdziwe miejsce urodzenia ojca papieża. Aby uniknąć skandalu, sprawę starano się zatuszować, a w kronice parafialnej wyrwano kartki, by nie było śladu prawdziwego pochodzenia Piusa X. Kim więc naprawdę był ojciec papieża i kim czuł się sam papież Pius X? Potwierdzeniem na polskie pochodzenie papieża może być fakt jego zadziwiającej przychylności dla Polaków. To właśnie Pius X w 1906 r. wyniósł do godności bazyliki świątynię jasnogórską, ustanawiając dzień 26 sierpnia kościelną uroczystością Matki Boskiej Częstochowskiej. Dbał też o to, aby na terenach etnicznie polskich godności biskupie obsadzać Polakami. Wykonał wiele przychylnych gestów wobec polskich duchownych. To dosyć dziwne, jeżeli wierzyć w oficjalne, włoskie pochodzenie Piusa X.

Ksiądz Jerzy Umiński w swoim wydanym pośmiertnie artykule w numerze „Katolika" z 1957 r. udowadniał, że ojciec Piusa X pochodził z Boguszyc koło Toszka, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało Krawiec. Co więcej, nazwisko Krawiec pojawia się wśród śląskich osadników w Teksasie. Z kolei biskup Józef Gawlina w liście do kardynała Augusta Hlonda z dnia 25 IV 1937 r. informował[6], że wśród Ślązaków krążą pogłoski, jakoby Pius X był spokrewniony z księdzem Leopoldem Moczygembą. Według Gawliny, Ewa Krawiec, matka księdza Moczygemby, miała być ciotką papieża Piusa X. Są również ślady tego, że ksiądz Moczygemba dość często podróżował do swojego wujka do Włoch, który miał być biskupem Mantui. Tymczasem biskupem Mantui od 1884 roku był właśnie Giuseppe Sarto, przyszły papież Pius X. Wygląda więc na to, że Giovanni Sarto, ojciec papieża, naprawdę pochodził ze Śląska Opolskiego i miał na nazwisko Krawiec. A krawiec, to po włosku sarto. Prawdopodobnie pochodził z Boguszyc, ale jego rodzina mieszkała również w Płużnicy Wielkiej, a także w okolicznych miejscowościach. Wiem o tym, bo w rozmowach potwierdzili mi tę informację miejscowi ludzie twierdząc, że rodzina Krawiec już wymarła. Całkiem możliwe, że ojciec przyszłego papieża wyemigrował ze Śląska Opolskiego do Włoch, gdzie poznał i poślubił Włoszkę Margerithę. Niestety, nie powiem Wam, czy cała ta historia jest prawdziwa, jednakże dla mnie śladów polskiego pochodzenia Piusa X jest zbyt wiele. Watykan do dzisiaj trzyma się oficjalnej biografii.

Gdy ostatnio byłem w Płużnicy Wielkiej, pod koniec kwietnia 2013 r., zauważyłem człowieka w kowbojskim kapeluszu. Takim prawdziwym, amerykańskim – na Śląsku. Zapewne w innym przypadku przyjąłbym ten widok z uśmiechem. Ale nie w Płużnicy Wielkiej. Tam doskonale rozumiem, o co chodzi. Tak właśnie zamyka nam się kółko śląskiej, opolskiej, płużnickiej i teksańskiej historii. Nie powiem, niezmiernie ciekawej. A niby Płużnica Wielka taka nijaka…

Przypisy:

[1] Wpis z dnia 10 II 1966 r.; nr rej.: 1137/66

[2] Wpis z dnia 23 VI 1986 r.; nr rej.: 2124/86

[3] Wpis z dnia 13 VI 1986 r.; nr rej.: 137/86

[4] Jean-Marie Odin był w latach 1847-1861 biskupem Galveston, do którego w 1854 r. przybyli wraz z Leopoldem Moczygembą mieszkańcy Płużnicy Wielkiej; w latach 1861-1870 pełnił funkcję drugiego arcybiskupa Nowego Orleanu; od 1822 r. przebywał w Ameryce.

[5] Wśród polskich osadników w Teksasie pojawiają się takie nazwiska, jak: Moczygemba, Kowolik, Jainta, Piegza, Rzepa, Cebula, Korus, Kozub, Korzekwa, Dziuk, Gawlik, Adamiec, Anioł, Rakowicz, Swoboda, Ramziński, Pawełek, Bryś, Burda, Kusz, Cielęcki, Sowa, Ciomperlik, Długosz, Halamuda, Dragon, Polok, Gajda, Kasprzyk, Mika, Hajduk, Jurecki, Jaksik, Janysek, Krawiec, Sekuła, Jędrzej, Wolny, Joniec, Jałowa, Kalka, Kiełbasa, Kocur, Płoch, Dyla, Czerner, Labus, Łysy, Wiatrek, Orłowski, Sklorz, Pruski, Gorzel, Wacławczyk, Szefler, Skrobarczyk, Skrzycki, Lipok, Snoga, Jośko, Świercz, Kołodziej, Król, Winkler, Pyka, Adamik, Pieczka, Zygmunt, Panek, Zielonka, Olejnik, Jureczko, Niestrój, Wieczorek, Kolenda, Bąk, Bednorz, Biela, Kotara, Kozielski, Śmiałek, Niesłony, Mzyk, Warzecha, Gaweł, Gabryś, Mikosz, Urbańczyk, Moj, Reyman czy Jarząbek (patrz www.silesiantexans.com).

[6] Patrz: www.piusx.org.pl

Dariusz Pietrucha

Stowarzyszenie na Recz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Przerwana zapora

TEKST: ARKADIUSZ LIPIN
ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA

W Polsce katastrofy budowli hydrotechnicznych nie zdarzały się często. Czy to zasługa solidnego wykonania zapór, czy ich stosunkowo niewielkiej ilości – trudno orzec. Wypada się tylko cieszyć. Nawet w ostatnim dużym przerwaniu tamy, w Niedowie 8 sierpnia 2010 r., na szczęście zginęły tylko dwie osoby, a straty materialne były relatywnie nieduże. Warto jednak ku przestrodze przedstawić, niemal nieznaną w Polsce, historię zapory w Północnych Czechach. Wnet minie 97. rocznica tragedii jakiej była przyczyną.

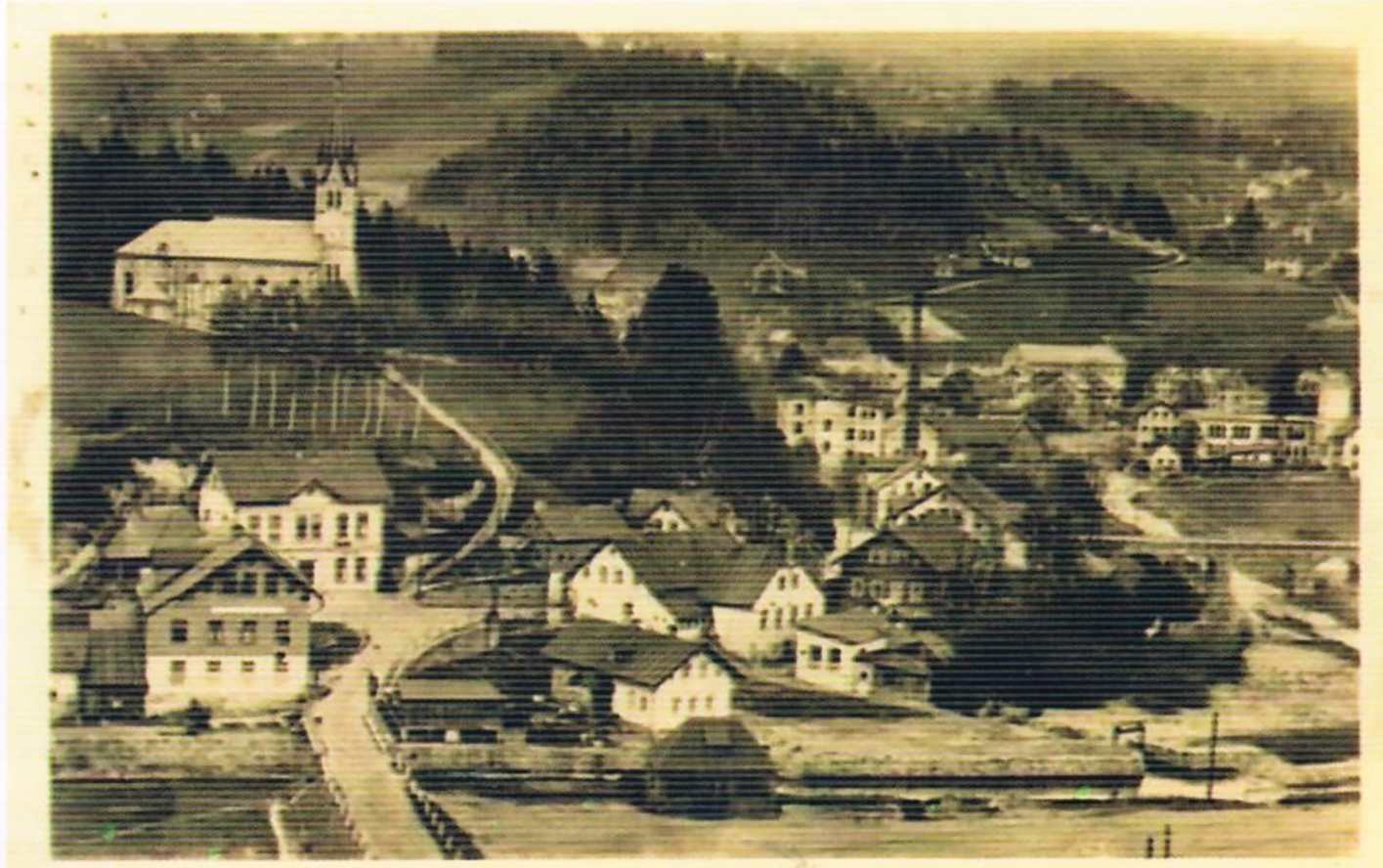

Widok ogólny na Desnę. Pocztówka z początku XX wieku.

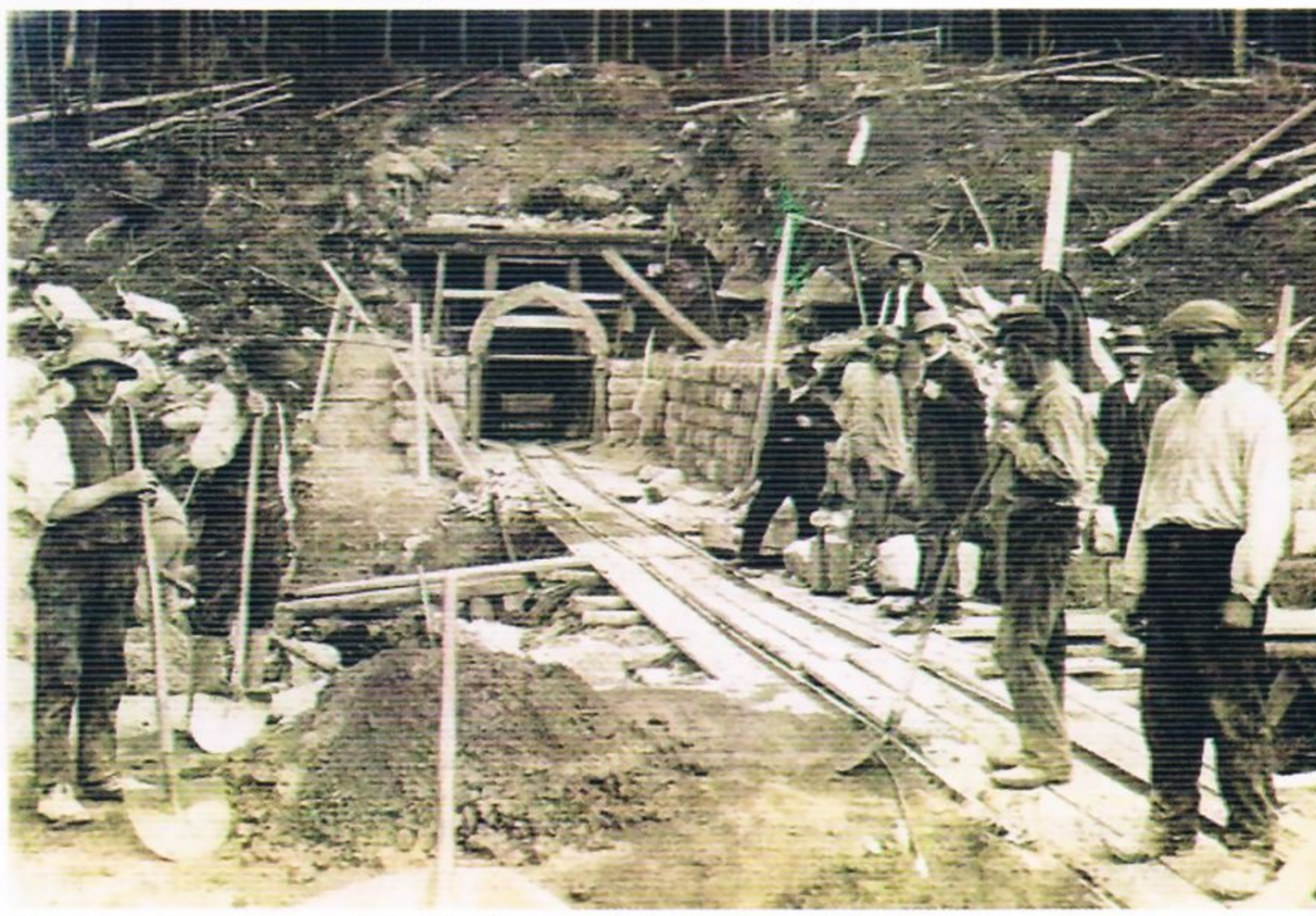

Budowa zapory – układanie sztolni upustowej.

Nad Desną, miasteczkiem położonym w Górach Izerskich, zaledwie 10 km od granicy z Polską, świeciło wówczas popołudniowe słońce. Poniedziałek 18 IX 1916 r. nie różnił się niczym od każdego innego dnia w drugim roku Wielkiej Wojny. W spokojnej górskiej osadzie ludzie pracowali w warsztatach, z lasu dobiegały odgłosy siekier, w pobliskim Tanvaldzie turkotały krosna fabryki tekstylnej, a nad brzegami Bíléj Desny chłopi suszyli ostatni pokos…

4 kilometry powyżej zabudowań, niczym wyrok zawieszony nad głowami izerskich górali, 10 miesięcy wcześniej napełniono zbiornik wodny. Miał być zbawieniem. Do tej pory każda większa ulewa kończyła się powodzią – w ciągu II połowy XIX w. aż 9 razy wielkie wody niszczyły położone w dolinie ludzkie osady. Największa, która 29 VII 1897 r. zmyła 3/4 Czech i Moraw, zmobilizowała mieszkańców uprzemysłowionych podgórskich miast do budowy zabezpieczeń. Od początku XX w. na potokach i rzekach, wysoko w górach wybudowano 5 zapór retencyjnych, m. in. w Libercu-Harcov oraz Mšeno w Jabloncu nad Nysą. Ciężkie, grawitacyjne, łukowe tamy z łamanego kamienia regulowały przepływ i chroniły gęsto zabudowane doliny. Projektantem tych pionierskich budowli – w Czechach nikt wcześniej nie budował takich zapór – był prof. dr inż. Otto Intze. Opracowane przez niego rozwiązania służyły za wzór również dla śląskich budowniczych zapór: Leśniańskiej i Złotnickiej na Kwisie oraz Pilchowickiej na Bobrze.

Także Dolina Bíléj Desny domagała się ochrony. Przemysłowcy, lokalni urzędnicy, a także zwykli obywatele, już w 1902 r. powołali Spółdzielnię Wodną do Budowy Zapory na Černéj Desnie. Przewodniczył jej gorący zwolennik budowy, właściciel huty szkła, Wilhelm Riedel. Pierwszy projekt tamy ziemnej wykonany przez firmę budującą Kolej Izerską (patrz „108 lat kolei w Górach Izerskich", „Odkrywca" nr 8/2010), nie spełniał oczekiwań wszystkich zainteresowanych. Poproszono o konsultację eksperta, prof. Intze. Niestety, był zbyt zapracowany by skonsultować projekt. Dopiero po 2 latach Otto Intze odwiedził doliny Bíléj i Černéj Desny, a owocem tej wizyty było zaplanowanie 3 zbiorników retencyjnych, rozszerzając plany o rzekę Kamenica. Zanim jednak podjęto jakiekolwiek prace inż. Intze zmarł, Spółdzielnia Wodna musiała więc poszukać innego projektanta.

Zadanie zlecono w 1906 r. radcy budowlanemu inż. Wilhelmowi Plenknerowi z Pragi. Od tego momentu rozpoczęły się żmudne procedury urzędnicze i konsultacje (dziś nazwalibyśmy je „społecznymi"). Kilku właścicieli ziemskich oraz posiadaczy zakładów czerpiących energię z rzeki zgłosiło protesty. Po dwóch latach, w trakcie których zdarzyła się kolejna powódź, wszelkie skargi odrzucono, projekty zatwierdzono i budowa czekała już tylko na dotację rządową. Tę przyznano 6 VII 1911 r. w kwocie 1 062 400 koron austro-węgierskich. Prace rozpoczęto w niespełna półtora roku później, 17 X 1912 r., wybierając do ich wykonania praską firmę budowlaną Schön i Synowie. Kierownikiem projektu mianowano Emila Gebauera, a nadzór pełnili August Klammt i Karel Podhajský. Z uwagi na brak odpowiedniej skały koniecznej do posadowienia zapory ciężkiej, projekt zakładał budowę tamy ziemnej sypanej o podłożu gruntowym. Skomplikowało to budowę sztolni upustowej, którą zwykle drążono w podstawie zapory. Postanowiono problem rozwiązać poprzez ułożenie upustu na betonowym szkielecie wpuszczonym na 3,5 m w podłoże, oraz uszczelnienie spojenia sztolni z groblą półmetrową warstwą iłu. Na miejsce przyprowadzono parowóz. Górski teren spowodował, że jego transport po prowizorycznie układanym torze trwał 8 dni. Żartowano, że Desná jest najodleglejszą stacją

Zapora po napełnieniu zbiornika jesienią 1915 roku.

Przerwana zapora tuż po katastrofie.

na świecie. Do robót ziemnych zatrudniono miejscowych robotników z fabryk tekstylnych, hut szkła i manufaktur porcelany. Niezły zarobek ściągnął także cudzoziemców.

Ulewne deszcze między 18 a 20 VIII 1913 r. wyrządziły znaczne szkody na budowie, a konieczność wykonania wielu prac ponownie, spowodowała kilkumiesięczne opóźnienie. Ziemię do usypania korpusu zapory pozyskiwano z okolicznych stoków, a także z niecki przyszłego zbiornika. Po każdej 40-centymetrowej warstwie nasyp zagęszczano kilkukrotnie przejeżdżającym 3-tonowym walcem.

W 1914 r. wybuchła I wojna światowa, a wraz z nią galopująca inflacja. Budżet budowy stopniał do 484 tys. koron. Mimo to nie przerwano prac, aczkolwiek ograniczenie środków wpłynęło na wykonanie. Kiedy korona zapory osiągnęła wysokość 14,6 m, a więc rzędną 820 m n.p.m., 30 VI 1915 r. rozpoczęto napełnianie zbiornika. W kilka miesięcy zgromadził nominalną objętość 260 000 m^3 wody. Komisyjny odbiór zapory nastąpił 18 listopada. Ponieważ komisja, której przewodniczył radca inż. K. Podhajský, nie dopatrzyła się żadnych uchybień, budowlę hydrotechniczną chroniącą Desnę przez zalewaniem uznano za gotową do eksploatacji. Nikt z szacownego grona nie przeczuwał, co przyniesie wrześniowy dzień 10 miesięcy później.

Poniedziałkowe popołudnie 18 IX 1916 r., nie różniło się od innych dni w drugim roku Wielkiej Wojny… Około 15:30 obok zapory na Bíléj Desnie przechodziło dwóch drwali. Raptem spostrzegli, że spomiędzy kamiennego płaszcza grobli tryska silnym strumyczkiem woda. Natychmiast zawiadomili dozorcę zapory, który choć był na miejscu od jakiegoś czasu – nic nie zauważył. Spróbował zatkać dziurę, ale tama przeciekała nadal. Pobiegł więc do dyżurki, by telefonicznie zawiadomić inż. Gebauera pełniącego dyżur w kancelarii Spółdzielni Wodnej. Administrator, mający nad zaporą nadzór, nakazał całkowicie otworzyć upust i ostrzec mieszkańców Desny. Sam czym prędzej udał się w kierunku zapory. Jak później podsumuje, ujrzał już pusty zbiornik… Tymczasem dozorca z pomocą drwali próbował otworzyć drugi zawór rurociągu odpływowego. Być może zawór był już przywalony kamieniami, bądź prąd wody i ciśnienie były zbyt wielkie – nie podołali. Porzucili zawór otwarty na trzy czwarte i uciekli, bowiem silny strumień tuż obok komory zasuwowej zwiększył swą objętość na grubość ręki.

Do deseńskiego urzędu pocztowego przychodzi wiadomość, by ostrzec właścicieli jazu i młynówki, leżących poniżej tamy, że korytem zaraz przepłynie większa woda. O godzinie 16:15 silny prąd wody rozmywa korpus tamy po stronie nawodnej, a do wsi dociera komunikat: „Alarmujcie strażaków, tama przerwana!". Jeszcze pół godziny potrzebowała woda, by definitywnie uporać się z zaporą. Rozmyta aż do dna, przerywana na odcinku kilkunastu metrów, uwalnia do stromej doliny cały swój zapas – 260 000 m^3 wody. W Desnie od strony lasu odzywa się dudnienie i złowieszczy łoskot. Wierzchołki drzew chwieją się, a nad nimi wznosi się chmura pyłu. Nieco poniżej zbiornika hrabia Desforus Walderode miał tartak. Składowano przy nim ok. 4-5 tys. kubików drewna. Piła tartaczna akurat była w naprawie i na miejscu nie było rodziny. Dzieci w lesie zbierały grzyby, a w domu została tylko dwunastoletnia Maria Pelzeltová. Tartak i stojąca obok leśniczówka z całym dobytkiem zostały zmiecione przez pędzącą wodę. Nie został nawet ślad po kamiennych fundamentach. Korytem rzeki walą teraz głazy, pnie drzew

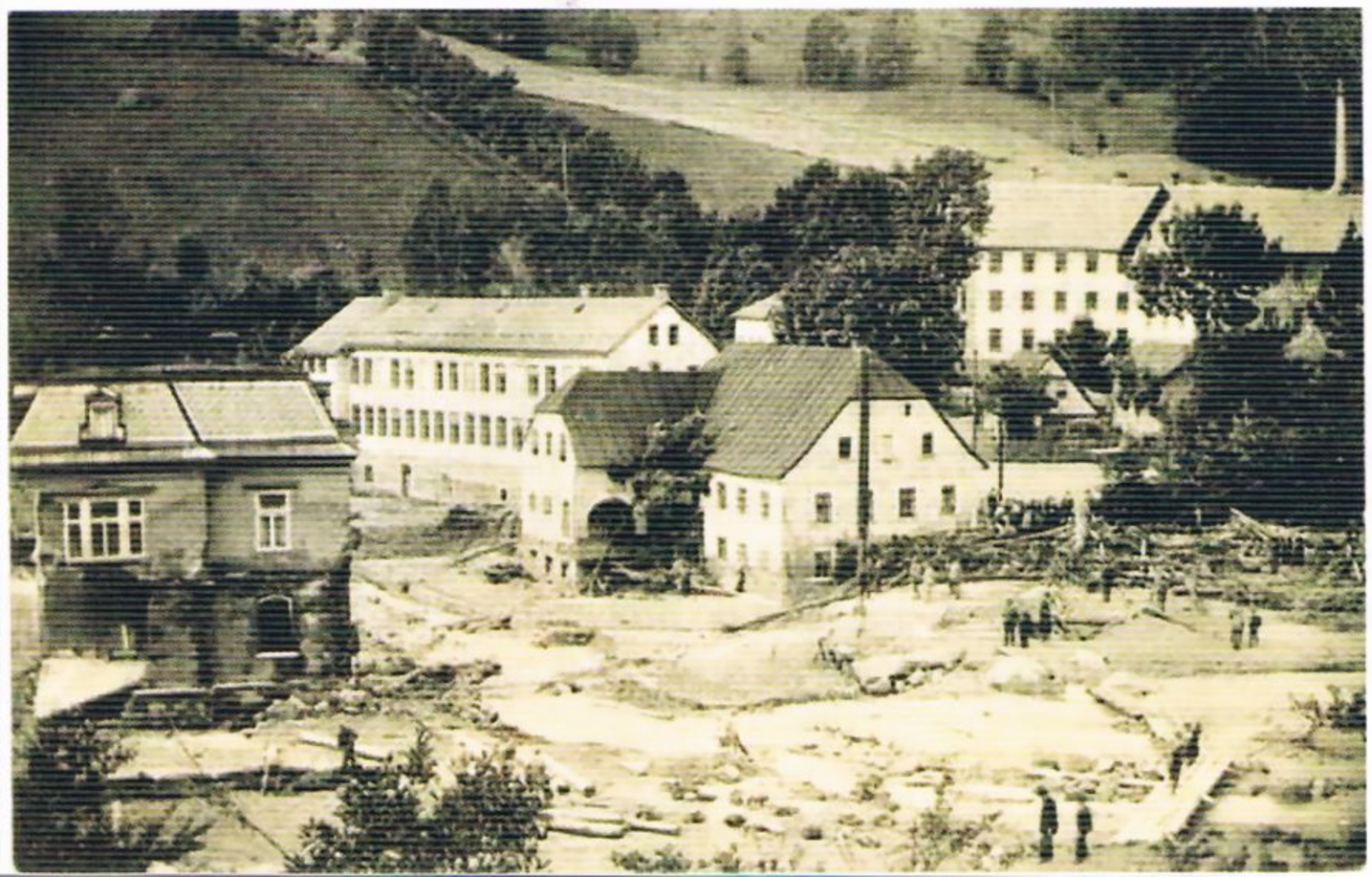

Desna po przejściu fali z przerwanej zapory.

Zniszczone przez żywioł domy.

i tartaczne drewno – ciężkie bale, kłody i deski. Fala niczym ogromny taran kosi i niszczy z ogłuszającym hukiem wszystko co stanie jej na drodze.

Za tartakiem drugą ofiarą padł trzypiętrowy budynek należący do firmy Eduarda Dresslera. Złożył się niczym domek z kart, a ludzie w środku w większości zginęli. Apokaliptyczny potop wdarł się już do wsi i ludzie w panice pierzchają na zbocza gór, z niedowierzaniem patrząc, jak woda zamienia w ruinę ich wieloletnią pracę. Kolejny był warsztat i dom mieszkalny firmy Johann Umann. Przebywał w nim pracownik Šimek z małżonką, trójką starszych dzieci i czteroletnim chłopcem. Ratuje się tylko ojciec. Ten sam los spotyka kolejne domy: Josefa Schnettla i Josefa Riedela. Drapieżna woda pochłania warsztat firmy Emanuela Simma i niedaleko stojącą wytwórnię guzików. Ok. 50 m dalej pracuje w szopie gospodarz. W ostatniej chwili ratuje się ucieczką na zbocze, z którego widzi, jak woda porywa jego rodzinę. Niektórzy w ostatniej chwili starają się uchronić swych bliskich i majątek. Niektórzy płacą za to życiem… Góra drewna i wody taranuje starą szkołę i dom ówczesnego wójta Barthela. Uszkadza restaurację i willę właściciela fabryki porcelany Schnabla. Gruchocze narożnik domu, a żona fabrykanta ratuje się skrywając w pozostałej części budynku. Niestety, bawiące się na drodze dzieci nie mają szans… Fabryczny urzędnik Ludwig, zdążył ewakuować dwoje dzieci w bezpieczne miejsce, lecz jego 41-letnia żona wróciła do domu, by uratować kosztowności. Na oczach rodziny porywa ją kipiel. Domy i fabryki pod naporem fali 150 m^3 wody na sekundę walą się wraz z ludźmi, gdy tylko zostają podmyte szalonym prądem. W ciągu pół godziny dokonuje się zagłada Desny.

Jednym z nielicznych, którzy przeżyli kataklizm, mimo iż znaleźli się w jego odmęcie, był A. Nitsche – właściciel zajazdu „Zur Stadt Eger". Wydobyty spod ruin domu dochodził do zdrowia w tanvaldzkim szpitalu.

Żelazne mosty przechwytują część niesionego wodą materiału, a wiadukt na drodze do sąsiedniego Tanvaldu zatrzymuje ogromną ilość drewna. Na dole fala rozpłynęła się w szerszej dolinie, jednak wciąż była głęboka na 2 m. W Tanvaldzie zatapia „tylko" piwnice, zabiera szopy i niszczy wyposażenie fabryk. Następnie wielką wodę notują na Kamienicy (do której wpada rzeka Desná) pod Držkovem i Bozkovem, gdzie znaleziono wiele ludzkich ciał. Po drodze, aż do Železnégo Brodu, woda zalewa przyległe do rzeki grunty. W mieście Mladá Boleslav (40 km poniżej Desny) Izera przyjmująca wody z Kamienicy, podniosła swój poziom o 20 cm.

Nadchodząca noc jest straszna. Ruiny budynków, naniesiony piasek i kamienie, ludzkie ciała – wszystko rozrzucone po obu brzegach spokojnej rzeczki. Bezradni ludzie biegają i rozpaczliwie wypytują o los swych bliskich i znajomych. Niczym zjawy migają światełka – mieszkańcy przeszukują ruiny. Desná poniosła wielkie starty: 40 obiektów (w tym 33 budynki) całkowicie zniszczonych. Pośród nich: tartak z leśniczówką, wiele warsztatów, domów mieszkalnych oraz remiza. Mocno uszkodzonych zostało 7 budynków, a częściowo – 62. Jeszcze smutniejszy był bilans strat w ludziach. Doliczono się 62 ofiar, w tym 42 nie zidentyfikowano. Dalsze 307 osób zostało pozbawione schronienia, a 1020 straciło pracę. Ponadto zaginęło wiele zwierząt domowych, a ze spichlerzy i spiżarń woda zabrała zboża i zapasy. Ludzki dobytek przepadł w odmętach.

Na drugi dzień po katastrofie do Desny przybył oddział sanitarny poszukujący ciał, które przenoszono do kostnicy. Teren katastrofy został zamknięty dla postronnych. Rozpoczął pracę komitet pomocowy. Po dwóch dniach, skierowany do Desny oddział saperów, w sile 200 żołnierzy z węgierskiego puł-

Katastrofy zapór wodnych

Jak dotąd najtragiczniejszą katastrofą hydrotechniczną w Polsce, było przerwanie zapory w Iwinach (woj. dolnośląskie). Ok. godz. 3 w nocy 13 grudnia 1967 r., runęła grobla stawu osadów poflotacyjnych przy kopalni miedzi „Konrad". 6 metrowa fala osadu zalała Iwiny i cztery sąsiednie wsie. Śmierć poniosło 18 osób, a 570 było poszkodowanych. Zniszczeniu uległo 150 budynków gospodarczych. Jako przyczynę katastrofy wymienia się prowadzenie prac górniczych bezpośrednio pod zbiornikiem, co doprowadziło prawdopodobnie do przedostania się wody do podłoża korpusu zapory. Tuż przed katastrofą zanotowano lokalny wstrząs górotworu co mogło spowodować utratę stateczności rozluźnionego podłoża i osunięcie się grobli.

– 70% zniszczeń tam następuje w ciągu pierwszych 10 lat od ich budowy, a najczęściej w pierwszym roku eksploatacji;

– Najwięcej katastrof zanotowano w grupie zapór wybudowanych w latach 1910-1920;

– W przypadku zapór ziemnych i narzutowych, najczęstszą przyczyną katastrof jest przelanie (31%) a także erozja wewnętrzna korpusu zapory (15%);

– Po katastrofie najczęściej podejmowanymi działaniami są: rezygnacja z odbudowy zapory (36 %), budowa nowej, innej zapory (17%) i odbudowa takiego samego obiektu (16%).

Źródło: IMIGW – Ośrodek Technicznej Kontroli Zapór

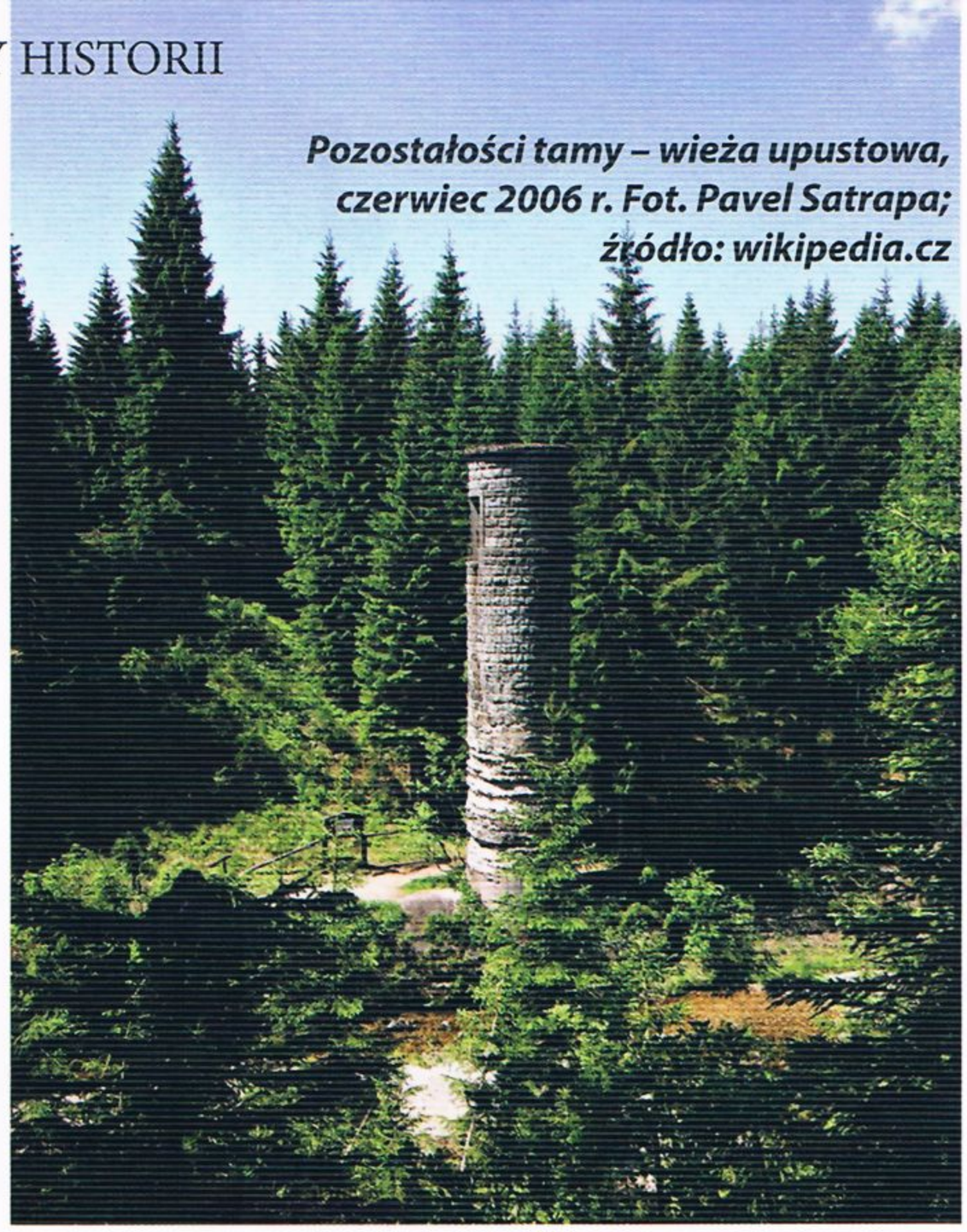

Pozostałości tamy – wieża upustowa, czerwiec 2006 r. Fot. Pavel Satrapa; źródło: wikipedia.cz

ku piechoty, podjął pracę usuwania ruin i odbudowę mostów. Przybyły na trzeci dzień hrabia Coudenhov, wyraził współczucie dla poszkodowanych i obiecał pomoc finansową.

Pogrzeb ofiar odbył się 23 września wieczorem, kiedy słońce chyliło się już za górę Ještěd. Wielu mężczyzn i kobiet pochowano bezimiennie. Zjechało tysiące ludzi, by podczas mszy żałobnych podzielić ból mieszkańców. Jednej ofiary tragedii wszak tego wieczora nie pochowano na cmentarzu w Desnie. Był to radca Podhajský, który nadzorował budowę zapory. Dowiedziawszy się o przerwaniu tamy – zastrzelił się.

Tuż po katastrofie opróżniono sąsiednią, również ziemną zaporę Souš na Černej Desnie. Choć w tych samych latach została wybudowana wg innego projektu. Po wnikliwej rewizji napełniono ją ponownie dopiero w latach 1925-1927. Służy do dzisiaj, będąc zasobem wody pitnej dla Jablonca. Częściowo napełniana jest wodami Białej Desny, płynącymi dawną sztolnią przelewową z przerwanej zapory.

O tragedii w Desnie pisała prasa całej Europy. Mimo, że trwała wojna pochłaniająca każdego dnia znacznie więcej ofiar, dla wielu katastrofa deseńskiej zapory była szokiem. Zachwiała bowiem wiarę w inżynieryjny geniusz człowieka. Pomoc, zwłaszcza mieszkańców pobliskiego Liberca i Jablonca – bogatych przemysłowych miast – okazała się bardzo hojna. Zgromadzono fundusz w wysokości 825 tys. koron i 14 tys. marek oraz liczne dary materialne. Wszczęto dochodzenie mające wyjaśnić przyczyny katastrofy i ustalić odpowiedzialnych za nią. Proces sądowy po długim postępowaniu zakończono dopiero w Pierwszej Republice Czechosłowackiej. Oskarżonych W. Riedela – przewodniczącego Spółdzielni Wodnej oraz członków komisji odbiorczej – A. Klammta i E. Gebauera, sąd krajowy w Libercu 28 III 1923 r. uniewinnił. Uznał wyjaśnienia podsądnych, że w gruncie na którym stanęła zapora były szczeliny. Przedostała się do nich woda i zaczęła rozmywać tamę. Prokuratura odwołała się od wyroku i 24 I 1925 r. nowy werdykt skazał A. Klammta i E. Gebauera na kary w zawieszeniu. Ich apelację odrzucono. W roku 1928 znów nadeszła powódź i w miejscu przerwanej zapory deszcz wypłukał warstwy limonitowe. Stwierdzono w nich szczeliny zamulone piaskiem. Członkowie komisji pełniący nadzór nad zaporą (przewodniczący Riedel umiera 2 lata wcześniej) złożyli wniosek o kasację. Sąd Najwyższy w Brnie, w 1931 r. nakazuje wszcząć nowe postępowanie. Zakończone 29 IX 1932 r. przez sąd powiatowy w Tanvaldzie, uchyliło oskarżenie przeciw Klammtovi i Gebauerovi, a odrzucenie apelacji powództwa publicznego definitywnie zakończyło trwającą 15 lat sprawę sądową. Końcowe wnioski śledztwa oraz procesów, jako przyczyny przerwania zapory, wskazywały nieodpowiednie miejsce jej posadowienia, a nie wady konstrukcji. Stwierdzono wystąpienie licznych szczelin w zwietrzałym granicie, na którym tama była zbudowana. Nie uwzględniono jednak wówczas § 12 czeskiego Prawa Wodnego, który nakazuje właściwym urzędom zbadać solidność, nośność i przepuszczalność podłoża na miejscu planowanej realizacji zbiornika wodnego, zapory lub stawu.

Po latach, wykonane na miejscu ekspertyzy wykazały, że deseńska zapora musiała runąć. To było tylko kwestią czasu, a dzisiejsi inżynierowie dziwią się, dlaczego stało się to dopiero po 10 miesiącach od napełnienia zbiornika. Bezpośrednią przyczyną przerwania zapory, było bowiem nierównomierne osiadanie korpusu tamy i sztolni upustowej z wieżą zasuwową. Sztolnia, wadliwie ułożona na betonowej palisadzie, w ogóle nie osiadała i stopniowo oddzielała się od masy ziemi w korpusie. Powodowało to postępujące rozłamanie zapory właśnie obok wieży zasuwowej, gdzie woda wydostała się ze zbiornika. Okazało się też, że wadliwy był projekt i technologia budowy: ziemia tworząca tamę powinna być ubijana po mniejszych warstwach, a zagęszczanie płaszcza było niedostateczne. Także skłon zapory był zbyt stromy, przez co nie był odporny na osuwanie. Wyliczenia pokazały, że przewidywana wielkość przepływu wody przez zbiornik nie została dostatecznie oszacowana i już pięćdziesięcioletnia woda przelałaby się przez koronę tamy. Choć popełniono tak wiele błędów – nikt nie poniósł zasłużonej kary (za wyjątkiem honorowego Podhajskiego, który sam ją sobie wymierzył). Katastrofa na Bíléj Desnie na długo wpłynęła na rozwój ziemnych tam w całej Europie. Trzecią planowaną w rejonie Desny na Kamenicy, zbudowano dopiero w latach 1976-1980.

Zapora nad Desną nigdy nie została odbudowana. W 1926 r. w jej sąsiedztwie powstało schronisko Krömerova bouda. Miejsce katastrofy stało się celem licznych wycieczek. Schronisko spłonęło w 1945 r. co zostało odczytane jako wyraźny znak, iż obszar zapory jest miejscem przeklętym. Dzięki hojności obywateli Desny, w centrum miejscowości 10 X 1937 r. został odsłonięty pomnik ku czci ofiar. W 1996 r., w 80. rocznicę katastrofy, dawny zbiornik uznano za pomnik kultury „Protržená přehrada na Bílé Desné" („Przerwana Zapora na Białej Desnie") i wokół pozostałości wytyczono krótką ścieżkę edukacyjną z kilkoma objaśniającymi tablicami. Ruiny zapory są do dzisiaj milczącym świadectwem tragedii.

Arkadiusz Lipin

Urodził się u stóp Gór Izerskich na Górnych Łużycach. Zamieszkał w stolicy Śląska – Wrocławiu. Te miejsca zapadły mu w serce tak głęboko, że musi o nich opowiadać światu. W 2008 roku uruchomił internetowy magazyn krajoznawczy GÓRY IZERSKIE.

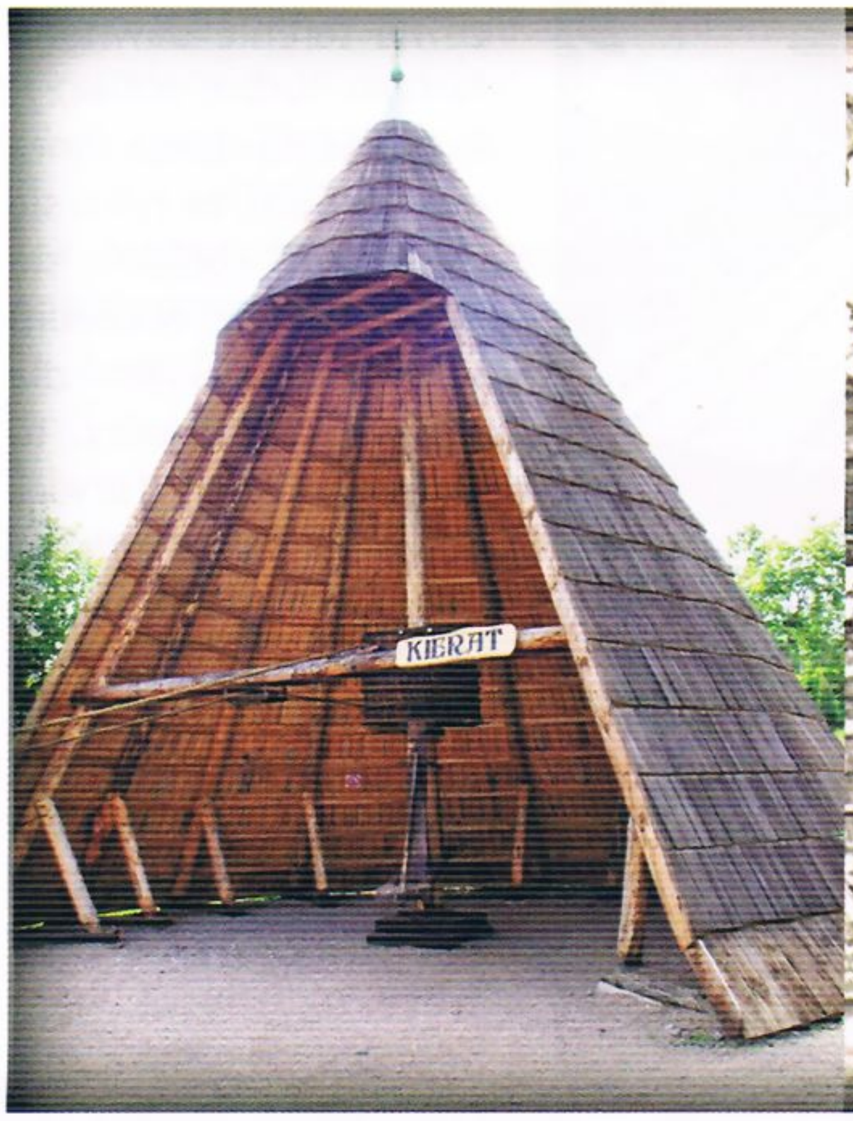

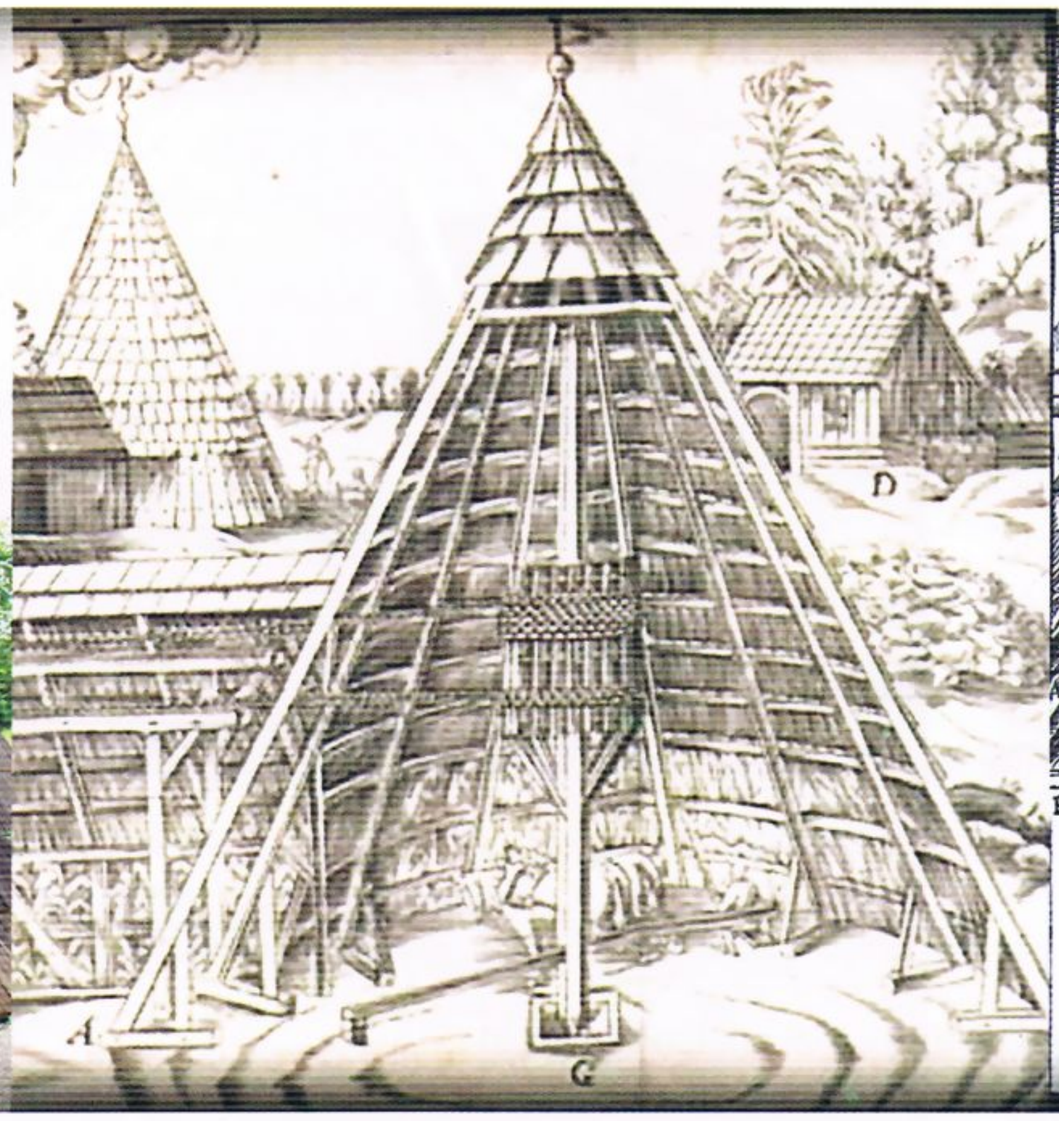

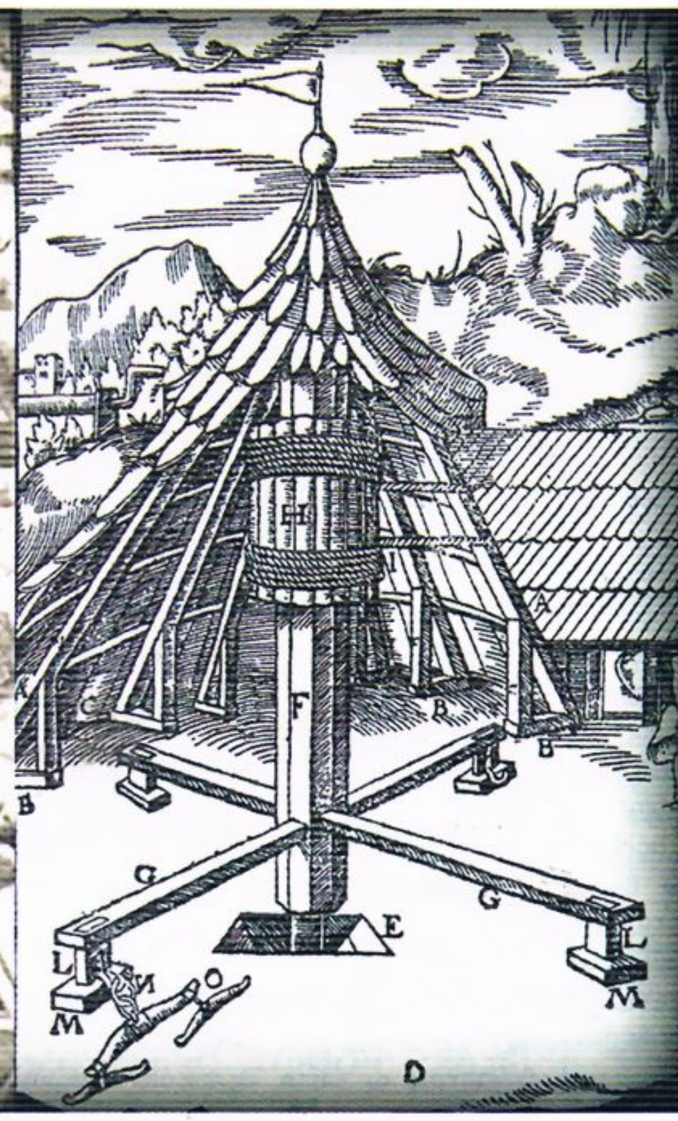

Kierat zbudowany przez Arka Knycha, który stoi na terenie Średniowiecznego Parku Techniki oraz ryciny, na których się wzorował: środkowa autorstwa Georga Engelharda von Löhneyßa z 1650 r., z prawej – Georgiusa Agricoli z 1556 r.

Ludzie z sercem do drewna

27 kwietnia 2013 roku w dolnośląskim Złotym Stoku otwarto Średniowieczny Park Techniki. Na niewielkim obszarze zgromadzono niezwykłe budowle i urządzenia związane z górnictwem, poruszany siłą mięśni czołg Leonarda da Vinci, Chatę Kata z narzędziami tortur; wybudowano nawet krótką sztolnię. Budowle wzorowane były m.in. na XVI-wiecznych rycinach Georga Agricoli, który opisał ówczesny stan górnictwa. O tym, jak powstał Park i poszczególne urządzenia, z właścicielami Parku – Elżbietą Szumską i Jackiem Grużlewskim – oraz z twórcą drewnianych konstrukcji Arkiem Knychem, rozmawia Krzysztof Krzyżanowski.

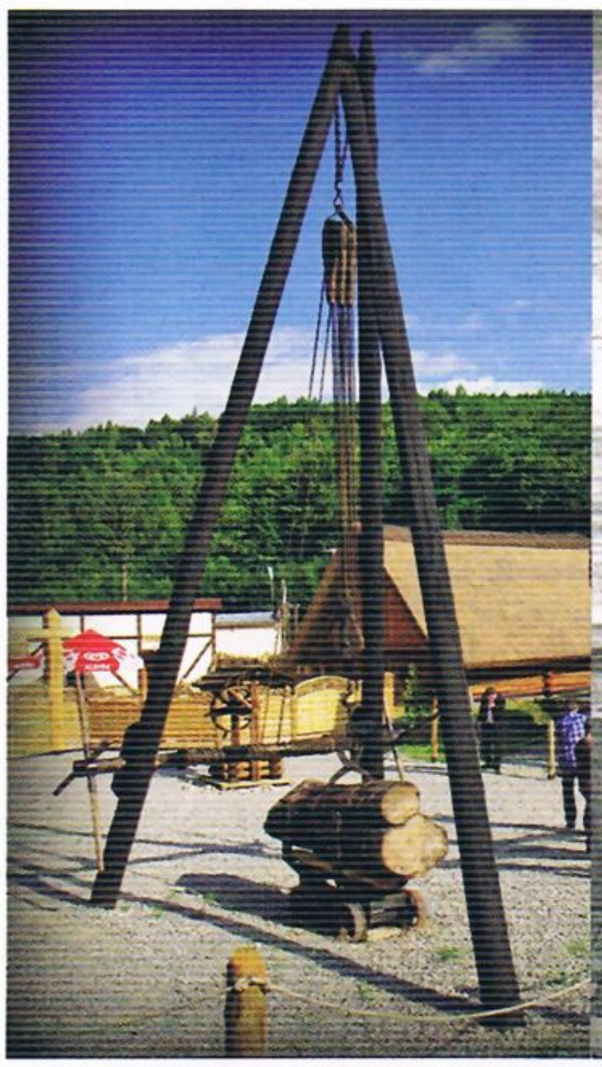

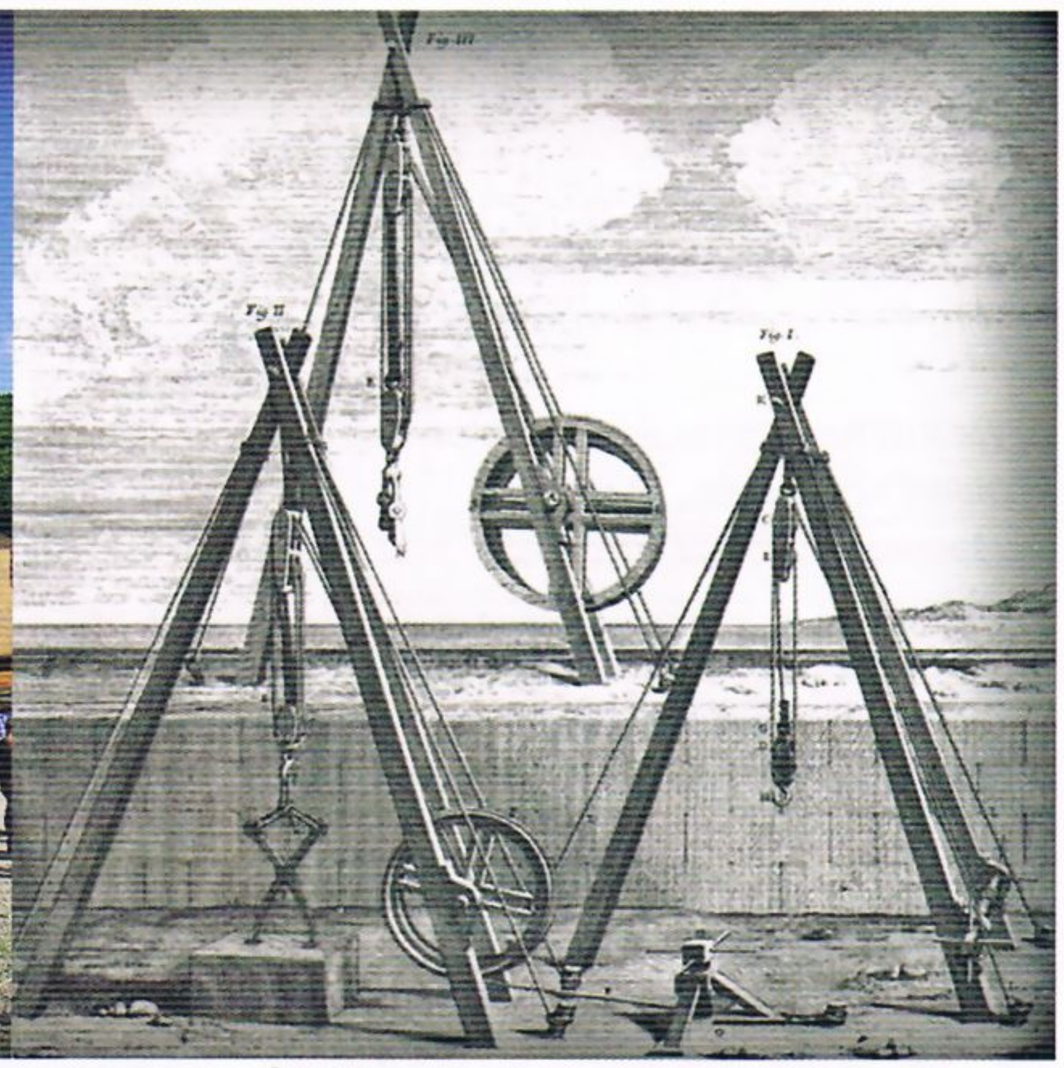

Dźwig oraz inspiracja na dawnej rycinie. Źródło: pl.wikipedia.org

SKĄD POMYSŁ NA ŚREDNIOWIECZNY PARK TECHNIKI?

Arek Knych: Od zawsze fascynowałem się Sudetami i okolicznymi górami, ich historią, a także górnictwem. Ponieważ, z tego co mi wiadomo, tutaj nigdy nic nie było dokładnie badane i odkrywane, potrzeba poznania i pogłębiania wiedzy na temat historii regionu „rosła we mnie" coraz bardziej. Zacząłem więc się tego uczyć, zdobywać coraz więcej informacji… w końcu, trzeba było ten „kapitał" jakoś spożytkować.

Ela Szumska: Była pewna wieczorna wizyta. Przyszedł do nas Arek z informacją, że w jego głowie jest plan… wybudowania osady górniczej, gdzie będą różnego rodzaju kieraty i młyńskie koła. Opowiadał nam o tym, przekonując, że wszystkie eksponaty potrafi zrobić sam, potrzebuje jednak sponsora, osoby, która sfinansowałaby jego projekt i pomogła w zdobyciu odpowiedniego materiału. Początkowo, wspólnie z Jackiem, podeszliśmy do projektu Arka z lekkim sceptycyzmem. „No, fajnie. Damy pieniądze i co potem?".

Jacek Grużlewski: Trudno się dziwić, ludzie przychodzili z przeróżnymi pomysłami…

Ela: Był np. kowal, rzeźbiarz i tak dalej. Arek, to była kolejna osoba, która chciała coś zrobić, ale… my nie do końca czuliśmy jego projekt. Jak to w życiu najczęściej bywa, przypadek sprawił, że zmieniliśmy zdanie. Od spotkania minął miesiąc. Arek chcąc nas przekonać do swojego pomysłu, zrobił sam pierw-

Rycina Leonarda da Vinci i jego współczesna wersja. Źródło: pl.wikipedia.org

szy „eksponat" – koło deptakowe. Przejeżdżając przypadkowo obok jego warsztatu, zobaczyliśmy, że krząta się w pobliżu jakiegoś dziwnego koła. Podjechaliśmy, patrzymy i… jest koło deptakowe. Cudne! Nie jakieś oszołomstwo, tylko perfekcyjnie dopracowane i przemyślane urządzenie. Zrozumieliśmy, że to jest osoba godna zaufania, warta współpracy, i że chcemy mieć Arka za partnera. I od tego się zaczęło. Od koła deptakowego.

Jacek: Potem były kolejne spotkania i ustalanie warunków. Pierwszy problem – wybór miejsca na Park Techniki. Placu, który obecnie zajmuje Park wówczas jeszcze nie mieliśmy, więc początkowo wybór padł na teren wokół budynku, tzw. łamacza (dawny budynek, gdzie kruszono rudę – przyp. K.K.). Było to jednak nasze miejsce parkingowe, nie za bardzo nadające się na tego typu przedsięwzięcie. Potem trafiła się działka przy wjeździe.

CZYM RÓŻNI SIĘ STOLARZ AREK OD INNYCH STOLARZY?

Jacek: Ma niesamowicie wszystko poukładane w głowie. Jego szkice, np. młyn stępowy, są lustrzanym odbiciem urządzeń w rzeczywistości. One tak naprawdę wyglądają dzisiaj. Czasem, jak coś z nim robię, to widzę, że on nawet nie jest w stanie przekazać mi wiedzy na temat wyglądu jakiegoś urządzenia, on je może ewentualnie narysować. Ma po prostu wszystko poukładane, krok po kroku, klocek po klocku – w głowie, w wyobraźni. To jest to, co go wyróżnia od wszystkich innych znanych mi stolarzy, w ogóle – rzemieślników. Dla mnie on nie jest stolarzem, tylko średniowiecznym artystą-rzemieślnikiem, który potrafi i gwoździe wykuć, zrobić okucia do różnych rzeczy…

Ela: Dla mnie to jest geniusz… jak Leonardo da Vinci. On rozumie Leonarda. Patrzy np. na rysunki – często trudne dla zwykłego zjadacza chleba – i po chwili: „już wiem, jak to zrobić. Potrzeba mi tyle, a tyle drzewa, to, i jeszcze to, i to jest do zrobienia". Kiedy zastanawialiśmy się nad zbudowaniem domu Leonarda da Vinci, Arek zapewnił nas, że wszystkie sprzęty odtworzy ze szkiców Mistrza.

Jacek: Czego przykładem jest czołg, który przecież jeździ.

Ela: I mostek nad strumieniem, który jest także pomysłem Leonarda da Vinci. Genialny, cudny człowiek. Dla mnie jest to niesamowite, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. „Arek – mówię – trzeba wymyślić coś takiego, żeby to było ładne i estetyczne". I zawsze mam zrobione…

Jacek: Tak jest, a poza tym, to jest na „już" i „natychmiast". Czasem w rozmowie z Arkiem coś napomknę, mając na myśli zaczątek czegoś. Jemu, w czasie rzeczywistym, natychmiast rodzi się pomysł, mało tego, jako człowiek czynu, niezwłocznie zaczyna działać! W sposób zaskakujący. Po prostu ma poukładane w głowie.

JAK REAGOWALI LUDZIE, MIESZKAŃCY ZŁOTEGO STOKU, NA TO CO ROBILIŚCIE?

Ela: Bardzo pozytywne. Do tej pory byliśmy postrzegani, jako właściciele kopalni złota, którzy inwestują wyłącznie na terenie kopalni. Nie było z naszej strony żadnych działań w kierunku tzw. „wyjścia do miasta". Kiedy wyszliśmy poza obręb kopalni, rozpoczynając prace na terenie dawnego tartaku, ludzie zobaczyli, że coś się dzieje innego… Mówili, że tylko się cieszyć, że kopalnia się rozwija i „idzie" w kierunku miasta, bowiem dla wszystkich oznacza to same korzyści. Turyści, po zwiedzeniu kopalni złota i Parku Techniki, ruszą dalej – i zwiedzą miasteczko.

Jacek: Myślę, że na ludzi działało też to, że powstają nowe miejsca pracy, których w miasteczku ubywa. Generalnie – odbiór był pozytywny, bardzo pozytywny. Dzięki Parkowi zmienił się punkt widzenia ludzi na kopalnię, może niedużo, ale zmienił się. Zobaczymy, jak to będzie długo trwało.

Arek: Z Parkiem było tak, że nigdy nie mówiliśmy ludziom prawdy. Mieszkańcy, ciekawi co powstaje, pytali za każdym razem co robimy. Na początku śmialiśmy się, że budujemy tutaj schronisko dla psów, albo wysypisko śmieci toksycznych i inne takie… Celowo wymyślaliśmy te teorie, żeby zainteresowanie ludzi nie zmalało, a wręcz przeciwnie, aby mieli o czym rozmawiać.

MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE ROZSIEWALIŚCIE MARKETINGOWE PLOTKI…

Arek: Tak, bo jak początkowo mówiliśmy prawdę, mało kto nam wierzył. Ludzie po prostu nie wiedzieli o czym mówimy… Nie mieli wiedzy na ten temat. Jak stawialiśmy kierat, twierdziliśmy, że to będzie wędzarnia na kurczaki w zimnym dymie (śmiech), albo wigwam indiański…

JAKI JEST TWÓJ ZAWÓD ARKU?

Arek: Aparatowy przetwórca mięsa i technolog robót wykończeniowych.

CZY TO POMOGŁO CI W STOLARCE?

Arek: (stanowczo) Nie. Absolutnie.

MÓWIŁEŚ, ŻE SWÓJ TALENT ODZIEDZICZYŁEŚ PO DZIADKU.

Arek: Dziadek był stolarzem i rzeźbiarzem, bardzo dobrym, a może i najlepszym w okręgu. Bardzo lubiłem oglądać

jego prace i uczyć się. Dłutka mu tępiłem, sprzątałem jego warsztat, pomagałem jak mogłem. Zaraziłem się stolarką….

JAK MOŻNA ZBUDOWAĆ URZĄDZENIE NA PODSTAWIE RYCINY, KTÓRA MA 500 LAT?

Arek: Trudne pytanie… Bierze się rycinę, przeprojektowuje, tworzy się właściwie swoją własną, nową, sprawdza wszystkie wymiary… i tak się buduje.

CHCIAŁBYM SOBIE TO WYOBRAZIĆ – JAK TAKĄ NIEWIELKĄ RYCINĘ PRZEROBIĆ NA SZKIC TECHNICZNY?

Arek: Agricola rysował bardzo dokładnie. Obok większości budowli rysował także ludzi. Przyjąłem, że w średniowieczu przeciętny człowiek miał 170 cm

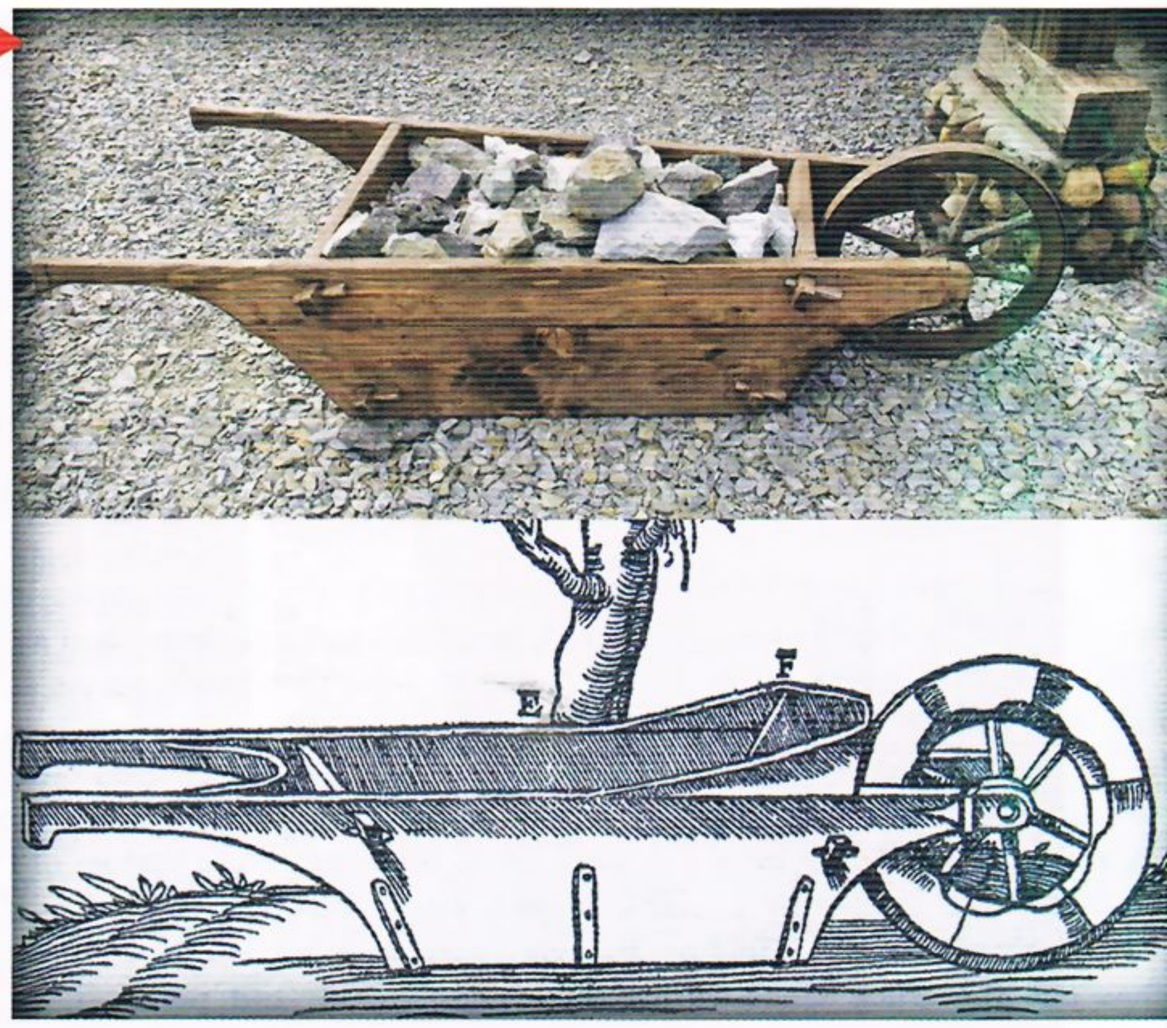

Taczka do przewożenia urobku wzorowana na jednej z rycin G. Agricoli (1556 r.).

Stół do płukania urobku (płuczka) z ruchomymi elementami. Całość działa tak, jak na rycinach z XVI wieku.

Arek Knych przy swoim imponującym kole deptakowym. Pomimo ponad 6 ton wagi, można je łatwo wprawić w ruch. Po prawej stronie rycina G. Agricoli, na której wzorował się wykonawca.

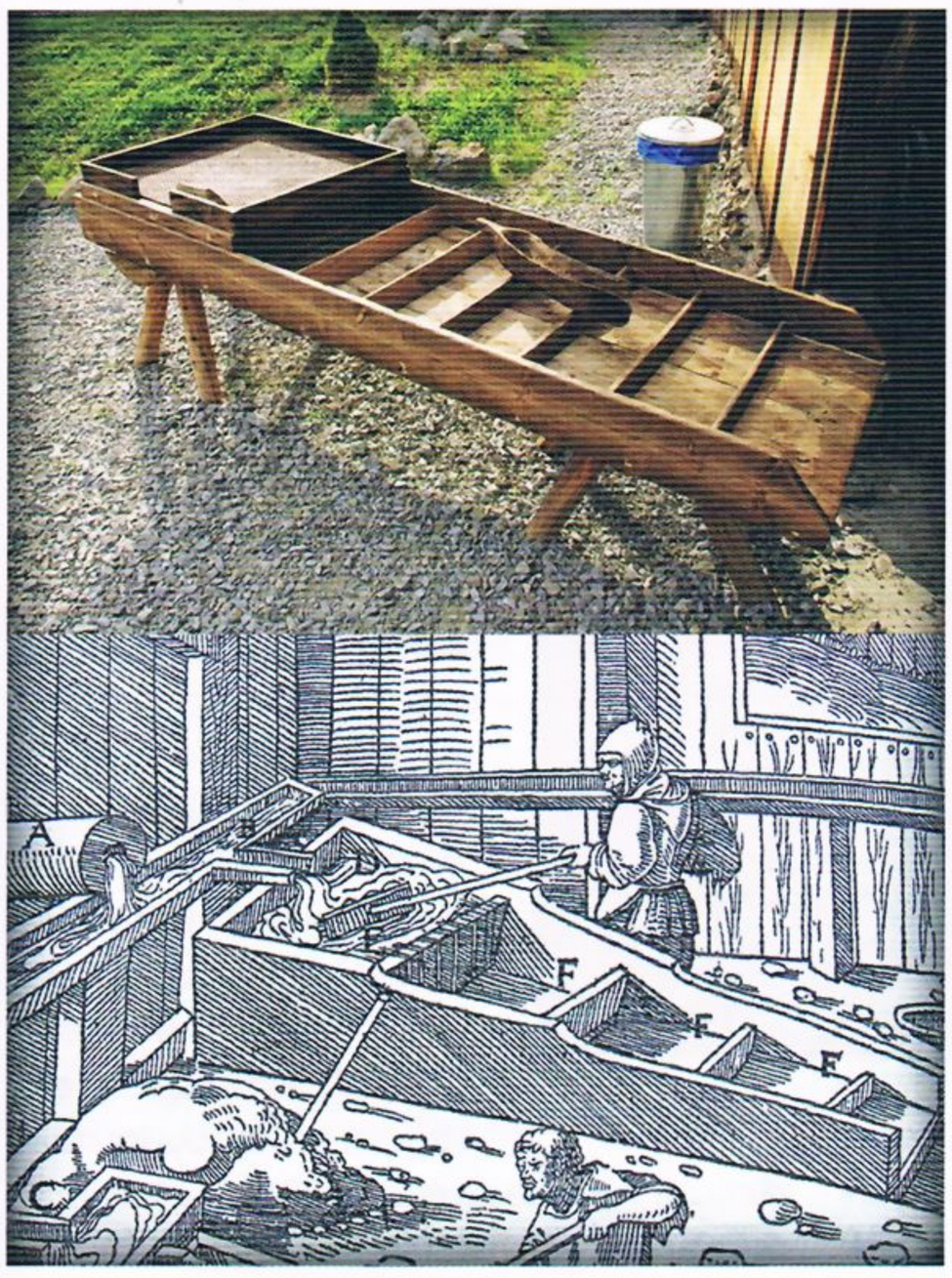

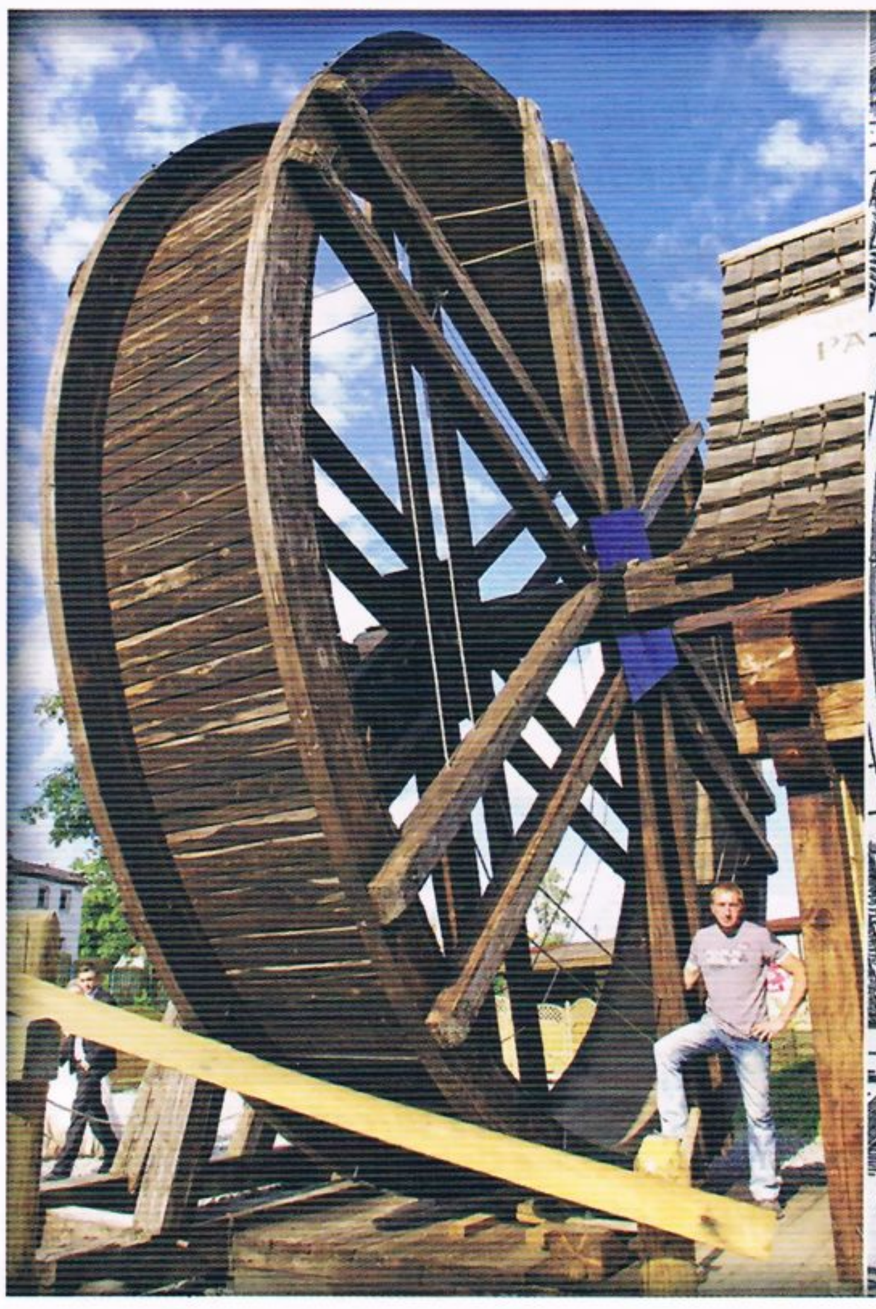

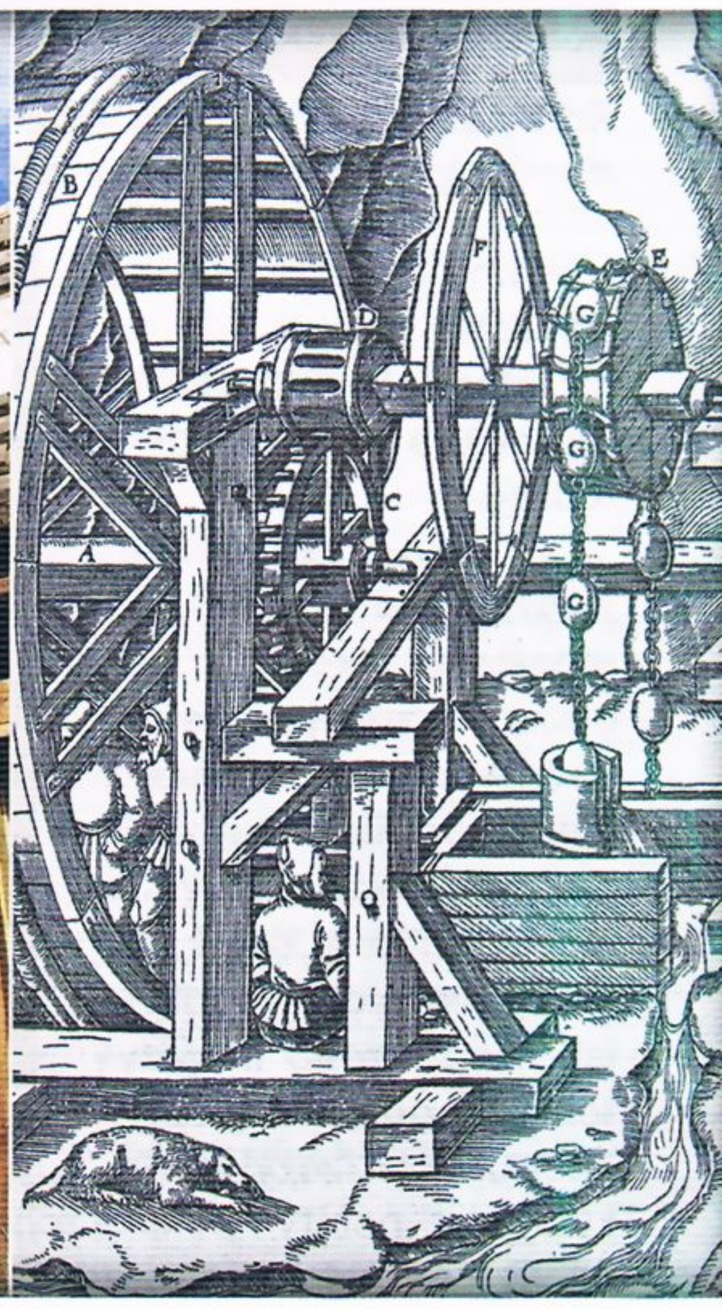

wzrostu. Wystarczyło zmierzyć człowieka i porównać, a wszystko wychodziło w skali i świetnie się „zgrywało". Często, oprócz wymierzania budowli z ryciny na podstawie wzrostu człowieka, opierałem się na faktycznych wymiarach podanych przez Agricolę, jak łokcie, piędzi, palce itd. Przeliczałem na nasze miary i było ok.

CZY KORZYSTAŁEŚ TAKŻE Z OPISÓW TEKSTOWYCH?

Arek: Oczywiście. Dla sprawdzenia lub porównania. Niekiedy bywało tak, że na rycinie jest zupełnie co innego narysowane, a Agricola opisuje zupełnie inne rzeczy.

MIAŁEŚ WIĘC WYMIARY, A Z OPISU ZNAŁEŚ SPOSÓB DZIAŁANIA. CO DALEJ?

Arek: Moje projekty były bardzo dziwne, wyglądały dużo gorzej niż te ryciny. Rysowałem sobie najważniejszych pięć, sześć kresek z długościami i szerokościami, które mnie interesowały. Resztę dopracowywałem na budowie, z pamięci.

I Z TAKIM SZKICEM JECHAŁEŚ PO DREWNO?

Arek: Tak jest. Jedzie się szukać drewna pamiętając, co z niego ma powstać. Jeśli to jest drewno na dach, to dobrze aby było mokre. Jeśli na konstrukcję – też ma być mokre, bo się wtedy zsycha i zaciska. Wszystko zależy do czego jest potrzebne, to jest bardzo ważne. Bo jeśli się buduje dach z mokrych desek, należy pomiędzy jedną, a drugą deską robić niewielkie szparki, bo jak się zsycha drewno, to szpary robią się coraz większe. Z kolei jak się wykorzystuje suche drewno i się da na ścisk, to jak popada, dach się nam wybrzuszy, jak zalana podłoga.

JAKIE DRZEWO JEST NAJLEPSZE, I SKĄD JE POZYSKUJESZ?

Arek: Głównie świerk, suchy świerk. Do pewnych elementów stosuje się inny materiał, tam, gdzie jest pewna

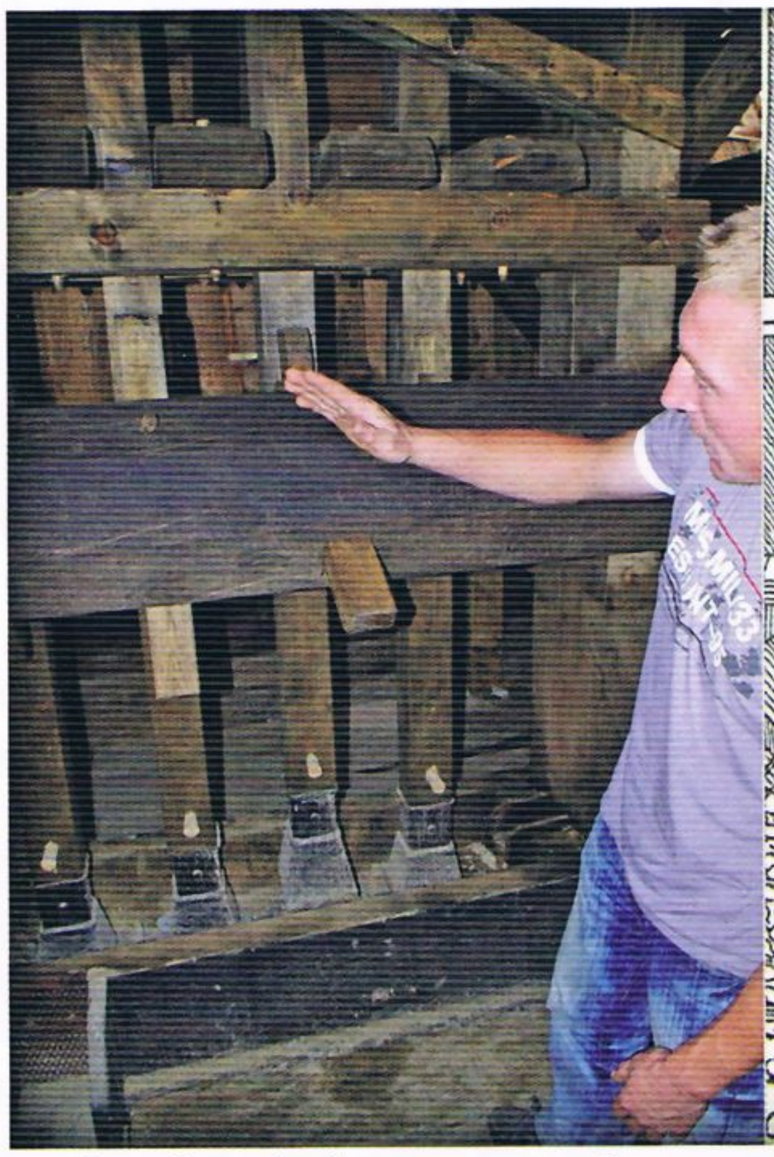

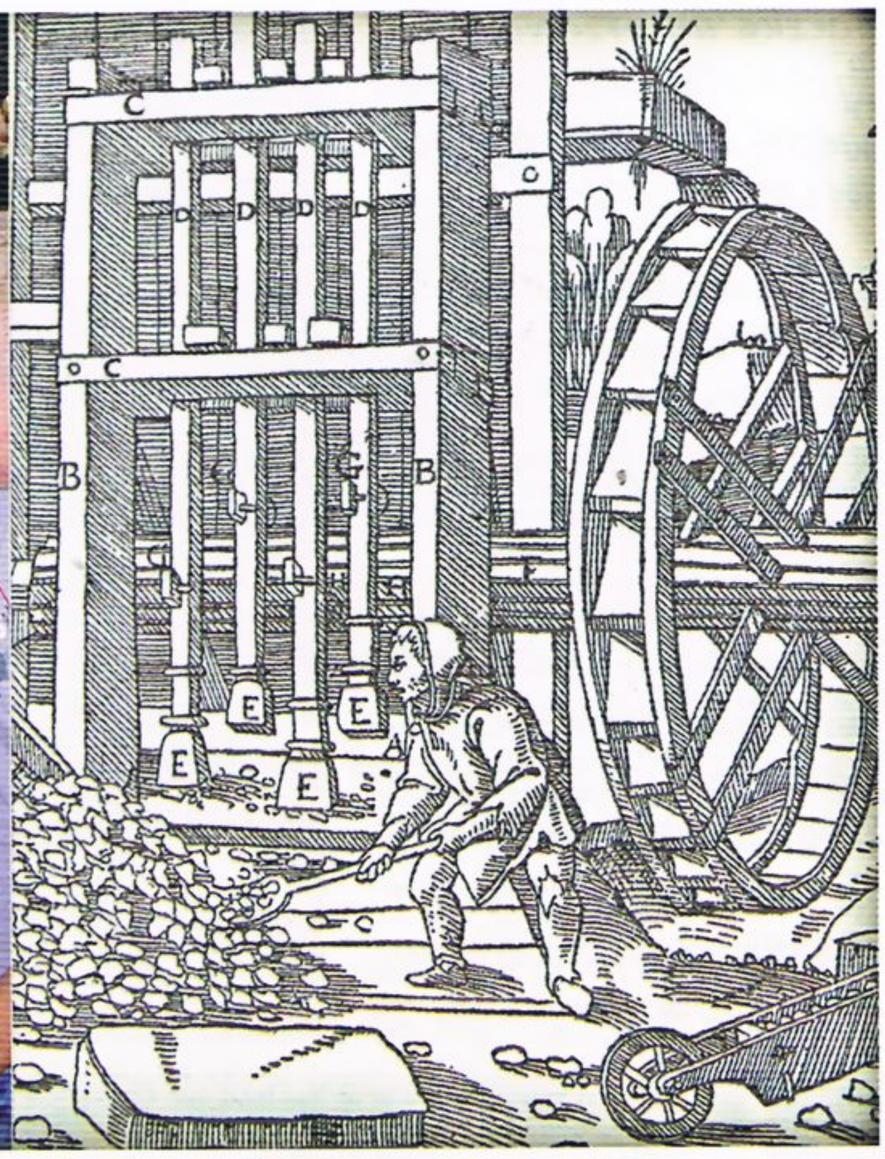

Arek pokazuje fragment swojego arcydzieła – młyna stępowego. Stępory napędzane są przez koło wodne i potrafią błyskawicznie rozbić kawałki rudy.

ścieralność, gdzie drewno narażone jest na uderzenia, stosuje się dąb, jawor czy buk, a więc twardszy rodzaj.

Drewno pobieram z różnych miejsc, jak już mówiłem, zależy do czego je potrzebuję. Z lasów państwowych, różnie... Trochę robiliśmy rozbiórek, np. stodół, szczególnie na budowę replik, takich „styranych" urządzeń, jak m.in. krzesło inkwizytorskie, gdzie najlepszy jest materiał zużyty, taki, który jest „pobity i pokaleczony", lepiej wtedy wychodzi rekonstrukcja takiego urządzenia.

Arek Knych, człowiek z sercem do drewna.

JAK WYGLĄDA TWÓJ WARSZTAT PRACY? CO TRZEBA POSIADAĆ, ABY POWSTAŁO TAKIE URZĄDZENIE?

Arek: Po pierwsze trzeba pojechać do lasu poszukać drzewa, ściąć, okorować i... budować co się chce. Trzeba mieć plan i pomysł.

CZY BYŁY URZĄDZENIA LUB ICH CZĘŚCI, KTÓRE SIĘ ZUPEŁNIE NIE UDAŁY, ALBO NIE CHCIAŁY PRACOWAĆ?

Arek: W zasadzie one miały wszystkie od początku normalnie działać i funkcjonować. Niektóre mechanizmy się psuły, wiadomo, poprawialiśmy je, ulepszaliśmy, ale teraz działają wszystkie. Nie byliśmy do końca pewni, jak to będzie funkcjonowało, czy w ogóle to będzie funkcjonowało. Ale po kilku zmianach i modyfikacjach... wszystko hula.

PIERWSZE BYŁO KOŁO DEPTAKOWE. JAK DŁUGO TRWA BUDOWA TAKIEGO KOŁA, I ILU LUDZI JEST POTRZEBNYCH DO JEGO WYKONANIA?

Arek: Dwa tygodnie. Koło zrobiliśmy we dwóch. 7 metrów, 10 centymetrów, bo siedmiometrowe jest w Gdańsku, chciałem więc od razu największe zrobić, po co takie same tworzyć... To koło składa się z 400 desek i waży prawie 3 tony, licząc w kubikach, w suchym drewnie.

A ILE CZASU WYMAGA POSTAWIENIE MŁYNA STĘPOWEGO?

Arek: Hmm (zamyśla się), to jest 2900 elementów drewnianych, każdy ręcznie zrobiony... Trudno powiedzieć – robiliśmy kilka elementów jednocześnie, raz kierat, raz młyn... łącznie gdzieś około dwóch miesięcy. Ten młyn wodny jest nadsiębierny, ale jest tak skonstruowany, że 70% powierzchni koła wykorzystuje woda. Popatrz na kieszenie do łapania wody, które w XVIII w. robili krótkie, czyli przy obracaniu woda szybko się wylewała. Czym dłuższe łapy, tym woda niżej się wylewała, i tym większa była siła takiego koła. Zwykle koło wodne kojarzy się z młynem. Ze zwykłym młynem do mielenia mąki. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że dawniej było to, jak... silnik. Wodne koła napędzały miechy, kuźnie, piły, traki do kamienia, wszystkie urządzenia napędzane były przez koła wodne.

GDYBYŚ MIAŁ ZBUDOWAĆ TE URZĄDZENIA ZA CZASÓW AGRICOLI, 500 LAT TEMU, CZEGO NAJBARDZIEJ BY CI BRAKOWAŁO?

Arek: Piły motorowej (śmieje się). Ewidentnie – piły motorowej. Nie oszukujmy się – gdybym miał robić tymi narzędziami co Agricola w średniowieczu, to trwałoby to minimum rok czasu. Każda deska przecież musiałaby być ręcznie obrabiana.

ILU LUDZI BYŁOBY POTRZEBNYCH, ABY ZBUDOWAĆ TAKIE URZĄDZENIA?

Arek: To może być trochę mylące pojęcie. Dawni ludzie mieli niesamowitą wprawę: dzisiaj takich fachowców już nie ma. Ludzie brali się za drzewo i siekierą je szybciej ścinali, niż my dzisiaj piłą ręczną. I siekierą szybciej okorował, niż my dzisiaj – taką mieli wprawę!

W MARCU, ROK TEMU, NADZÓR BUDOWLANY ZABLOKOWAŁ CAŁĄ INWESTYCJĘ, POWOŁUJĄC SIĘ NA NIEŚCISŁOŚCI W DOKUMENTACJI. CO CZULIŚCIE, KIEDY OKAZAŁO SIĘ, ŻE CAŁĄ BUDOWĘ TRZEBA WSTRZYMAĆ?

Średniowieczny Park Techniki w Złotym Stoku.

Ela, Jacek (jednocześnie): To była tragedia.

Ela: Wszystkie urządzenia musiały być przeniesione. Tego dnia, kiedy przyjechały dźwigi, wyjechałam. Nie mogłam na to patrzeć… Nie mogłam patrzeć, jak tyle pracy, zaangażowania, wysiłku i trudu Arka, oraz jego pracowników, zostało zniweczone jednym zamachem. Ludzie nie wiedzieli o co chodzi, nie wiedzieli, jakie są przyczyny, dlaczego to się dzieje. Widzieli tylko fruwające w powietrzu maszyny. Gdy pytano Arka co było najtrudniejsze, odpowiadał: „Najtrudniej było nauczyć te maszyny latać".

Arek: Dla mnie to był też koszmar. Najtrudniejsze w całej tej budowie. Wolałbym jeszcze raz młyn postawić, jeszcze raz kierat, albo coś innego, niż ponownie rozwalać swoją wizję. Bo tak to wtedy wyglądało. Nie byłem pewny, czy obiekty wrócą na swoje miejsce, czy będą cięte w klocki na placu. Cały Park przeniesiono zaledwie 25 metrów dalej.

TO JEST CHYBA JEDYNY PRZYPADEK, ABY W CAŁOŚCI PRZENOSZONO MŁYN STĘPOWY. TEGO NAWET U AGRICOLI NIE BYŁO?

Arek: Dźwigowi, którzy to przenosili – a jeden dźwig był stutonowy – nigdy się z czymś takim nie spotkali. To było trudne wyzwanie. Raz nawet przerwaliśmy prace, bo lekki wiaterek był, i kiedy tylko ruszyliśmy kierat, który jest jak żagiel, zaczęło niebezpiecznie kołysać. Dźwigowy nie ryzykował, postawił młyn z powrotem na ziemię.

MIELIŚCIE MOMENTY ZWĄTPIENIA, ŻE TO WSZYSTKO SIĘ NIE UDA?

Ela: Nie. Nawet, kiedy wymyślano różne biurokratyczne warunki i obostrzenia.

Jacek: Nawet kiedy maszyny „latały", to wiedzieliśmy, że i tak Park otworzymy. To był trudny projekt, ponieważ bardzo trudno być pierwszym. Nie jest to skansen, ani park rozrywki. Sami urzędnicy nie wiedzieli, jak to nazwać. Do dzisiaj są problemy, jak to kwalifikować.

Arek: Ja zwątpiłem chyba najbardziej, w momencie, gdy przenosiliśmy całość. Gdyby nie ten problem, szczerze mówiąc, Park funkcjonowałby już w tamtym roku, bo przez ten rok wszystko stało na placu obok, bezużytecznie, przez jedną, złą decyzję urzędnika.

SKĄD POMYSŁ NA CZOŁG LEONARDA DA VINCI?

Arek: To miał być pierwszy zbudowany eksponat. Mieliśmy go robić w budynku łamacza, z przeznaczeniem wstawienia go do kopalni-muzeum Leonarda da Vinci. Miał tam jeździć, i zachęcać turystów do wejścia do muzeum. Na razie jednak budowa muzeum jest wstrzymana skutkiem decyzji urzędniczej, chcemy więc dopiąć w Parku wszystko na ostatni guzik, aby funkcjonował na najwyższym poziomie. Czołg świetnie się tu wkomponował, bo jest to ten sam okres.

JAKIE JESZCZE URZĄDZENIA GÓRNICZE SĄ W TWOICH PLANACH?

Arek: Chciałbym postawić wiatrak. Zamknąć siłę wody, wiatru i ludzkich mięśni. I jeszcze dźwig, obrotowy, deptakowy dźwig, innego typu niż tutaj jest. Fajny, wielki dźwig na koło deptakowe. Świetnie sobie ludzie kiedyś radzili, budowali wielkie budowle bez użycia dźwigów jakie znamy dzisiaj.

GDYBY KTOŚ INNY CHCIAŁ ZBUDOWAĆ TAKI PARK, CO BYŚ MU DORADZIŁ PO 2 LATACH DOŚWIADCZEŃ?

Arek: Miałbym kilka takich rad. Przede wszystkim dobrać sobie odpowiednich pomocników. To jest podstawa. To muszą być ludzie, którzy znają las, pracowali tam kilka lat, dotykali drzew, wiedzą, jak ono się zachowuje, jakie drzewo, do jakich mechanizmów użyć. Odpowiedni pracownicy, to podstawa sukcesu. Miałem tu jednego takiego chłopaka, który bardzo dobrze znał się na drzewie, warto go wspomnieć, Adam Tetela. I jeszcze jednego – Mieczysław Bogucki. To są fachowcy, których jest mało. I razem, wspólnie sobie pomagaliśmy.

LUDZIE Z SERCEM DO DREWNA?

Arek: Tak.

POKUSISZ SIĘ O STATYSTYKI?

Arek: Park Techniki składa się z około 18 tys. elementów drewnianych, które zostały ręcznie wykonane. Ucięte, przycięte, ale ręcznie dorobione. Dwie tony gwoździ, zwykłych gwoździ. Około 2 tys. kołków drewnianych. Co jeszcze? Liny, można je liczyć w setkach metrów. Żelaza jest bardzo mało, spinki, kotwy, raczej drobne rzeczy.

JAK ZACHĘCIĆ KOGOŚ, KTO TU JESZCZE NIGDY NIE BYŁ?

Jacek: Jedyna taka atrakcja w Europie. Nie ma takiego miejsca, gdzie przyjeżdżasz i widzisz w jednym miejscu, jak radzono sobie nie tylko w górnictwie.

Ela: Można zrozumieć, jak te skomplikowane maszyny działają. Bo ja ich nie rozumiałam, próbowałam sobie wyobrazić, ale nie rozumiałam. Teraz idę do Parku, widzę, i to dla mnie jest wspaniałe – widzieć, jak to wszystko działało. Imponujący widok.

DZIĘKUJĘ ZA ROZMOWĘ.

ZDJĘCIA I OPRACOWANIE ILUSTRACJI: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI.
RYCINY: G. AGRICOLA, DE RE METALLICA, DOVER PUBLICATIONS INC., NEW YORK 1950 ORAZ ZBIORY A. KNYCHA.

Chcieć, to móc!

TEKST: IZABELA KWIECIŃSKA
ZDJĘCIA: KASIA KRZYŻAŃSKA, MONIKA KRZYŻAŃSKA, TOMEK BARAN

To powiedzenie najlepiej oddaje sytuację, w jakiej w tym roku znaleźli się organizatorzy „Operacji Południe" przygotowując się do tegorocznego sezonu – do trzynastej już edycji tej imprezy i kolejnego, wielkiego D-Day Helu. I bynajmniej nie chodzi o magiczną, jak większość twierdzi, pechową trzynastkę… Tak doświadczonego organizatora militarnych imprez, jakim jest Rafał Bier, magia i związane z nią emocje zapewne nie zaskoczą. Tym razem, niestety, dotyczyły one zupełnie innych kwestii – trudnych i niezwykle wrażliwych, dotyczących bowiem osobistych, międzyludzkich relacji, oceny dotychczasowej współpracy i kształtu przyszłych edycji imprez.

Od wielu lat „Operację Południe" współtworzył praktycznie ten sam zespół ludzi. Większość z nich „wyrosła" dzięki niej, i dzięki niej ukierunkowała swoje pasje i zainteresowania. I jest to naturalny proces, który nikogo nie powinien dziwić. Trudno też być zaskoczonym faktem, iż przychodzi taki moment, gdy nasi podopieczni, czy współpracownicy podejmują próbę samodzielnych działań, a zdobyte dotychczas doświadczenie i umiejętności chcą realizować w niezależnych przedsięwzięciach. Problem pojawia się w momencie, gdy bazą tej działalności stają się te same instrumenty, instytucje, a nawet dotychczasowi partnerzy, gdy walka o nich przybiera nie do końca pozytywny kierunek. Wówczas obie strony stają przed trudnymi wyborami, choć wydawałoby się, że rozwiązanie jest proste. Można oczywiście dyskutować o etycznych przesłankach takich decyzji. Odnoszę jednak wrażenie, że byłaby to akademicka dyskusja, na dodatek w czasach pełnej wolności i wolnego rynku – nie mająca sensu. Obserwując wokół wiele takich przypadków, „militarne rozstania", niestety, powoli stają się naturalnym procesem. Argumentacja obu stron zazwyczaj jest taka sama – padają jedynie wzajemne oskarżenia. Wystarczy prześledzić m.in. losy wielu grup rekonstrukcji historycznej. Zmiany, zmiany, zmiany. I to w iście „wulkanicznej" oprawie. Jest jednak zagadnienie, któremu należy poświęcić szczególną uwagę. To bez wątpienia temat wart dyskusji. Chodzi o zasady funkcjonowania w tym samym przecież „militarnym środowisku". O ewentualną na przyszłość współpracę, na ustalonych przez obie strony prawidłach i normach… Niestety, w przypadku ludzi tworzących i zaangażowanych w OP górę wzięły osobiste animozje, urazy i… ambicje. A szkoda, przecież tak wiele mamy już przykładów roztrwonienia w fermentach i niedomówieniach nawet najlepszych inicjatyw. Zbyt wiele. Gdzieś po drodze zagubiła się odpowiedzialności za wspólne „dzieło", lojalność wobec siebie, a przede wszystkim – zabrakło w decyzjach odpowiedzialnej postawy wobec uczestników, wystawców i zwiedzających – którzy tłumnie od lat przyjeżdżają na bielskie Błonia – do których adresowane

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

są treść i forma imprezy. Bowiem głównie oni zapewniają ocenę każdego przedsięwzięcia. I to źródło dla każdego organizatora powinno mieć decydującą wartość. No cóż, nie od dziś wiadomo, że niechętnie uczymy się na błędach innych.

Jeszcze niedawno można było przeczytać na łamach „Odkrywcy", że *„(…) są takie miejsca, do których przyjeżdża się bardzo chętnie, które wabią wspomnieniami, mają to coś… Dla wielu pasjonatów militariów, takim miejsce jest stolica Podbeskidzia, gdzie zawsze coś się dzieje na plus w końcu lipca od wielu lat…".* Nie wiem, czy dla Autora tych słów „stolica Podbeskidzia" jest nadal takim miejscem. Ci wszyscy – uczestnicy, wystawcy, zwiedzający – którzy w dniach 16-18 sierpnia br. odwiedzili bielskie Błonia uczestnicząc w XIII edycji „Operacji Południe", potwierdzają, że dzięki Rafałowi Bierowi i jego zespołowi wciąż tak jest.

Tegoroczna „Operacja Południe" nie zawiodła. Jeśli ktoś oczekiwał porażki, srogo się rozczarował. W swej od lat konsekwentnie realizowanej formule, spełniła swoją rolę. Mimo odbywającej się w tym samym czasie innej militarnej imprezy, i to całkiem niedaleko, w Bielsku-Białej licznie stawili się kolekcjonerzy historycznych pojazdów wojskowych, prezentując najciekawsze eksponaty ze swoich kolekcji, tym samym miłośnicy i pasjonaci militariów mogli podziwiać wygląd i techniczną sprawność historycznego sprzętu.

Bielskie Błonia – baza Zlotu – przygotowane były doskonale. Wolontariusze sprawnie dokonywali wszelkich wpisów, wydawali identyfikatory, udzielali informacji. Nad wszystkim czuwała Ania Bier, żona Rafała, wyjątkowa pod każdym względem. Przygotowany do niedzielnej rekonstrukcji teren, rozstawione namioty wojskowe, gwarantowały niepowtarzalny klimat.

Najmocniejszą stroną „Operacji Południe" jest parada pojazdów militarnych główną arterią komunikacyjną Bielska Białej, zakończona wystawą pod centrum handlowym Castorama. To niezwykłe i doskonale zorganizowane widowisko. Rozpoczyna się od precyzyjnie formowanej kolumny paradnej, następnie parę minut przerwy na sprawdzenie gotowości jej uczestników i… w drogę. Pojazdy w nienagannym stanie, jak również ich kierowcy, załogi oraz osoby towarzyszące. Trasę parady zabezpiecza policja, gwarantując bezpieczny przejazd przez całe miasto. Wzdłuż trasy tysiące mieszkańców Bielska fotografuje wszystko i wszystkich, pozdrawiając okrzykami i oklaskami jadące pojazdy. Tradycyjnie już, tuż przed Zamkiem na czele parady stają Szkoci, czyli Pipes & Drumms z Częstochowy – jak zawsze zachwycający swym szykiem, muzyką – i powoli prowadzą militarną masę przed oblicze włodarzy miasta – pod Zamek Sułkowskich. Parominutowy postój, to okazja do zaprezentowania się także zgromadzonym wokół tłumom. Następnie, ponad 100 pojazdów ustawiona na trzech pasach jezdni rusza w kierunku Castoramy. Typy i rodzaje pojazdów obecnych na „Operacji Południe" można wymieniać w nieskończoność. Od II wojny światowej do współczesności, od motocykli do średnich czołgów – wszystkie prezentowały się świetnie.

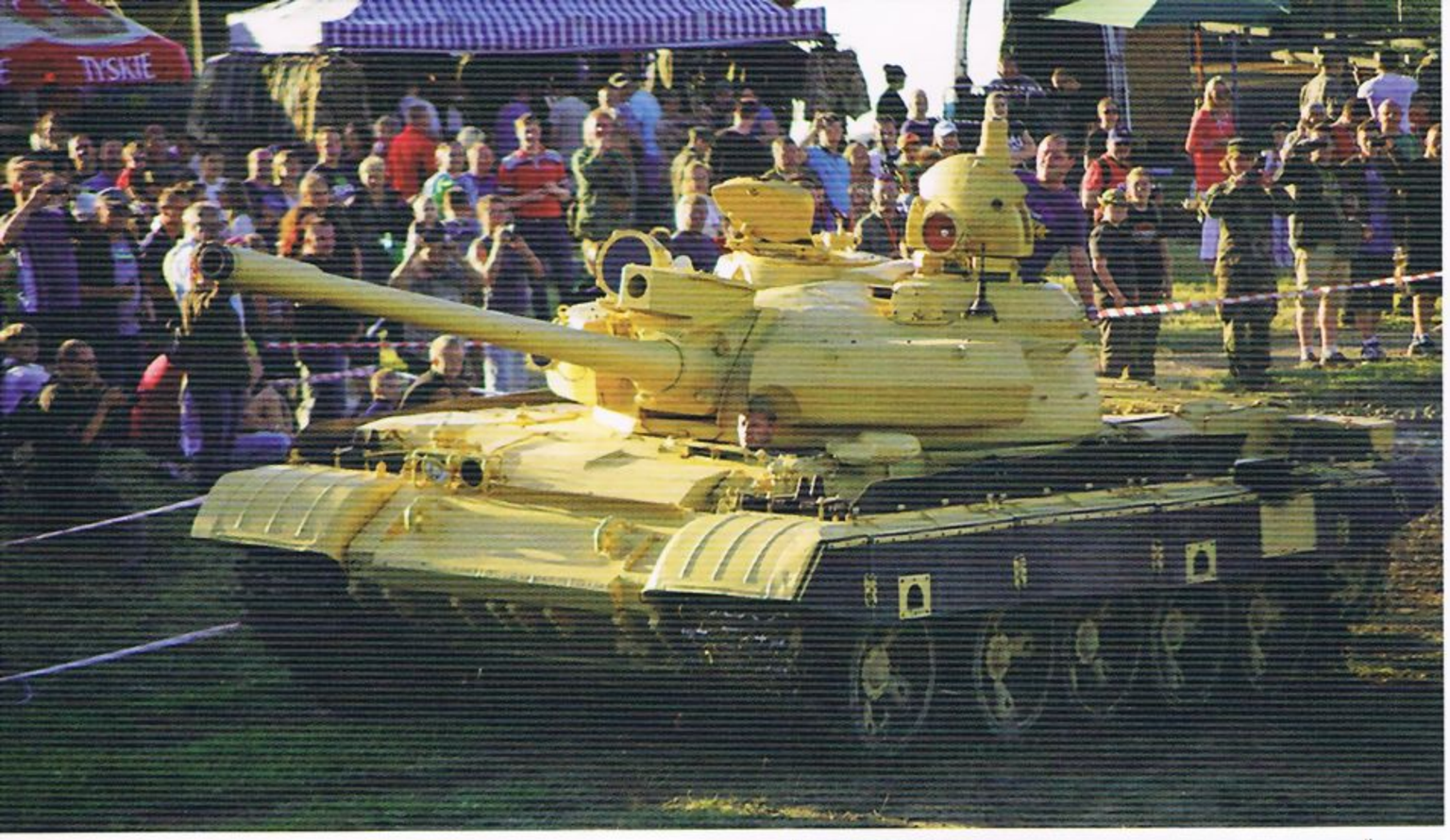

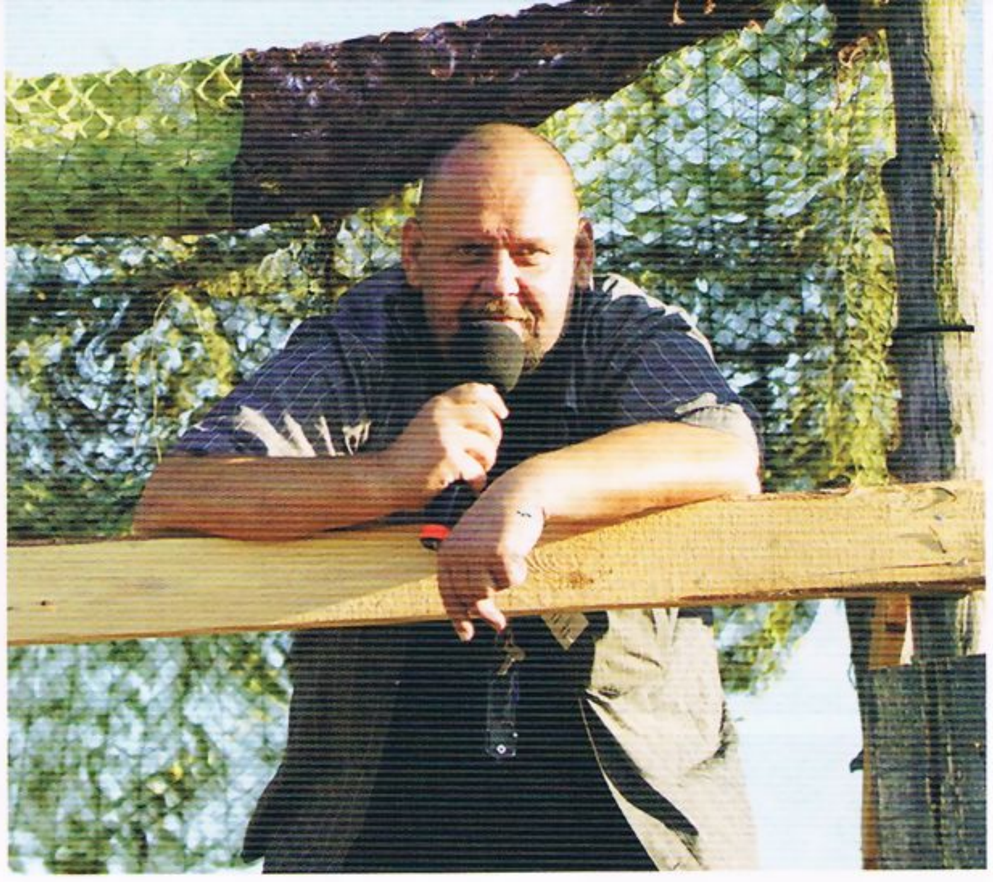

Po powrocie terenem Zlotu już niepodzielnie rządzą maszyny. Pokazy sprzętu lekkiego i ciężkiego, prezentacja samochodów wojskowych, czołgów, wozów pancernych odbyła się w wyznaczonym w programie czasie i miejscu. Każdy prezentujący się przed publicznością pojazd (objazd placu), opisywany był przez prowadzącego, w którego rolę wcielił się, po raz pierwszy, Piotr „Kruszyna". Jego spokojne, merytoryczne opowieści wprowadzające widzów w skomplikowany świat techniki wypadły nad wyraz dobrze. Mimo tremy. Po takiej dawce wiedzy technicznej i historycznej, każdy widz został doskonale przygotowany do świadomego uczestnictwa w rekonstrukcji.

„Operacja Południe" jest imprezą historyczno-kolekcjonerską bez wątpienia bardziej nastawioną na miłośników i kolekcjonerów pojazdów militarnych, niż pozostałe tego typu przedsięwzięcia. Trudno tam szukać atrakcji estradowo-rozrywkowych. Wymusza to specyfika samego miejsca, ale też konsekwentna formuła realizowana od 13 lat przez Rafała Biera. Cel jest jeden – pokazanie jak najcenniejszych eksponatów z punktu widzenia historyczno-restauratorskiego. I to się udaje.

„Operacja Południe" objęta jest patronatem honorowym przez MON i Prezydenta Miasta Bielska-Białej. Jest również współfinansowana przez MON i Prezydenta Miasta Bielska-Białej. Organizatorzy serdecznie dziękują wszystkim uczestnikom oraz bardzo licznie przybyłym widzom.

VI Zlot Grup Rekonstrukcyjnych i Historycznych Pojazdów Wojskowych „Strefa Militarna” 2013

Pod ostrzałem królowej bitewnych pól…

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: KASIA KRZYŻAŃSKA, MONIKA KRZYŻAŃSKA, ARCH. REDAKCJI,

W natłoku imprez około historycznych i rocznicowych, masowo okraszanych inscenizacjami batalistycznymi, „Strefa Militarna” jest bez wątpienia przedsięwzięciem niepowtarzalnym. Mimo VI już edycji, wciąż zaskakuje nowatorską formułą i merytoryczną doskonałością.

Niewątpliwie zasługa w tym ustawiających wysoko poprzeczkę organizatorów, jak i spełniających najwyższe standardy rekonstruktorów oraz kolekcjonerów, pragnących zaprezentować swój dorobek własnemu środowisku oraz szerszej publiczności. W efekcie z czystym sumieniem można polecać „Strefę Militarną” zarówno wymagającym pasjonatom historii wojskowości, jak i rodzinom, chcącym spędzić pożytecznie czas ze swoimi pociechami. Połączenie więc niemal abstrakcyjne, jednak w przypadku „Strefy Militarnej” wyjątkowo mające swoje uzasadnienie. Dlaczego? Z pewnością dla członków GRH, to wciąż jedyna okazja w roku, by w aż tak licznym gronie spotkać się w jednym miejscu i czasie. W tym roku na Zlot przyjechało niemal 1000 uczestników, w tym aż 870 rekonstruktorów reprezentujących 81 grup i Stowarzyszeń zajmujących się odtwarzaniem historii oręża. Swój dorobek zaprezentowali na tle kilkudziesięciu własnoręcznie zbudowanych dioram, opartych w większości na autorskich projektach, uwzględniających posiadane wyposażenie i uzbrojenie, w tym pojazdy i artylerię.Trudno wymienić najciekawsze, jednak na wielu duże wrażenie zrobiło stanowisko Trójmiejskiej Grupy Rekonstrukcyjnej, którego tłem był „zestrzelony” i zaryty w ziemię wrak szturmowego Junkersa Ju-87. Zbudowany od podstaw samolot został wykonany w skali 1:1 na podstawie odpowiednio powiększonych planów budowy… modelu kartonowego. Pomalowany i postarzony prezentował się nader oryginalnie i efektownie. Spore wrażenie robił też odtworzony amerykański obóz dla jeńców niemieckich, zwłaszcza

podczas improwizowanych mini inscenizacji. Rekonstruktorzy biorący w nich udział byli niezwykle przekonywujący, realistycznie oddając emocje, zarówno więźniów, jak i ich strażników. Dramaturgii całości dodawała wizyta radzieckiego oddziału ścigającego poszukiwanych zbrodniarzy…

Przeważały oczywiście scenografie z niemal wszystkich teatrów działań II wojny świato-

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA SKARBY · WOJNA · HISTORIA

wej, zarówno o charakterze bojowym, jak i tyłowym. Nie zabrakło również dioramy z okresu wojny wietnamskiej, radzieckiej interwencji w Afganistanie, czy też współczesnych formacji amerykańskich w bliskowschodniej scenerii. Niemal wszystkiego można było dotknąć, porozmawiać z rekonstruktorami, czy wreszcie pstryknąć pamiątkową fotografię.

Motywem przewodnim tegorocznej edycji „Strefy" była artyleria i właśnie na ten rodzaj uzbrojenia został położony przez organizatorów największy nacisk. Trzeba przyznać, że ilość eksponowanych wzorów armat, haubic i moździerzy wszelkich typów i kalibrów była ogromna. Dzięki ciekawej koncepcji ich prezentacji, zarówno w obrębie dioram, jak i podczas pokazów na zlotowych arenach, ten niedoceniany często i pozostający w cieniu system broni został wyśmienicie przybliżony wszystkim zainteresowanym. Pomimo tematycznego ukierunkowania, nie zabrakło pojazdów wojskowych. Było ich ponad 100.

Przez cały czas trwania imprezy na zlotowych arenach odbywały się pokazy dynamiczne historycznych pojazdów wojskowych, rozbudowane inscenizacje batalistyczne okraszone oprawą pirotechniczną (największa z jednoczesnym udziałem ponad 200 uczestników), prezentacje uczestniczących w zlocie GRH i porównania poszczególnych wzorów artylerii. Ponadto rozegrany został historyczny mecz piłki nożnej, odbyły się zawody bokserskie oraz pokaz mody. Każde z widowisk komentowane było przez narratorów.

Podsumowując, „Strefa Militarna" stanowi klasę samą w sobie. Gwarantuje uczestnikom i widzom niezapomniane wrażenia. Z roku na rok podnosi też

poprzeczkę coraz wyżej, zarówno organizatorom, jak i rekonstruktorom biorącym w niej udział. Kolejna edycja już za rok, lecz już jesteśmy przekonani, że będzie równie udana. Zatem do zobaczenia…

„Brama Poznania" w Śluzie Katedralnej

TEKST: PRZEMYSŁAW MAĆKOWIAK

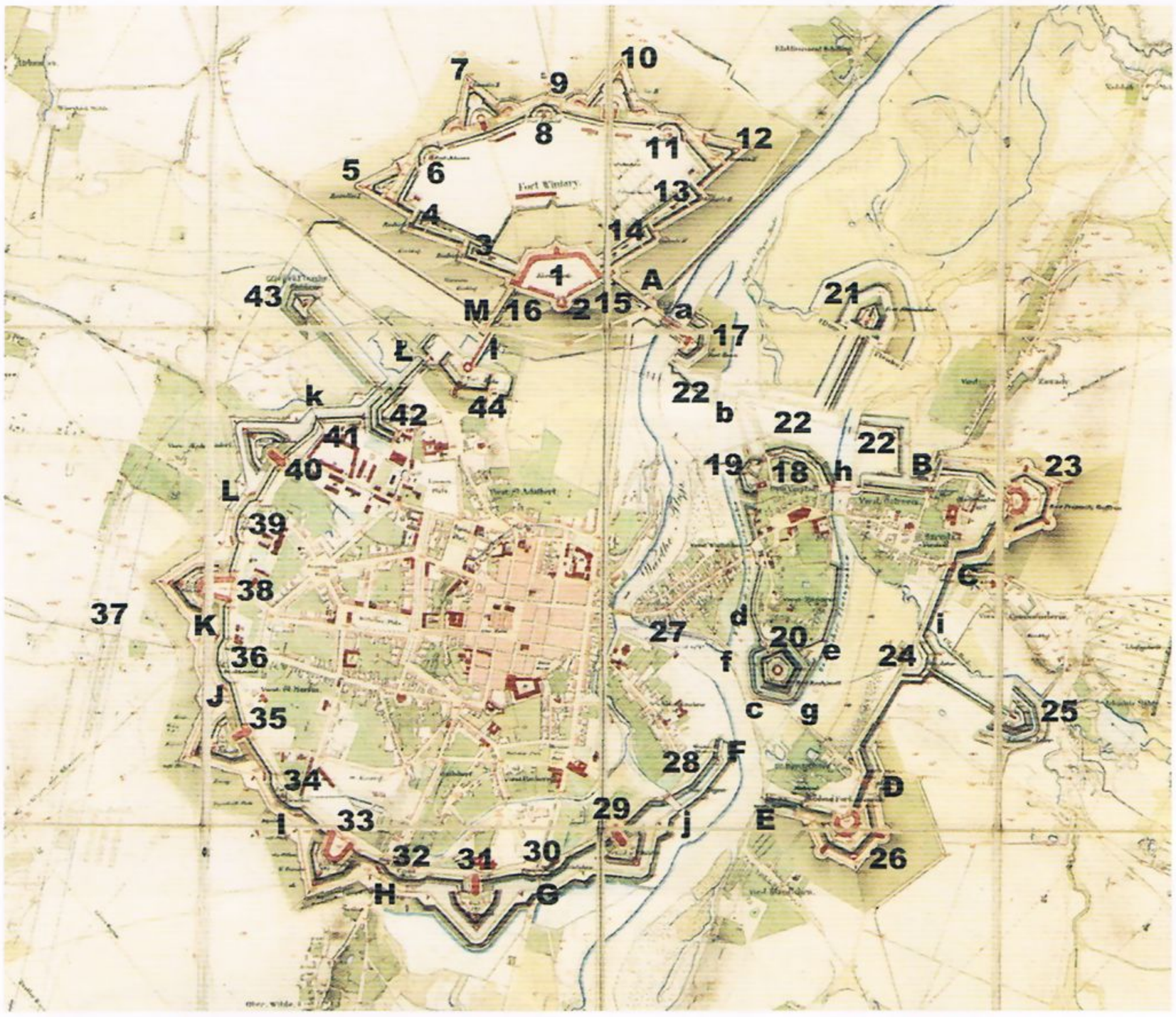

Twierdza poligonalna w Poznaniu wg stanu z początku lat 80. XIX wieku.

Dzieła główne: Fort Winiary (1-16):
1 – Śródszaniec (Kernwerk),
2 – Brama Południowa,
3 – Reduta I,
4 – Reduta II,
5 – Rawelin I,
6 – Bastion I (Johann),
7 – Rawelin II,
8 – Bastion II (Leopold),
9 – Brama Polna,
10 – Rawelin III,
11 – Bastion III (Ludwig),
12 – Rawelin IV,
13 – Reduta IV,
14 – Reduta III,
15 – estakada Wielkiej Śluzy,
16 – estakada Małej Śluzy;
17 – Przyczółek Mostowy (Fort Roon);

Cytadela Tumska (18-21):
18 – Kawalier Katedralny,
19 – Dzieło Katedralne II,
20 – Reduta Katedralna (Fort Radziwiłł),
21 – Luneta Katedralna (Fort Steinäcker);
22 – Narożnik Zachodni, Środkowy oraz Wschodni;

Umocnienia prawobrzeżne (23-26):
23 – Fort Reformatów (Prittwitz und Gaffron),
24 – Kawalier Cybiński (Aster),
25 – Luneta Cybińska (Aster),
26 – Fort św. Rocha (Rauch);
27 – Kaponiera Warciana;

Rdzeń lewobrzeżny (28-43):
28 – Kawalier I (Boyen),
29 – Bastion I (Röder),
30 – Kawalier II (Witzleben),
31 – Bastion II (Brünneck),
32 – Kawalier III (Rohr),
33 – Bastion III (Grolman),
34 – Kawalier IV (Strotha),
35 – Bastion IV (Colomb),
36 – Kawalier V (Stockhausen),
37 – Kaponiera Kolejowa,
38 – Bastion V (Tietzen),
39 – Kawalier VI (Bonin),
40 – Bastion VI (Waldersee),
41 – Narożnik,
42 – Kawalier Magazynowy,
43 – Luneta Cegielni (Waldersee);
44 – Fort św. Wojciecha (Hake);

Bramy:
A – Brama Szelągowska,
B – Brama Bydgoska,
C – Brama Warszawska,
D – Brama Kaliska,
E – Brama Warciana,
F – Furta Grobelna,
G – Brama Dębińska,
H – Brama Wildecka,
I – Brama Rycerska,
J – Brama Kolejowa,
K – Brama Berlińska,
L – Brama Królewska,
Ł – Brama Młyńska,
M – Brama Cmentarna;

Budowle hydrotechniczne:
a – Wielka Śluza,
b – Wielka Tama,
c – Tama Berdychowska,
d – Kanał Odpływowy I,
e – Kanał Odpływowy II,
f – Przelew I,
g – Przelew II,
h – Śluza Katedralna,
i – Śluza Cybińska,
j – Śluza Grobelna,
k – Akwedukt Bogdanki,
l – Mała Śluza.

Rysunek na podkładzie z planu Poznania z 1841 r. z uzupełnieniami z 1871 r. ze zbiorów Tajnego Archiwum Państwowego Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego. Oprac. P. Maćkowiak.

Poznańska twierdza poligonalna była jednym z najpotężniejszych XIX-wiecznych zespołów budowli militarnych w Europie. Nielicznym, dobrze zachowanym obiektem, jest zachodni przyczółek Śluzy Katedralnej, adaptowany obecnie dla potrzeb Interaktywnego Centrum Ostrowa Tumskiego „Brama Poznania". Po raz pierwszy publicznie można ją było zwiedzać w dniach 24-25 sierpnia 2013 r. w trakcie Dni Twierdzy Poznań.

Umocnienia wzniesiono w latach 1828-1869 wg założeń szkoły nowopruskiej stanowiącej odmianę systemu poligonalnego. Wyróżniały się one zarówno walorami architektonicznymi, jak i obronnymi, a zastosowane tutaj nowatorskie rozwiązania stały się wzorcem dla budowanych później twierdz. Inwestycja ta była również ogromnym przedsięwzięciem inżynierskim, nie pozostającym bez wielopłaszczyznowego wpływu na rozwój urbanistyczny miasta. Do dzisiaj zachowały się jednak tylko skromne relikty umocnień poligonalnych wzniesionych w kilku etapach. Od lat 70. XIX w. ich znaczenie militarne coraz bardziej malało, gdyż główna linia obronna została przeniesiona na zewnętrzne forty. W 1902 roku podjęto decyzję o rozbiórce rdzenia na lewym brzegu Warty, dalsze prace prowadzono po odzyskaniu niepodległości, kolejne, po zakończeniu II wojny światowej. Obecnie ślady umocnień można dostrzec w układzie ulic, a część terenów pofortecznych, to tereny zielone.

Umocnienia Ostrowa Tumskiego, umożliwiające obronę okrężną, pełniły funkcję dodatkowej cytadeli wewnętrznej twierdzy. Kompleksowy projekt ufortyfikowania wyspy opracowano w 1855 roku, a zrealizowano go do 1862 roku. Cytadela Tumska łączyła zarówno stare dzieła powstałe w pierwszym etapie budowy (1828-1839): Kawalier Katedralny oraz Śluzę Katedralną, jak i nowe:

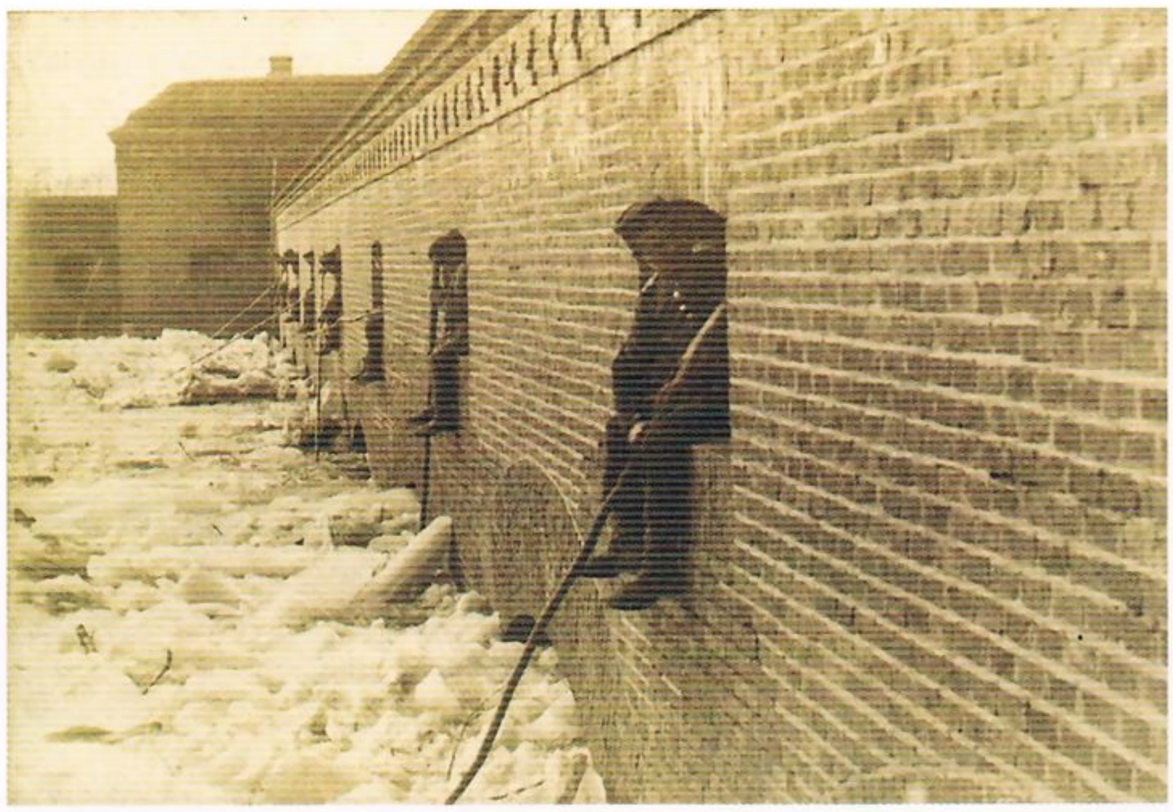

Fotografia Śluzy Katedralnej z ok. 1890 r. wykonana przez Josepha Engelmanna w trakcie jednej z największych poznańskich powodzi. Siedzący w strzelnicach mostu żołnierze za pomocą długich tyczek przepychają wiosenną krę grożącą zatorem, w głębi elewacja przyczółka zachodniego. Zb. Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu.

Dzieło Katedralne II oraz Redutę Katedralną (Dzieło Katedralne I). Wszystkie obiekty połączono wałami oraz otoczono przeciwpowodziowymi kanałami odpływowymi Warty.

Jedną z pierwszych i ciekawszych budowli hydrotechnicznych była Śluza Katedralna (Dom Schleuse), zrealizowana w zasadniczej części w latach 1834-1838. Przede wszystkim pełniła ona funkcję jazu spiętrzającego, w przypadku zagrożenia, wody Cybiny, tworzące wówczas zalew od wschodniej strony Cytadeli Tumskiej, między Zagórzem a Berdychowem. Z tego też względu zwyczajowa nazwa obiektu nie do końca jest prawidłowa, gdyż w polskiej nomenklaturze oznacza zupełnie inny rodzaj budowli hydrotechnicznej, umożliwiającej zwykle przemieszczanie statków pomiędzy różnymi poziomami kanału czy rzeki. Śluza zapewniała także komunikację między Tumem oraz Śródką. Dziewięcioprzęsłowy, murowany most o rozpiętości około 55 m wyposażono w system potrójnych, drewnianych zastaw (szandorów). Można je było opuszczać lub podnosić za pomocą łańcuchów nawijanych na kołowroty umieszczone na pomoście technicznym. Płytę pomostową z jezdnią oraz chodnikiem wykonano z drewnianych desek i belek. Osłaniał ją z obu stron mur Carnota, wykonany po 1838 roku i wyposażony w strzelnice karabinowe. W tym czasie zbudowano też mur obronny otaczający przyczółek wschodni, z placem przeznaczonym na zmagazynowanie belek umożliwiających spiętrzenie rzeki. Był on broniony przez prostokątny blokhauz ze specyficznym bomboodpornym stropem, wykonanym z drewna oraz cegieł i wzmocnionym nasypem ziemnym. Główny wyjazd prowadził w kierunku Śródki po dwuprzęsłowym moście z częścią uchylną, i zabezpieczonym od północy murem ze strzelnicami. Ten stosunkowo niewielki jaz regulował poziom wody w fosie otaczającej Lunetę Katedralną, do której można było się dostać drogą krytą prowadzącą z placu.

Przyczółek zachodni wzniesiono na planie prostokąta w postaci ceglanego, dwukondygnacyjnego budynku przykrytego nasypem ziemnym. W elewacji od strony rzeki, zwieńczonej ozdobnym fryzem oraz gzymsem, znajdowały się

Na pocztówce z czasów okupacji widoczny jest z prawej strony przyczółek zachodni Śluzy Katedralnej, ze śladami na elewacji rozebranego mostu oraz zestaw prowadnic. Zb. P. Maćkowiaka.

Fragment przyczółka wschodniego Śluzy Katedralnej odkopany w trakcie prac badawczych w 2010 roku. Z prawej fragment przęsła mostu z jazem regulującym poziom w fosie Lunety Katedralnej. Fot. P. Maćkowiak.

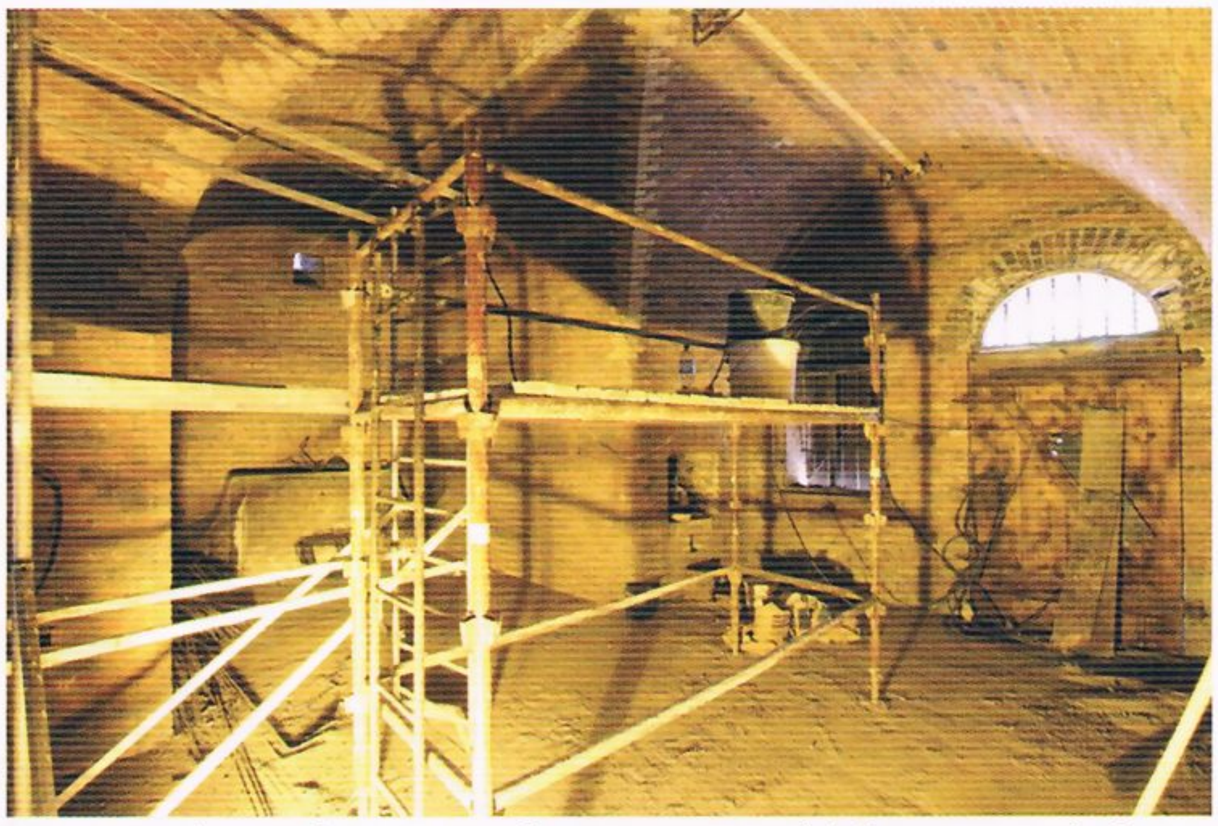

Wartownia podczas prac konserwatorskich, z prawej okno i drzwi z oryginalną stolarką, z lewej żłób dla koni. Fot. P. Maćkowiak.

strzelnice, od dziedzińca – okna i drzwi. Przez nieco wyższą partię środkową prowadził sklepiony przejazd zamykany z obu stron dwuskrzydłowymi bramami obitymi ćwiekami i wyposa-

Zwornik sklepienia sieni bramnej z datą zakończenia budowy Śluzy Katedralnej. Fot. P. Maćkowiak.

Montaż w sierpniu 2012 r. kratownicowej kładki w miejscu dawnego mostu Śluzy Katedralnej. Fot. P. Maćkowiak.

żonymi w strzelnice. Dodatkowo sień zabezpieczał most zwodzony z przeciwwagami chowającymi się w piwnicy. Od południa przylegała do niej wartownia z osobnymi drzwiami od dziedzińca, natomiast od północy dobrze doświetlone izby przeznaczone dla załogi.

Między przyczółkiem a Mostem Cybińskim powstał mur Carnota, zaopatrzony w strzelnice karabinowe oraz artyleryjskie z zamknięciami kratowymi. Początkowo takie rozwiązanie planowano również od strony północnej, w rezultacie jednak wykonano tam wał ziemny z ceglanym murem oporowym od dziedzińca wewnętrznego. Od strony ulicy wydzielała go z kolei krata forteczna z bramą i furtą umieszczoną między ceglanymi słupami.

Nieznaczną modernizację przyczółka przeprowadzono w ostatniej ćwierci XIX wieku, kiedy to drewniane stropy w pomieszczeniach bocznych zastąpiono murowanymi (pierwotnie sklepienie kolebkowe rozdzielało obie kondygnacje tylko w sieni). Wartownię przekształcono wówczas w stajnię, montując żłób, natomiast bliższą przejazdowi izbę żołnierską – w remizę z wjazdem od dziedzińca.

W 1892 roku zamierzano przebudować jaz na most cywilny o dwukrotnie szerszych przęsłach, poprzez redukcję ilości filarów. Projekt nie został zrealizowany, a większe zmiany w strukturze obiektu nastąpiły po odzyskaniu niepodległości. Do sierpnia 1921 r. w całości rozebrano przyczółek wschodni oraz jaz będący przyczy-

Odsłonięte w kwietniu 2011 r. mury przyczółka wschodniego Śluzy Katedralnej. Na pierwszym planie relikty blokhauzu, z lewej Most Cybiński (Jordana), z prawej mur Carnota oraz fragment zachodniego przyczółka. Fot. P. Maćkowiak.

ną wielu powodzi. Część zachodnią wraz z działką przekazano natomiast Kurii Metropolitalnej.

W pierwszej dekadzie XXI w. powstała koncepcja stworzenia nowatorskiego Interaktywnego Centrum Historii Ostrowa Tumskiego „Brama Poznania", mającego w niekonwencjonalny sposób opowiadać dzieje tego miejsca. Pierwsze prace w terenie rozpoczęły się latem 2010 r. od wykopów sondażowych po wschodniej stronie Cybiny, mających określić stan rozebranych w międzywojniu umocnień. Realizowany projekt nie uwzględniał jednak wyeksponowania całkiem nieźle zachowanych murów, i w marcu 2011 r. rozebrano je, mimo ambiwalentnych opinii miłośników fortyfikacji (przykładem wykorzystania podobnych reliktów może być Fort Thüngen w Luksemburgu, mieszczący centrum konferencyjne). Obecnie w tym miejscu powstaje nowoczesny w bryle budynek połączony kratownicową kładką z restaurowanym przyczółkiem zachodnim. Ten ostatni jest wyjątkowy, gdyż zachowało się w nim wiele elementów pierwotnego wyposażenia, jak okna, brama, drzwi z oryginalną stolarką, zworniki, żłób, czy strzelnice z zamknięciami kratowymi. Wszystkie one poddawane są pieczołowitej konserwacji.

W trakcie tegorocznej Nocy Muzeów (18 maja) Sekcja Historyczna Towarzystwa Miłośników Miasta Lubonia oraz Centrum Turystyki Kulturowej TRAKT przygotowały limitowane zwiedzanie Śluzy Katedralnej, ograniczone przede wszystkim rygorami placu budowy, związanymi z bezpieczeństwem uczestników. Zainteresowanie było ogromne, i z tego też względu pojawił się pomysł przygotowania większej imprezy o formule zbliżonej do organizowanego przez Stowarzyszenie, od 12 lat, fortecznego Lubońskiego Rajdu Rowerowo-Pieszego „Śladami Historii" oraz, od 5 lat, Fortecznego Weekendu. Jak dotąd były to jedyne cykliczne imprezy, w trakcie których można było zwiedzać niedostępne na co dzień dla turystów obiekty związane z poznańską twierdzą. Dzięki ścisłej współpracy z Poznańską Lokalną Organizacją Turystyczną dojrzewał jednak projekt przekształcenia wcześniejszych imprez w pełnowymiarowe Dni Twierdzy, podobnie jak to się dzieje w innych miastach-twierdzach nie tylko w kraju, ale także za granicą. Założeniem było udostępnienie w ciągu jednego weekendu kilku obiektów, połączonych specjalną autobusową trasą turystyczną ułatwiającą korzystanie z oferty. W dniach 24-25 sierpnia marzenie się ziściło, i po raz pierwszy impreza odbyła się jako Dni Twierdzy Poznań. W jej ramach TMML oraz CTK TRAKT po raz pierwszy publicznie, w tak dużym zakresie pokazało remontowany zachodni przyczółek Śluzy Katedralnej. W jego wnętrzu została przygotowana, przy współpracy z Fabryką Umundurowania Braci Kłoskowskich Hero Collection, okazjonalna wystawa pokazująca przekrojowo uniformy potencjalnych użytkowników obiektu w XIX i XX wieku. Odbyły się również prelekcje dotyczące tematyki fortecznego dziedzictwa kulturowego oraz związanej z nim turystyki. W przestrzeni Ostrowa Tumskiego pojawili się rekonstruktorzy, przede wszystkim w mundurach oraz strojach sprzed 1918 r., przybliżając klimat tych lat. Przygotowano pokaz mody historycznej, nie zabrakło też zabytkowych pojazdów, w tym jedynego w Polsce Chevroleta Canady C60-S. Dla każdej z grup zwiedzających zorganizowano konkursy wiedzy o poznanych obiektach, motywujące do poszerzania wiedzy.

Przemysław Maćkowiak

Zainteresowania autora koncentrują się na architektura militaris, ze szczególnym uwzględnieniem XIX i XX-wiecznych fortyfikacji, oraz historii militarnej w latach 1815-1918, organizacji, umundurowania, taktyki i historii armii pruskiej. Prowadzi też Towarzystwo Miłośników Miasta Lubonia, zajmujące się między innymi rekonstrukcją historyczną. W ubiegłym roku ukazała się jego książka „Twierdza poligonalna" w serii „Poznaj Poznań", opublikowana w wydawnictwie „Święty Wojciech".

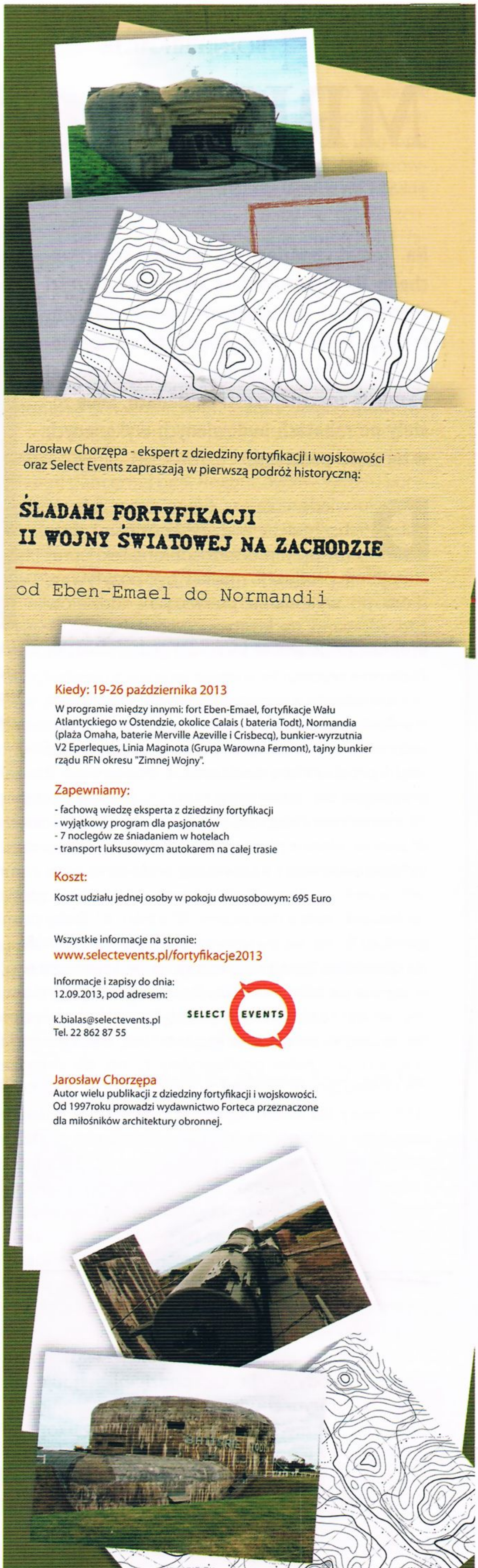

MRU – podziemna fabryka (cz. 1)

TEKST I ZDJĘCIA: MARCIN DUDEK

Na temat podziemnej fabryki Schachtelcheim II, ulokowanej w południowej części chodników i podziemnych komór nieukończonego Frontu Fortecznego, istnieje niewiele wiarygodnych informacji, dlatego opis jej bazuje w znacznej części na śladach, jakie zostały po robotach budowlanych wykonanych w tej części podziemi.

Instalacje na wschodnim końcu dworca „I" („Ida"). W stropie widoczne jest doprowadzenie rury wodociągowej, z lewej biegną rury sprężonego powietrza pozbawione kompensatora (malowanie ścian i instalacji jest powojenne, graffiti także).

Doświadczenia z organizacją fabryki Schachtelcheim I, przenosinami, pracami przy montażu obrabiarek i uruchomienia produkcji, musiały być pozytywne, skoro po wykonaniu pierwszych oddziałów zdecydowano się kontynuować dalszą przebudowę podziemi w kierunku południowym. Zapewne wyciągnięto jakieś wnioski z błędów i doświadczeń pierwszego etapu przebudowy. Postanowiono bowiem najpierw wykonać wszystkie prace związane z montażem instalacji i przebudową podziemi, a dopiero po ich zakończeniu, przystąpić do ustawiania maszyn. Roboty zostały przerwane na etapie montażu rurociągów sprężonego powietrza i wody. W porównaniu z pierwszą fazą wprowadzono niewielkie modyfikacje. Istotną i najbardziej widoczną, było zamontowanie umywalek we wszystkich prawie wnękach na głównej drodze ruchu, pomiędzy dworcami „G" aż do „K". Dalej profil chodnika głównej drogi ruchu kończy się, a mniejszy profil, przewidziany dla ruchu kolejki i pieszego w jednym szeregu, nie nadaje się już na cele produkcyjne. A więc dostęp do wody bieżącej nie był tam niezbędny. Zużyta woda była odprowadzona do systemu odwodnienia, tam też trafiała woda używana podczas procesów produkcyjnych, np. do chłodzenia narzędzi skrawających. System odwodnienia podziemi nie był przystosowany do celów kanalizacji sanitarnej, bowiem wyziewy zatrułyby i tak nie najlepiej wentylowane podziemia. Dlatego również i w tej części podziemi sanitariaty nie były podłączone do tego systemu. Problem rozwiązano nieco inaczej, niż w północnej części fabryki, gdzie na ten cel adaptowano dużą, boczną komorę. Ponieważ na dworcach „I" („Ida") i „K" („Konrad") oraz obu dworcach kolejowych baterii pancernej istniały gotowe już wnęki przeznaczone na sanitariaty (mają je wszystkie nowsze dworce), wystarczyło je dokończyć. W tym przypadku jednak niezbędne było wywożenie fekalii za pomocą odpowiednich wagonów kolejki wąskotorowej. Doprowadzenie wody w tej części podziemi znajduje się na dworcu „Ida", nad którym zbudowano duży zespół zbiorników i stację pomp, jednak inwestycja ta nie została już ukończona. Wszystkie elementy tego zespołu obiektów miały być po zakończeniu budowy przykryte warstwą ziemi i zamaskowane. Wskazują na to niektóre, dobrze zachowane elementy konstrukcyjne.

System rurociągów sprężonego powietrza został wyposażony w duży zbiornik wyrównawczy, ustawiony w specjalnie wykonanym szybie dobudowanym do chodnika dworca postojowego znajdującego się obok dworca „H" („Heinrich"). Szyb ten jest często mylnie wskazywany, jako część nie ukończonego obiektu T-Werk 5 (nazywanego też błędnie A1-5), gdyż znajduje się w pobliżu jego planowanej lokalizacji. Miejsce dla szybu wybrano nieprzypadkowo, ponieważ znajduje się niemal bezpośrednio pod bocznicą kolei budowlanej, która od północy prowadzi na wzgórze Wolfs Keuthe. Tą trasą dowieziono na miejsce gotowy zbiornik, a rozładunek i ustawienie w szybie wykonano, przypuszczalnie, z użyciem dźwigu kolejowego. Umiejscowienie zbiornika na pograniczu obu fabryk wskazuje, że miał służyć do utrzymania równomiernego ciśnienia w obu częściach zakładu. Wykonanie szybu o średnicy 4 m i ustawienie w nim nitowanego zbiornika o wysokości ok. 10 m, musiało odbywać się od strony powierzchni. Była to prawdopodobnie najbardziej skomplikowana operacja związana z przebudową tej części podziemi.

Na południe od dworca „K" („Konrad"), poza rurociągami, brakuje śladów po pracach adaptacyjnych, które pojawiają się ponownie na terenie dawnej Baterii Pancernej Nr 5, czyli obecnie tzw. Pętli Boryszyńskiej. Przebudowa tej części podziemi znajduje się na bardzo wczesnym etapie. Na terenie baterii istnieje 11 dużych komór o długości 40 lub niekiedy nawet więcej metrów. Szerokość na poziomie podłogi wynosi 4 m, a wysokość od 4,3 do 5 metrów. Zbudowano tu szereg ścianek działowych, wykonanych z cegły. Doprowadzono również tory kolejki do dwóch szybów najbardziej zaawansowanych w budowie obiektów bojowych Pz.T. 2 i 3. Z powodu braku szyn rowkowych, wykorzystano w tym celu wpuszczone w beton posadzki standardowe szyny kolejki polowej.

Marki narzędziowe z nazwą fabryki i gwiazdą Mercedesa – symbolem koncernu Daimler-Benz.

Na powierzchni, w tym rejonie, istniała dobrze rozbudowana sieć normalnotorowej kolei zbudowanej na potrzeby placu budowy fortyfikacji, co znacznie ułatwiało prace. Wykonano tu również cały szereg prac, po których ślady są do dzisiaj dobrze widoczne. Największym obiektem była hala o żelbetowej konstrukcji zbudowana na płycie fundamentowej obiektu artyleryjskiego Pz.T. 2. W jej wnętrzu znajdują się miejsca do ustawienia 4 dużych agregatów prądotwórczych lub sprężarek. Nie jest również wykluczone, że hala mogła pełnić obie funkcje (elektrownia i sprężarkownia), lub jednocześnie nawet hamowni. Obok hali, nad placem budowy, w 1945 r. znajdował się duży żuraw masztowy, widoczny na kadrach radzieckiej kroniki filmowej. Po zakończeniu prac budowlanych miał być zdemontowany, a cała hala przykryta warstwą ziemi. Na powierzchni miały znajdować się jedynie dwa niewielkie kominy. Dzięki temu hala stawała się niewidoczna z powietrza.

Kolejną budowlą była kotłownia, wykonana w rozwidleniu toru zmierzającego do obiektu wejściowego 766. Do dzisiaj pozostał po niej wysoki, wykonany z żelbetowych prefabrykatów komin, stojący przy drodze prowadzącej w stronę B-Werka 783 i wzniesienia Kikot (tzw. Góra 3 Władców), będący charakterystycznym elementem krajobrazu. Choć nigdy nie posiadał połączenia z systemem podziemnych chodników, często uważany jest za element systemu wentylacyjnego tychże. Faktycznie, zupełnie niedaleko, pomiędzy B-Werkami 766 i 715 rozpoczęto również budowę typowego szybu wentylacyjnego o średnicy 4 m, jednak prace te zostały przerwane na wczesnym etapie (szyb miał przylegać do komory dworca „K").

Również i w tym rejonie na powierzchni znajdowały się dwa duże osiedla barakowe, które można było wykorzystać do zakwaterowania robotników budowlanych i personelu fabryki, wchodzących do podziemi obiektem wejściowym o numerze 766.

W tym miejscu warto pokusić się o pokazanie, jak mogłaby wyglądać gotowa fabryka i jej praca po ukończeniu robót budowlanych i instalacyjnych na wiosnę 1945 roku. Całkowita powierzchnia produkcyjna obu części fabryki wynosiłaby około 30-40 tys. metrów kwadratowych. Część oznaczona kryptonimem Schachtelcheim I zajmowałaby się produkcją półfabrykatów i części, natomiast położona na południe od dworca „G" („Gustaw") fabryka o kryptonimie Schachtelcheim II, stanowiłaby montownię silników. Ich finalny montaż i próby (żelbetowa hala na Pz.T. 2 mogła być również hamownią) odbywałyby się na terenie dawnej baterii pancernej nr 5. Rozbudowany system korytarzy oraz komór umożliwiał organizację taśmy produkcyjnej lub montażu systemem gniazdowym w poszczególnych komorach. Dzięki temu unikano zbędnego transportu obrabianych części w obu kierunkach i na duże odległości, kiedy jednotorowa kolejka stawała się coraz mniej wydajna. Strumień gotowych części i podzespołów przesuwał się w jednym kierunku – na południe – gdzie byłby montowany wyrób finalny. W przeciwną stronę puste wagony zabierały odpady produkcyjne. Gotowe silniki, których waga nie przekraczała 1 tony, byłyby podnoszone za pomocą windy na poziom betonowej hali. Po sprawdzeniu, podziemnym chodnikiem wychodzącym z hali (nie zbudowanym), opuszczałyby fabrykę, a następnie ładowanoby je na wagony lub samochody ciężarowe. Natomiast sprawa wykorzystania na cele produkcyjne pozostałej części podziemi, położonych na północ od dworca „E", wydaje się obecnie niemożliwa do wyjaśnienia i może mieć jedynie mocno spekulacyjny charakter.

Prawdopodobnie w tym czasie zamurowano dojścia do znajdującej się we wczesnej fazie budowy Baterii Pancernej Nr 8. Ta część podziemi dotychczas pozostaje niedostępna. Poważną przeszkodę na drodze do szybkiego jej wykorzystania stanowi brak torów kolejki prawie we wszystkich bocznych odgałęzieniach chodników. Z drugiej strony, zespół gotowych

Przybory i narzędzia stanowiące niegdyś wyposażenie podziemnej fabryki oraz części silników (ze zbiorów Tadeusza Stachowicza z Wysokiej oraz autora).

komór amunicyjnych nie ukończonego obiektu A-Werk 8 i komory wjazdowych dworców kolejowych A 62 i A 63 niemal proszą się, aby je wykorzystać w celach produkcyjnych i magazynowych. Tym bardziej, że oba te dworce można by było połączyć stosunkowo niewielkim nakładem robót z główną linią rokadową kolei budowlanej, co znacznie usprawniłoby komunikację i zaopatrzenie całej fabryki. A więc należy przypuszczać, iż takie rozwiązania były przynajmniej rozważane.

Tempo radzieckiego natarcia w styczniu 1945 r. i szybki rozwój wydarzeń spowodowały, że w ręce Armii Czerwonej dostała się czynna, pracująca fabryka. Ten zaskakujący dla Niemców rozwój sytuacji spowodował, że nie byli w stanie dokonać ewakuacji ani zniszczeń. Z zachowanych relacji świadków, zebranych jeszcze w latach 70. i 80. ubiegłego wieku przez Andrzeja Toczewskiego, wynika, że radzieckie czołówki rozstrzelały część niemieckiego personelu przy wjeździe do podziemi, nie zajęły jednak terenu fabryki ani podziemi. Stosunkowo szybko w rejonie wjazdu i obozów barakowych pojawiły się jakieś niemieckie oddziały. Robotnicy przymusowi zostali zapędzeni do wnętrza podziemi, które opuścili w rejonie Boryszyna. Dokładny przebieg wydarzeń nie jest znany, lecz jest faktem, że tzw. „główny wjazd" do podziemi przy dworcu A 63 został w tym okresie wysadzony w powietrze i nie można stwierdzić z całą pewnością, kto i kiedy tego dokonał.

Po zajęciu terenu przez kolejne oddziały, Rosjanie rozpoczęli odgruzowanie wjazdu. Został on prowizorycznie zabezpieczony za pomocą drewnianych szalunków i przystąpiono do demontażu maszyn. Jednak przedtem fabryka była oglądana dokładnie przez radzieckich wyższych dowódców z marszałkiem Żukowem na czele. Rosjan interesowały przede wszystkim obrabiarki. Zabezpieczyli i zabrali również część narzędzi oraz przyrządów. Nie zrobili tego jednak zbyt starannie. Zarówno wizyta wyższych oficerów oglądających fabrykę oraz system fortyfikacji, jak i wywożenie maszyn z fabryki, został utrwalony na radzieckiej kronice filmowej stanowiącej bezcenny dokument, pokazujący wiele interesujących szczegółów, po których pozostały obecnie jedynie nieliczne ślady. Pozostałe wyposażenie fabryki, poza obrabiarkami, nie wzbudziło u Rosjan większego zainteresowania, skoro większość drobnych narzędzi, półfabrykatów i gotowych części została wywieziona z podziemi i wysypana na hałdę przy wjeździe, skąd sukcesywnie były zabierane na złom i do okolicznych gospodarstw. Dlatego cały czas można znaleźć w tym rejonie MRU wiele interesujących przedmiotów. Do najciekawszych należą sprawdziany, czujniki zegarowe, średnicówki i suwmiarki. Można spotkać przyrządy montażowe, klucze maszynowe i kliny do poziomowania obrabiarek. Prawdziwą perełkę stanowią marki narzędziowe z nazwą fabryki i gwiazdą Mercedesa – symbolem koncernu Daimler-Benz. Zwykle na dużej metalowej agrafce znajdował się jeden większy, wykonany ze stopu cynku znaczek, który stanowił przepustkę i identyfikator pracownika oraz 10 mniejszych, okrągłych, będących markami, które służyły do pobierania narzędzi z magazynu. Obecnie są to już coraz rzadsze znaleziska. Szkoda, że w swoim czasie administratorzy podziemnej trasy turystycznej w Pniewie nie skorzystali z szansy, jaką mogło być pozyskanie większej ilości tego typu eksponatów. Mogły by się one stać obecnie tematem ciekawej i niebanalnej wystawy o zupełnie zapomnianych i mało znanych podziemnych fabrykach Schachtelcheim I i II.

Marcin Dudek

Technolog z wykształcenia. Z zamiłowania badacz fortyfikacji i fotograf. Specjalizuje się w niemieckich fortyfikacjach wschodnich okresu II wojny światowej. Autor kilku książek i wielu publikacji z tej dziedziny.

Komin kotłowni Schachtelcheim II ogrzewającej południową część podziemnej fabryki, za nim porośnięty zielenią fundament budynku, który nie był połączony z systemem chodników i nie miał nic wspólnego z wentylacją podziemi.

Żelbetowa hala na terenie dawnej Baterii Pancernej Nr 5 była elementem podziemnej fabryki, ale jej przeznaczenie nie zostało jednoznacznie wyjaśnione. Mogła być elektrownią zapasową, sprężarkownią lub hamownią przeznaczoną do prób silników.

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 4)

Kieszonkowa artyleria Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości

TEKST: PIOTR GALIK

Siły zbrojne Monarchii Naddunajskiej, jak nazywano dualistyczne państwo austro-węgierskie, bynajmniej nie były tak archaiczne, jak zwykło się uważać pod wpływem lektury nacechowanych politycznymi uprzedzeniami wspomnień, czy utworów literackich, powstałych po 1918 roku. Przeciwnie, jak na możliwości stosunkowo niebogatego mocarstwa, władze przeznaczały znaczne środki na rozwój uzbrojenia i wyposażenia armii, dostrzegając znaczenie jej siły zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i wewnętrznych. Dlatego też w rękach „c.k. wojaków" znalazło się wiele interesujących i udanych typów uzbrojenia, niekiedy wyprzedzających, a zwykle co najmniej dorównujących dokonaniom myśli technicznej innych europejskich potęg. Krótka broń strzelecka nie była tu wyjątkiem.

Od Colta do Gassera – rewolwery w służbie Monarchii Habsburskiej

W poszukiwaniu nowoczesnej broni krótkiej, władze wojskowe Cesarstwa nie wahały się sięgać po konstrukcje obce. Już w roku 1849, zapewne nie bez związku ze świeżymi doświadczeniami wojennymi z pól bitewnych Włoch i Węgier, zakupiono patent na produkcję zmodyfikowanego rewolweru Samuela Colta. Wybór padł na model znany za oceanem, jako Colt Dragoon (dragoński, czyli kawaleryjski), sześciostrzałowy, czarnoprochowy rewolwer kapiszonowy. Produkcję broni podjęła założona w roku 1838 spółka trzech przedsiębiorców „K. k. privilegierte Maschinen-und Spinnfabrik" w Innsbrucku. W literaturze przedmiotu rewolwer znany jest jako Ganahl – od nazwiska jednego z udziałowców wytwórni. Licencyjny colt z Tyrolu znacząco różnił się od swojego amerykańskiego pierwowzoru. Wersja europejska wyróżniała się skróconą lufą (pierwowzór: 7,5 cala – 190 mm, austriacki „klon": 135 m, niespełna 5,5 cala) o zwiększonej ilości i skoku bruzd, oraz zmniejszonym kalibrem: 9 mm (0.36 cala) zamiast pierwotnego 11,2 mm (0.44 cala). W efekcie nastąpiło znaczne „odchudzenie" konstrukcji, w wersji amerykańskiej ważącej ponad 1,9 kg. Ponadto w wariancie licencyjnym została przeniesiona szczerbinka – montowano ją tak, aby celowanie mogło odbywać się przy odwiedzionym kurku, a więc w pozycji gotowości do oddania strzału. Głównym odbiorcą tej broni stała się habsburska marynarka wojenna, wykorzystująca „tyrolskie colty" w latach 1849-1870. Produkcja tych rewolwerów trwała w okresie 1849-1854. Zamówienie floty obejmowało 1000 sztuk broni, ponadto niewielka ilość (około 100 egzemplarzy) trafiła także na rynek cywilny.

Światowy sukces komercyjny rewolwerów, które w połowie XIX wieku wyparły w wielu armiach tradycyjne pistolety, wpłynął także na rodzime konstrukcje austro-węgierskiego przemysłu zbrojeniowego. Leopold Gasser, właściciel niewielkiego warsztatu w Wiedniu, już w roku 1862 rozpoczął prace nad bębenkowcem własnej konstrukcji. Po kilku latach ambitny Wiedeńczyk osiągnął nie lada sukces – broń jego pomysłu zyskała uznanie poważnego i bogatego zleceniodawcy – Kriegsministrium (Ministerstwa Wojny). Standaryzowany jako M 1870 rewolwer Gassera nie zachwycał szczególną ele-

Ganahl Colt z Tyrolu – licencyjny wariant rewolweru dla amerykańskiej kawalerii, produkowany w Austrii z myślą o marynarce wojennej.

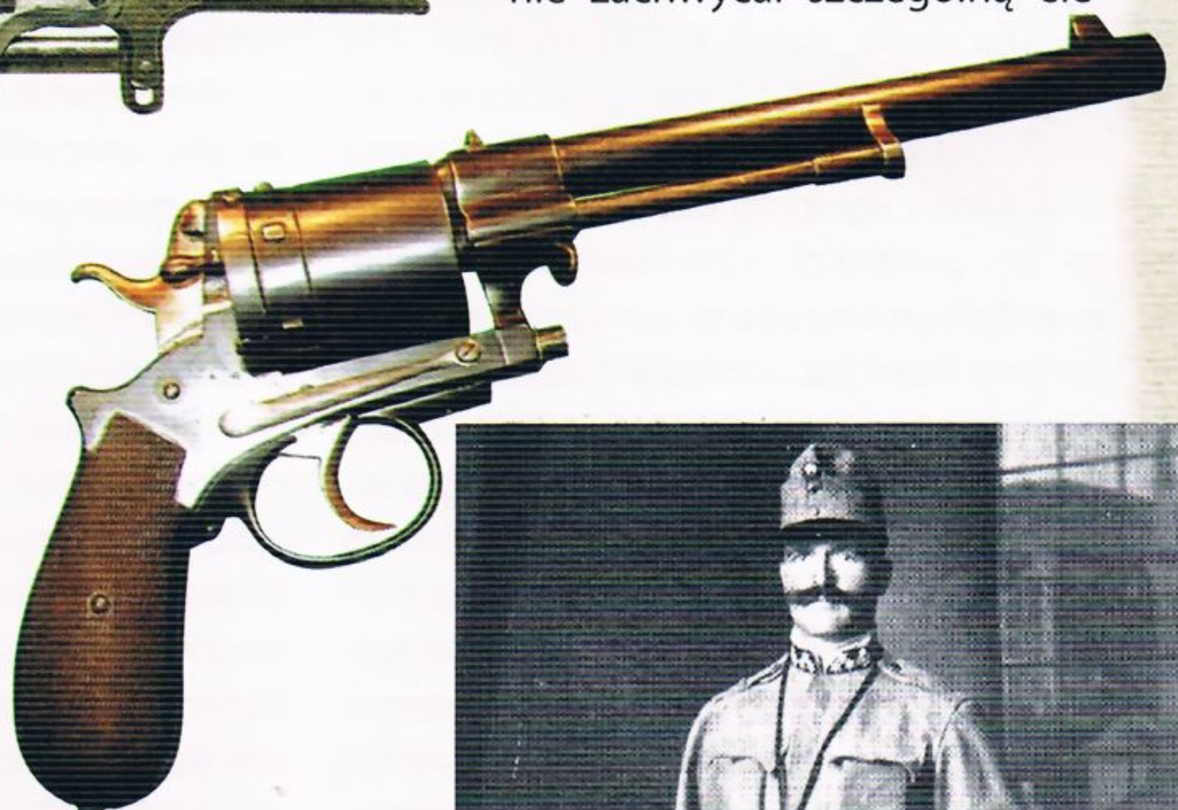

Rewolwer Gasser M 1870 wraz ze schematem konstrukcji oraz sposobem przenoszenia, w okazałym futerale, po prawej stronie pasa głównego. Po lewej, widoczna specjalna ładownica na naboje rewolwerowe.

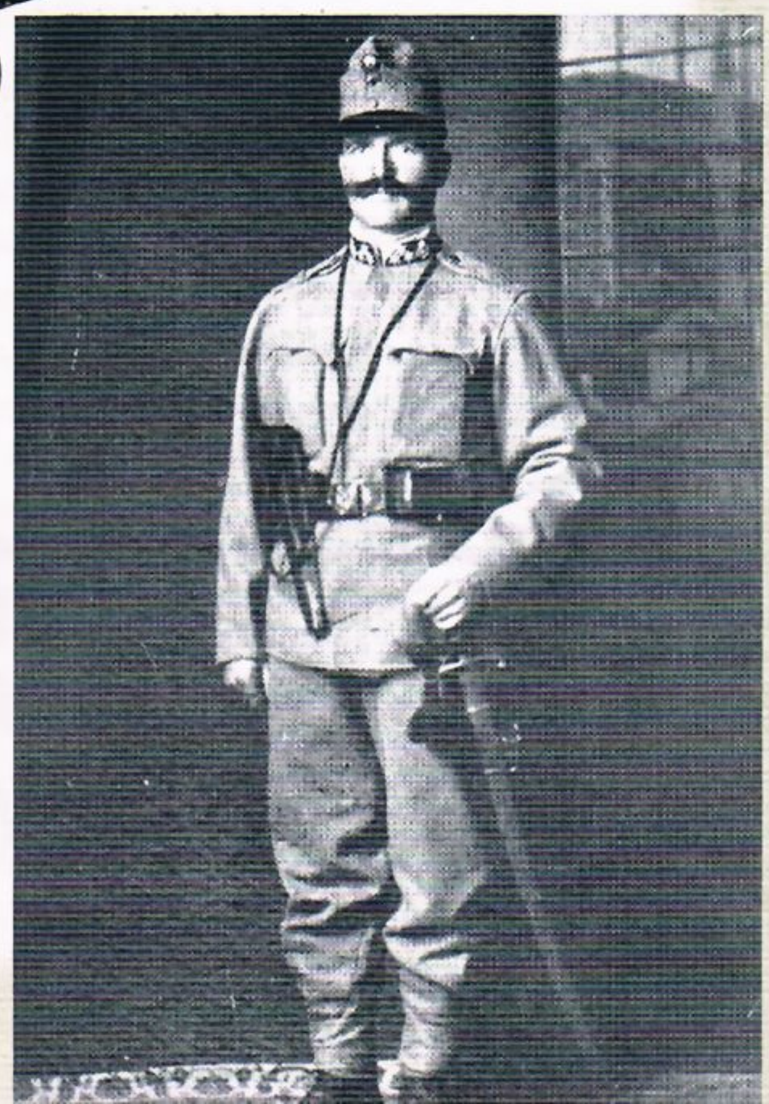

Rewolwer Rast & Gasser M 1898 z futerałem i ładownicą. Mimo decyzji o zastąpieniu tej broni przez nowocześniejsze pistolety, wielu oficerów wyruszyło na wojnę ze starym, niezawodnym bębenkowcem. W wyniku wojennych oszczędności z czasem rozpoczęto produkcję zastępczych futerałów, wykonywanych z tkaniny obszytej skórą jedynie na krawędziach…

gancją sylwetki, jednak jako uzbrojenie kawalerzystów spełniał założone wymagania. Wybrany przez konstruktora rodzaj amunicji, 11,2×29,5R mm, zapewniał znaczną energię pocisku. Nabój Gassera był w zasadzie skróconą wersją ładunków do karabinka powtarzalnego systemu Frűwirth i wydaje się raczej bliższy XX-wiecznej amunicji pośredniej, niż typowym nabojom pistoletowym. Gwintowana lufa miała standardową długość 235 mm, choć znane są wersje krótsze (185 mm), bęben mieścił 5 nabojów, a waga rewolweru wynosiła około 1,3 kg. Wkrótce do produkcji wprowadzono model zmodyfikowany już przez syna i następcę konstruktora, Johanna Gassera, określany jako rewolwer M 1870/74, który wyróżniał się od poprzednika powiększonym o jedną komorę nabojową bębnem oraz mechanizmem samonapinacza kurka. Pozostał jednak niedogodny w warunkach polowych sposób ładowania i rozładowywania bębna, zamocowanego na stałe – konieczne było czasochłonne, pojedyncze wprowadzanie kolejnych nabojów do bębna oraz analogiczne usuwanie łusek za pomocą specjalnego wypychacza. Mimo tak znacznej niedogodności, broń wprowadzona została do użytku także w habsburskiej marynarce wojennej, i aż do roku 1898 pozostawała regulaminowym uzbrojeniem krótkim austro-węgierskich sił zbrojnych.

Rewolwer Gassera zakupiły także siły zbrojne Czarnogóry (Montenegro), niewielkiego bałkańskiego państwa sprzymierzonego z Serbią. Dlatego też rewolwer zyskał nieoficjalną nazwę „Montenegriner". „Czarnogórzec" Gassera wykonywany był także w odmianach przeznaczonych do sprzedaży użytkownikom cywilnym. Podczas I wojny światowej broń ta używana była przeciwko krajowi swojego pochodzenia, jako że Czarnogóra przystąpiła do walki po stronie Rosji i Serbii. Mimo że w roku 1914 model M 1870/74 był już konstrukcją archaiczną, z braku dostatecznej ilości nowszych typów broni krótkiej trafił ponownie do użytku w austro-węgierskich siłach zbrojnych, choć raczej przez oddziały pospolitego ruszenia (Landsturm) oraz różnorodne formacje pomocnicze.

Dla potrzeb policji oraz straży pocztowej, od roku 1876 produkowana była niemal o połowę lżejsza (770 g) odmiana rewolweru o kalibrze 9×26 R mm, opracowana przez Alfreda Kropatschka, znana więc jako Gasser-Kropatschek. Ten zasadniczo nie przewidziany dla celów militarnych rewolwer znalazł uznanie wielu oficerów, którzy ze względu na lekkość i mniejsze gabaryty nabywali je prywatnie jako broń służbową, poręczniejszą od oficjalnego modelu wojskowego.

Mimo konkurencji ze strony producentów „nowomodnych" pistoletów automatycznych, pod koniec XIX wieku powstał ostatni wojskowy rewolwer Gassera – M 1898, różniący się od swoich poprzedników wieloma rozwiązaniami technicznymi, a przede wszystkim kalibrem. Firmowa amunicja Rast & Gasser 8×27 mm, elaborowana prochem bezdymnym, zapewniała dobre własności balistyczne. Bęben mieścił aż 8 nabojów, a lufa miał długość 116 mm. Konstrukcja broni budzi osobliwe wrażenie, że jej twórca, z uporem godnym lepszej spra-

Rewolwer Gasser-Montenegriner, zdobiony egzemplarz z serii przeznaczonej dla odbiorców w Czarnogórze, gdzie broń tradycyjnie była rodzajem męskiej biżuterii i zarazem symbolem materialnego statusu posiadacza. Okładki chwytu z kości bydlęcej i stosunkowo skromny grawerunek, to zaledwie podstawowy wariant zdobień, bardziej luksusowe egzemplarze niejednokrotnie opatrywano okładkami z masy perłowej, złoceniami a nawet kamieniami szlachetnymi, wstawionymi w szkielet broni…

Ostatni z serii pistoletów samopowtarzalnych Ferdinanda Mannlichera – M 1905 i futerał do jego przenoszenia.

wy, trzymał się przestarzałej koncepcji stałego bębna, zdeklasowanej już dawno przez brytyjskie i amerykańskie rewolwery o szkielecie łamanym lub z bębnem wysuwanym na lewo od osi lufy, co znakomicie przyśpieszało i ułatwiało ładowanie i rozładowanie. Tymczasem broń typu M 1898 zawierała szereg nowatorskich szczegółów konstrukcyjnych, mających usprawnić obsługę „w starym stylu", a więc żmudne opróżnianie lub nabijanie komór nabojowych bębna jedna po drugiej. Wątpliwości mogła budzić także nieergonomiczna geometria tego modelu, a szczególnie położenie chwytu niemal pod kątem prostym do osi lufy, utrudniające naturalne złożenie się do strzału. Trzeba jednak pamiętać, że w cesarsko-królewskich siłach zbrojnych broń krótka była raczej środkiem samoobrony w nagłej potrzebie oraz symbolem hierarchicznego statusu oficerów i starszych podoficerów, niż podstawowym orężem do walki na polu bitwy. Rewolwer Rast & Gasser M 1898 zyskał wysoką ocenę użytkowników przede wszystkim z powodu swojej niezawodności i wysokiej jakości. W Belgii podjęto produkcję odmiany tej broni, dostosowanej do amunicji 7,62×38 R mm typu Nagant, identycznej jak w podstawowym rewolwerze służbowym armii rosyjskiej. Ogółem w latach 1898-1912 wyprodukowano około 200 tys. egzemplarzy M 1898, z tego 180 tys. w macierzystych zakładach Gassera. Po 1918 roku znaczna liczba rewolwerów M 1898 trafiła do Włoch oraz Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców (późniejszej Jugosławii), a wiele egzemplarzy doczekało służby także podczas II wojny światowej.

Pistolet M 1907, czyli Roth-Steyr, przyjęty na uzbrojenie oddziałów konnych i regulaminowy skórzany futerał z integralną ładownicą, mieszczącą łódki nabojowe. Broń może obecnie budzić zdziwienie osobliwym wyglądem, nieodparcie kojarzącym się z dziecięcym pistoletem na wodę, zapewne z powodu specyficznej konstrukcji zamka, wyglądającego niczym tłok wielkiej strzykawki... Mimo to M 1907 zupełnie na serio służył w obu wojnach światowych.

Od Mannlichera do Frommera, czyli naddunajskie pistolety wojskowe

Ferdinand Ritter von Mannlicher, znany przede wszystkim jako twórca karabinów i karabinków, spróbował swoich umiejętności także w dziedzinie broni krótkiej. W roku 1894 opracował pionierską konstrukcję – pięciostrzałowy pistolet półautomatyczny, dostosowany do „autorskiej" amunicji kalibru 6,55 mm Mannlicher. Wygląd pierwszego nowoczesnego austro-węgierskiego pistoletu budzi wrażenie, że jego projektodawca usiłował stworzyć coś na kształt rewolweru bez bębna. Kształt chwytu i urządzenia spustowego żywo przypomina klasyczne rewolwery z tego okresu. Nawet lufa, obudowana cylindryczną osłoną na całej długości, wydaje się bardziej rewolwerowa, niż pistoletowa. Tym niemniej Mannlicher M 1894 był interesującą przymiarką do kształtującej się dopiero koncepcji broni nowej generacji. Miejsce bębna zajął integralny magazynek umieszczony wewnątrz chwytu, ładowany z łódki nabojowej przy otwartym zamku. Zamiast klasycznego rewolwerowego systemu przeładowania przez obrót bębna i napięcie kurka, zastosowano zasadę tzw. wyrzutu lufy, która podczas strzału przemieszczała się ku przodowi, niejako wraz z pociskiem, powodując wyrzucenie łuski, a następnie, pod wpływem silnej sprężyny, wracała ku nieruchomemu zamkowi wprowadzając do komory kolejny nabój. Pierwszy pistolet Mannlichera produkowany był w Szwajcarii i Niemczech, a wraz z nieco zmienionym wariantem M 1895 zmontowano zaledwie około 200 egzemplarzy tego modelu, będącego raczej prototypem doświadczalnym, niż bronią użytkową. Podobnie rzecz się miała ze znacznie zmodyfikowanym sześciostrzałowym pistoletem M 1896 o kalibrze 7,6 mm, w którym zastosowano system przeładowania poprzez odrzut zamka przy stałej lufie. Wyniki testów były niezadawalające, dlatego biuro konstrukcyjne Mannlichera pracowało nad kolejnymi projektami.

Dopiero u progu nowego stulecia do produkcji trafił udany model M 1901 przystosowany do strzelania firmową amunicją 7,63×21, o ładunku prochowym mniejszym niż w bardzo zbliżonych (i znacznie powszechniej stosowanych) nabojach Mausera. Wymagała tego automatyka broni, gdyż zbyt silny nabój

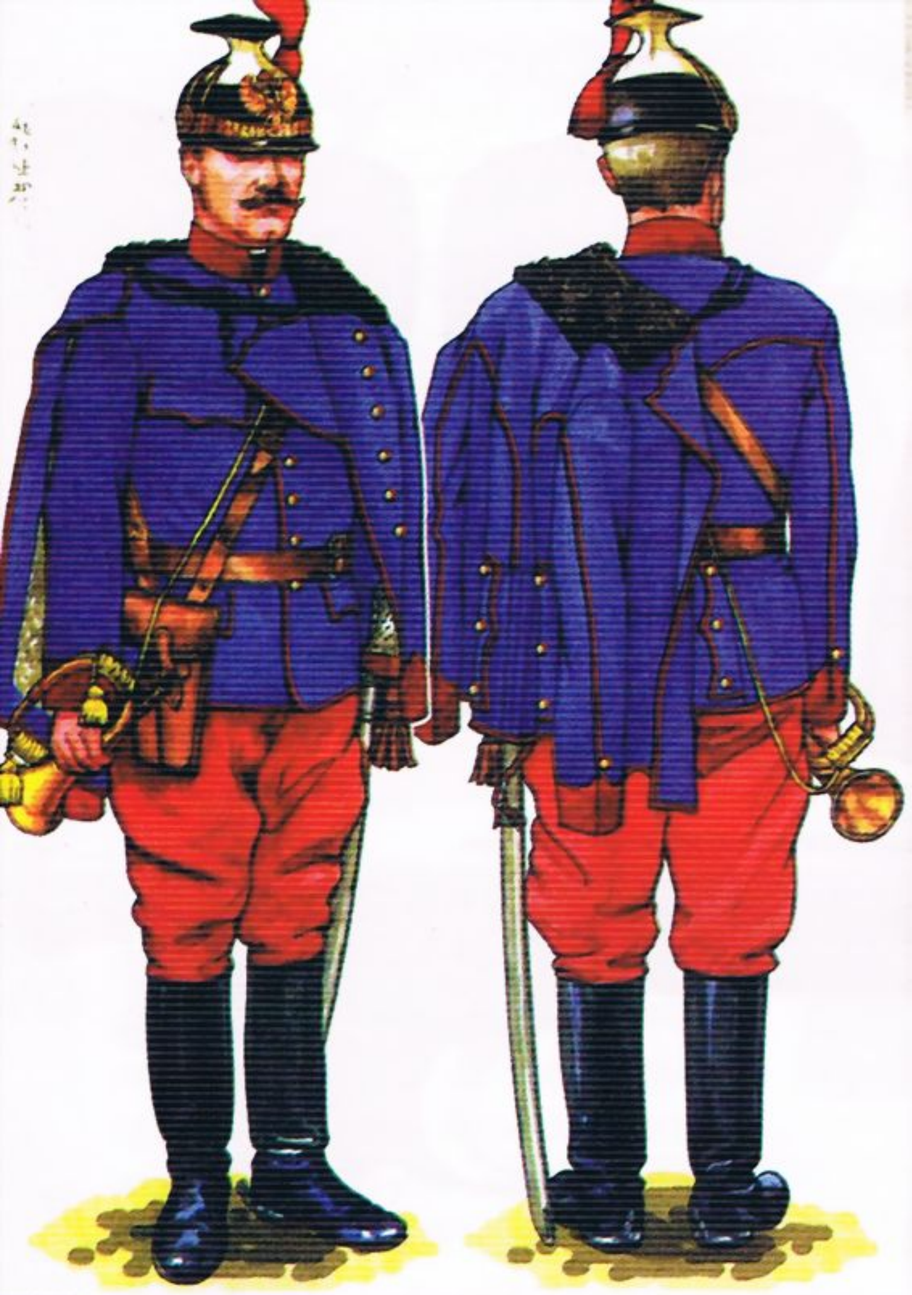

Zazwyczaj pistolet przenoszono na pasie głównym, po prawej stronie, jak w przypadku trębacza z pułku ułanów. W warunkach frontowych często nie zwracano uwagi na „szczegóły", kierując się raczej osobistymi przyzwyczajeniami i wygodą, niż zaleceniami regulaminów. Pouczającym przykładem w tej materii, zwłaszcza dla rekonstruktorów – perfekcjonistów – jest fotografia plutonowego podchorążego (Zugzführer-Einjäriger Freiwillige) z pułku kawalerii, który zastępczy futerał (wersja szyta prywatnie dla leworęcznego użytkownika?) nosi po lewej stronie pasa, nóż szturmowy umieścił za cholewą buta, a w ręku dzierży stylową szpicrutę...

mógł spowodować uszkodzenie pistoletu, a nawet kontuzję użytkownika. Pojemność integralnego magazynka wzrosła do 8 naboi, a stosunkowo długa lufa (160 mm) zapewniała dobrą celność. Wraz ze skróconym o 2 cm modelem M 1905 wyprodukowano w fabryce broni w Steyr około 10 tys. egzemplarzy pistoletu tego typu, a blisko 6 tys. sprzedano armii argentyńskiej. Wiedeńskie władze wojskowe nie wyraziły zainteresowania Mannlicherem M 1901/05, lecz wielu oficerów służby czynnej nabywało tą zgrabną broń, jako alternatywę dla ciężkiego i niewygodnego w warunkach codziennej służby garnizonowej rewolweru Rast & Gasser. Na rok przed śmiercią Ferdynand Mannlicher opracował kolejny pistolet samopowtarzalny, określany jako M 1903, tym razem opatrzony w wymienny magazynek mocowany przed kabłąkiem spustowym, podobnie jak np. w Mauserze C96. Broń ta nie zyskała jednak uznania podczas prób przeprowadzonych przez Kriegsministerium i nie trafiła do masowej produkcji.

Równolegle z Mannlicherem dzieło opracowania nowoczesnego pistoletu wojskowego dla armii habsburskiej podjął Karel Krnka, który w latach 1895-1904 skonstruował kilka modeli broni, lecz nie zdołał nimi zainteresować czynników wojskowych. Podjął więc współpracę z Georgiem Rothem, konstruktorem w zakładach zbrojeniowych w Steyr. Stworzony przez ten zespół pistolet M 1907, określany także jako Roth-Steyr Repetier-Pistole, doczekał się uznania władz i został wprowadzony do uzbrojenia kawalerii jako następca rewolweru M 1898. Broń projektu Karla Krnki i Georga Rotha przystosowana była do firmowej amunicji, w tym przypadku 8×19 mm Roth-Steyr. Magazynek integralny, umieszczony wewnątrz chwytu, mieścił aż 10 nabojów. Pistolet był celny, niezawodny i trwały, lecz wymagał kosztownej i czasochłonnej obróbki, co zdecydowanie nie sprzyjało masowej produkcji. Dlatego też w 1914 roku przerwano jego wyrób po zmontowaniu ponad 97 tys. egzemplarzy.

Następcą pistoletu Roth-Steyr stał się bardzo udany model M 1912, znany także jako Steyr-Hahnpistole („sztajer z kurkiem"). Projektodawcą broni był Karel Krnka, który wykorzystał doświadczenia z budowy i eksploatacji pistoletu M 1907. Główną zmianą stało się wprowadzenie innej, zbliżonej do wzorów Browninga, konstrukcji zamka z zewnętrznym kurkiem oraz nastawnym bezpiecznikiem, którego pozbawiony był M 1907. Nie bez znaczenia okazało się także zastosowanie nowego, silnego naboju kalibru 9×23 mm Steyr. Stały, ośmionabojowy magazynek mieścił się w rękojeści broni i wymagał ładowania z łódki po otwarciu zamka. Takie rozwiązanie, przyjęte już przez pierwsze modele Mannlichera, teoretycznie miały być lepsze od wymiennego, wsuwanego od dołu magazynka, gdyż utrudniało przypadkowe zanieczyszczenie mechani-

Pistolet Steyer M 1912 okazał się najbardziej udaną konstrukcją austro-węgierskiego przemysłu zbrojeniowego. Trafił także, jako regulaminowa broń, do Ameryki Południowej, Rumunii i Niemiec. Po aneksji Austrii przez III Rzeszę wiele egzemplarzy tej broni dostosowano do standardowej amunicji 9×19 mm Luger, i używano bojowo do 1945 roku.

Austro-węgierscy oficerowie niezbyt chętnie obciążali się bronią palną bez koniecznej potrzeby. W gronie generałów towarzyszących cesarzowi Karolowi tylko jeden nosi futerał skromnych rozmiarów, zapewne kryjący kompaktowego Frommera Stop. Nawet w strefie przyfrontowej rozwaga ustępowała wygodzie – podpułkownik w polowym mundurze przypiął do pasa coś, co wygląda na futerał zakupionego prywatnie Frommera Baby…

zmów pistoletu. Początkowo pistolety M 1912 zamówiono jedynie dla tzw. Armii Wspólnej oraz austriackiej Landwehry, gdyż władze węgierskie rozważały zamówienie dla Honvedu pistoletu własnego wytwórcy. Zagraniczni nabywcy, a konkretnie Argentyna, Chile, Rumunia i Bawaria docenili zalety „sztajera z kurkiem", kupując ogółem ponad 80 tys. egzemplarzy, a dla potrzeb habsburskich sił zbrojnych wykonano około 300 tys. tych silnych i solidnych pistoletów. Wiele z nich przetrwało w służbie aż do czasów powojennych, potwierdzając opinię o niezawodności tej broni.

Węgierskim konkurentem znakomitego M 1912, był znacznie skromniejszy, lżejszy (nieco ponad 580 gramów wobec przeszło kilogramowego „sztajera") i – nie da się ukryć – słabszy pistolet Frommer Stop, strzelający nabojem 7,65 mm (europejski odpowiednik amerykańskiego .32 ACP) i ładowany przy pomocy wymiennego, wsuwanego od dołu chwytu magazynka na 7 nabojów. Dla potrzeb węgierskiej Obrony Krajowej w budapeszteńskich zakładach FGGY wyprodukowano około 275 tys. egzemplarzy tej broni, dostosowanej raczej do warunków pokojowej służby garnizonowej, niż wymogów pola walki. Mimo swoich wad pistolet ten okazał się zadziwiająco żywotny, a w węgierskiej armii wykorzystywany był – po modyfikacjach, m.in. zmianie kalibru na 9 mm – aż do 1945 roku jako broń regulaminowa .

Frommer Stop miał także wariant miniaturowy, nazwany dość trafnie Frommer Stop Baby, opracowany specjalnie z myślą o użytkownikach cywilnych. Lekki (500 gramów) i mały (nieco ponad 12 cm długości, lufa miała zaledwie 5,5 cm) pistolet strzelał silną, jak na jego gabaryty, amunicją kalibru 7,65 mm – identyczną, jak w „dorosłym" wariancie – tyle że w magazynku mieściło się jedynie 5 nabojów. Mimo dość niepoważnego wyglądu, Baby stał się ulubioną bronią oficerów sztabowych, którzy mogli traktować pistolet jako symbol statusu, a nie rzeczywiste narzędzie walki.

Warto pamiętać, że z zasobów habsburskich arsenałów korzystali Polacy, zarówno ci, którzy musieli służyć w cesarsko-królewskim mundurze, jak i ci walczący w szeregach Legionów Polskich. Wiele egzemplarzy austro-węgierskiej broni krótkiej trafiło także do rąk naszych żołnierzy podczas walk o niepodległość i granice, a część egzemplarzy służyła w Wojsku Polskim okresu II Rzeczypospolitej. Tak więc dzieje uzbrojenia armii habsburskiej wiążą się nierozerwalnie z historią walk o wolność Polski, a pistolety i rewolwery austriackiego zaborcy przyczyniły się do odbudowy suwerenności naszego państwa, zlikwidowanego przez Austrię wraz z Prusami i Rosją w końcu XVIII wieku.

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg,„Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej: cz. 1 – „Odkrywca" nr 5/2013; cz. 2 – „Odkrywca" nr 6/2013; cz. 3 – „Odkrywca" nr 8/2013.

REKLAMA

Legion Czesko-Słowacki w Polsce w 1939 roku

Pod znakiem Białego Lwa

TEKST: PIOTR GALIK

Współpraca militarna Polski, Czech i Słowacji może wydawać się współcześnie czymś oczywistym, państwa te należą do NATO i tym samym związane są ścisłym sojuszem wojskowym. Jednak w niespokojnych czasach pomiędzy I a II wojną światową sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Mało znany, a zasługujący na przypomnienie epizod, kiedy to Czesi i Słowacy z bronią w ręku stanęli u boku Polaków broniących się przed agresją Niemiec, był zasadniczym przełomem w niełatwych relacjach Rzeczypospolitej z jej południowymi sąsiadami.

Trudne sąsiedztwo

Po okresie ożywionych kontaktów w średniowieczu, gdy Wacław II z czeskiej dynastii Przemyślidów zasiadł na tronie polskim, a Władysław II Jagiellończyk został królem Czech, w epoce nowożytnej dwa największe państwa Słowian zachodnich niejako odwróciły się od siebie plecami. Mimo językowej i geograficznej bliskości, dystans polityczny pomiędzy Pragą a Warszawą powiększał się coraz bardziej. Nie zmienił tego upadek Rzeczypospolitej w XVIII wieku. Odrodzenie czeskiego poczucia odrębności narodowej, jakie miało miejsce w następnym stuleciu, pogłębiło jeszcze bardziej te różnice. Czesi, pozostający pod władzą dynastii Habsburgów i zmagający się z silną germanizacją społeczeństwa, sympatyzowali z Rosją świadomie kokietującą narody słowiańskie Europy, i upatrywali w niej wyzwoliciela spod obcego panowania. Dla Polaków, to właśnie Rosja stanowiła największe zagrożenie bytu narodowego. Wielu intelektualistów i działaczy społecznych z Czech miało za złe swoim północnym sąsiadom „rusofobiczne ekscesy", i potępiało polską niechęć wobec ideologii panslawizmu propagowanej przez Rosjan. W Galicji z kolei komentowano, nie bez złośliwości, posuniętą nieraz aż do absurdu wiernopoddańczą lojalność wobec władzy, okazywaną przez Czechów – urzędników zaborczego aparatu państwowego. Symbolem zupełnego rozejścia się politycznych dróg obu narodów może być fakt, że podczas Wielkiej Wojny, gdy przyszły Naczelnik Rzeczypospolitej, Józef Piłsudski, tworzył u boku armii habsburskiej legion do walki z Rosją, przyszły pierwszy prezydent Czechosłowacji, Tomasz Masaryk, patronował czeskiej ochotniczej formacji bojowej walczącej po stronie Rosji.

Klęska wojenna Niemiec i rozpad Austro-Węgier w 1918 roku utorowały drogę do niepodległości zarówno odrodzonej Polski, jak i nowo powstałego państwa Czechów i Słowaków. Warto przypomnieć, że na przestrzeni dziejów Słowacy nie wytworzyli trwałej własnej państwowości, przez wieki pozostając pod władzą Królestwa Węgier. Proklamowana w Pradze Republika Czechosłowacka, kierowana przez Tomasza Masaryka i Karla Kramáře, niemal od początku swojego istnienia przyjęła kurs polityczny nieprzyjazny Polsce. Nadrzędnym celem Pragi było uzyskanie mitycznej wspólnej granicy z Rosją, co traktowano jako aksjomat polityki zagranicznej. Realizacja tego założenia była sprzeczna z polską racją stanu, opartą na dążeniu do wyparcia Rosji jak najdalej na wschód. Politycy czechosłowaccy starali się temu zapobiec, utrudniając m.in. dostawy broni i amunicji dostarczanych do Polski przez ich terytorium. Jednak najbardziej drażliwą sprawą okazały się roszczenia terytorialne wobec Śląska Cieszyńskiego. Region ten, historycznie i etnicznie bez wątpienia związany bardziej z Polską, niż Czechami, przyznany został Rzeczypospolitej decyzją lokalnej władzy powstałej po likwidacji austro-węgierskiego aparatu państwowego. Mocą porozumienia pomiędzy polską Radą Narodową Księstwa Cieszyńskiego a czeskim Zemským Národním Výborem pro Slezsko, zawartego 5 listopada 1918 roku, sporne terytorium podzielono, a obszary zamieszkane w większości przez ludność polską przyznano Polsce. Niestety, Praga nie chciała uznać tego pokojowego – i jak się wydaje – uczciwego rozstrzygnięcia. Korzystając z zaangażowania większości skromnych sił tworzącego

Jurek: Do Polski mamy iść? Broń Boże! Za nic w świecie!
Zuzka: Do Polski? Ja, co jeszcze! Patrzcie panowie, oto ona!

Propagandowa ulotka czechosłowacka z roku 1919 wykorzystywała w celach walki politycznej zarówno wątek antysemicki, jak i powszechne w Czechach stereotypy Polski, jako kraju klerykalnego i szlacheckiego zarazem.

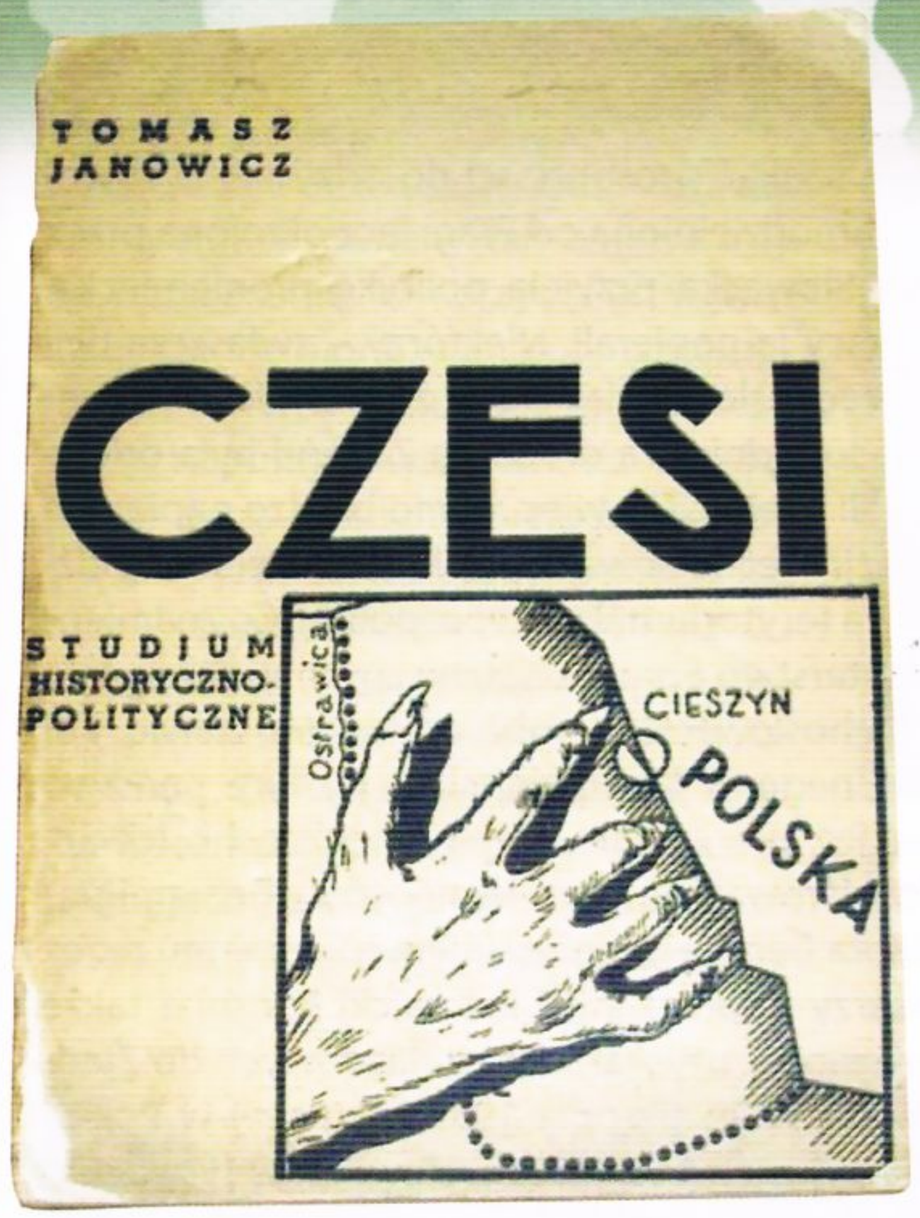

Sugestywna okładka popularnej w międzywojennej Polsce publikacji poświęconej naszym południowym sąsiadom nie pozostawia złudzeń co do oceny wzajemnych relacji…

się dopiero Wojska Polskiego na froncie galicyjskim, w styczniu 1919 roku oddziały czechosłowackie, wśród których najistotniejszą rolę odgrywały świeżo przybyłe z Włoch oddziały ochotnicze (odpowiednik polskiej Armii Błękitnej gen. Hallera), zbrojnie zajęły Spisz, Orawę, Śląsk Cieszyński. Wobec słabości polskich obrońców (ok. 1 500 ochotników), żołnierze generała Josefa Šnejdarka (16 tys. doświadczonych frontowców!) bez trudności przekroczyli Olzę i wtargnęli do Małopolski. Nie obyło się wówczas bez tragicznego epizodu – „legionarze" dopuścili się zbrodni wojennej, zabijając kilkunastu polskich jeńców wojennych z 12. pułku piechoty, ujętych podczas walk o Stonawę. Fakt ten bardzo negatywnie wpłynął na postrzeganie Czechosłowacji przez polską opinię publiczną. Żołnierze polscy stawili agresorom zacięty opór w trzydniowej bitwie pod Skoczowem (ich bohaterstwo upamiętnia odpowiednia inskrypcja na warszawskim Grobie Nieznanego Żołnierza). Pod naciskiem mocarstw Ententy walki przerwano, ale mimo przyznania Czechom części spornego terytorium, Praga lekceważyła warunki rozejmu prowadząc politykę faktów dokonanych. Ostatecznie Masaryk dopiął swego w krytycznych dniach ofensywy bolszewickiej przeciwko Polsce. Podczas konferencji w Spa, premier Grabski oddał bez plebiscytu (a jego wynik byłby dla Czech zdecydowanie niekorzystny) całą zaolziańską część Śląska Cieszyńskiego. W tym czasie w Koszycach i Munkaczu, pod auspicjami armii czechosłowackiej, formowano legiony ukraińskie, złożone z weteranów niedawnej wojny o Małopolskę Wschodnią…

Trudno dziwić się, że w międzywojennej Polsce Czechosłowacja nie była uważana za państwo przyjazne. Sroga polityka wobec polskiej większości Zaolzia przyniosła oczekiwane wyniki – zabójstwa działaczy społecznych, dyskryminacja narodowa, bezwzględna czechizacja szkół przyczyniły się do odpływu tysięcy Polaków ze Śląska Cieszyńskiego szukających azylu w Ojczyźnie. Wkrótce – zapewne nie bez celowych przekłamań – stosunki narodowościowe Zaolzia uległy odwróceniu. Polacy stali się mniejszością na swojej ojczystej ziemi…

Premier Wincenty Witos, ludowiec, którego trudno byłoby posądzać o nacjonalistyczne resentymenty, tak podsumował efekty polityki Pragi w swoim przemówieniu z 24 września 1920 roku: *„(…) Spotkał naród polski cios, który silnie zaważyć musiał na kształtowaniu się naszego stosunku do republiki czechosłowackiej. Wyrokiem Rady Ambasadorów przyznany został Czechom szmat rdzennie polskiej ziemi, mającej bardzo znaczną większość polską. Przyznane zostały Czechom nawet te okręgi, do których Czesi nie powinni nigdy rościć pretensji (…) Wyrok ten wykopał przepaść między obomą narodami (…)".* Mimo – odosobnionych zresztą – głosów niektórych polskich polityków i publicystów, postulat „odwilży" pomiędzy Pragą a Warszawą, zbliżenia politycznego, a nawet sojuszu militarnego w obliczu zagrożenia przez Niemcy, zwłaszcza po wyborczym zwycięstwie Hitlera w roku 1933, pozostawały bez echa. Nie bez znaczenia były przy tym wpływy dyplomacji francuskiej, stale faworyzującej Czechosłowację kosztem Polski oraz sowieckiej, kontynuującej odziedziczoną po carskiej Rosji politykę „neo-panslawistyczną" wzmocnioną dodatkowo eksportem ideologii komunistycznej.

Historia lubi czasem okrutnie zadrwić z narodów i państw. Tak też stało się z Czechosłowacją, krajem – wbrew propagowanemu wizerunkowi nowoczesnej demokracji – rozdzieranym nierozwiązywalnymi konfliktami etnicznymi. „Polityczne małżeństwo" Czech i Słowacji okazało się związkiem niezbyt partnerskim, bo w praktyce biedni i słabo wykształceni w swojej masie Słowacy znaleźli się pod absolutną dominacją zachodnich pobratymców, dążących nieoficjalnie, ale skutecznie do czechizacji kraju. Z czasem rozczarowanie wspólnym państwem okazało się czynnikiem przeważającym i coraz więcej Słowaków dostrzegało konieczność politycznego usamodzielnienia się od Pragi. Sytuację pogarszała dodatkowo znaczna liczba mniejszości narodowych – Węgrów i Rusinów na Słowacji, a w Czechach

Generał Lev Prchala, zdjęcie z okresu przed 1938 rokiem. Zwolennik propolskiej i antysowieckiej polityki swojego kraju, dowódca Legionu Czecho-Słowackiego w 1939 roku.

As myśliwski Josef František, fotografia z roku 1940, gdy walczył w polskim dywizjonie myśliwskim 303. W roku 1939 latał bojowo na przestarzałym dwupłatowcu Potez XXV i w uznaniu odwagi w obliczu wroga został odznaczony polskim Krzyżem Walecznych.

Współcześnie istniejąca tablica pamiątkowa na budynku dawnego Konsulatu Generalnego Czechosłowacji w Krakowie upamiętnia nie tyle Legion Czecho-Słowacki, co Ludvika Svobodę, oficera Legionu, a w czasie gdy odsłaniano tablicę – prezydenta komunistycznej Czechosłowacji, gorliwego zwolennika sowieckiej dominacji nad Europą Środkową…

Niemców. Ci ostatni stali się narzędziem politycznego nacisku wywieranego na władze Czechosłowacji przez nazistowskie Niemcy, dążące do zagarnięcia „Sudetenlandu". Tak więc, gdy jesienią 1938 roku, za zgodą tak dotąd przychylnych Pradze mocarstw stało się zadość żądaniom Hitlera, także i władze Polski postanowiły odzyskać zagarnięte siłą i dyplomatycznym szantażem tereny Zaolzia.

Z perspektywy II wojny światowej i okresu powojennego powszechnie ocenia się ten krok za najgorszy z błędów politycznych okresu międzywojennego. Jednak dla ówczesnej opinii publicznej było to jedynie przywrócenie stanu pierwotnego, naprawienie zła wyrządzonego czeską agresją oraz presją Francji i Anglii w roku 1919 i 1920. Polacy z Ziemi Cieszyńskiej witali wkraczające Wojsko Polskie jako wyzwolicieli. Wielu zaangażowało się w likwidację czechosłowackiego aparatu państwowego, powstał nawet zbrojny Legion Zaolziański, który wszedł w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk". Nieczęsto pamięta się o znamiennym fakcie wypływającym z sarmackiej zasady „swojego nie damy, cudzego nie chcemy", że po zajęciu Zaolzia (i wyprzedzeniu Niemców, pragnących zająć Bogumin!) władze polskie oddały Czechom tereny w okolicy Rychwałdu, Szobiszowic i Domasławic, jako obszar etnicznie niepolski. Antypolska propaganda rozpętana przez środowiska prosowieckie w krajach Zachodu, postawiła nas wśród agresorów rozbierających nieszczęsną Czechosłowację, choć w Monachium o jej losie nie decydowali Beck i Mościcki, lecz Chamberlain, Daladier i Mussolini… Nie trzeba dodawać, że i w samych Czechach niechęć wobec Polski była ogromna. W takich okolicznościach trudno było oczekiwać jakichkolwiek przyjaznych gestów po obu stronach, a jednak…

Wróg naszego wroga, czyli przez Polskę ku Czechosłowacji

Mimo że niemiecka hegemonia, a od 15 marca 1939 r. okupacja Czech, była o wiele łagodniejsza od późniejszych ludobójczych represji niemieckich w Polsce, wielu obywateli nowo utworzonego Protektoratu Czech i Moraw uważało za swój obowiązek udać się na emigrację wzorem prezydenta Edu-

arda Beneša i tam szukać sposobności do odzyskania suwerenności kraju. Usamodzielniona od Pragi lecz okrojona przez Węgry Republika Słowacka przyjęła politykę proniemiecką. Nie wszyscy Słowacy ją popierali. Niektórzy – zwłaszcza byli żołnierze armii czechosłowackiej – szli za przykładem Czechów. Jednak najdogodniejsza droga na Zachód była odcięta przez terytoria III Rzeszy. Tak więc, mimo bardzo napiętych do niedawna relacji czechosłowacko-polskich, wielu uchodźców przybywało na terytorium Rzeczypospolitej. Co znamienne – Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie zażądało likwidacji ani czechosłowackiej ambasady w Warszawie, ani konsulatu generalnego w Krakowie, choć de iure państwo czechosłowackie już nie istniało. Dyplomaci czechosłowaccy w Polsce zadeklarowali bowiem lojalność wobec emigracyjnego prezydenta Beneša, nieoficjalnie wspieranemu przez Brytyjczyków, którzy poprzez swój katowicki konsulat także pomagali uchodźcom w uzyskaniu wiz wjazdowych do Zjednoczonego Królestwa. Do sierpnia 1939 roku azyl w Polsce znalazło ponad 3800 obywateli Czechosłowacji, w tym około 40% stanowili Słowacy. Większość imigrantów traktowała Polskę jako kraj tranzytowy, oczekując na wyjazd do Francji lub Anglii. Byli wśród nich także późniejsi znakomici lotnicy, przyszłe asy myśliwskie jak: Karel Kuttelwascher, Alois Vašátko i Leopold Šrom. Ogółem niespełna 3 tys. osób, w tym blisko 1100 żołnierzy, głównie pilotów i specjalistów naziemnych lotnictwa czechosłowackiego opuściło Polskę, by wstąpić ochotniczo do francuskich sił zbrojnych, jednak we Francji niezależnie od stopnia, kwalifikacji i specjalności zaproponowano im służbę w… piechocie Legii Cudzoziemskiej. Wobec tak „atrakcyjnej perspektywy" niektórzy Czechosłowacy postanowili pozostać w Polsce. W tej liczbie znalazła się także grupa oficerów sztabowych z generałem armii Lvem Prchalą. Ten ambitny dowódca i polityk o konserwatywnych poglądach pozostawał w konflikcie z liberalnym demokratą Benešem i zamierzał w przyszłości doprowadzić do pojednania z Polską, a nawet – być może – do powołania jej konfederacji z odnowionym państwem Czechów i Słowaków. Plany te znajdowały życzliwe echo wśród polskich czynników politycznych.

Komendantem grupy czechosłowackich uchodźców w Krakowie (Bronowice Małe) został podpułkownik Ludvik Svoboda, weteran Wielkiej Wojny, żołnierz Legionu Czechosłowackiego w Rosji, zawodowy oficer piechoty. W sierpniu 1939 r. pod jego dowództwem pozostawało około 900 emigrantów. Wobec narastającego zagrożenia ze strony Niemiec czechosłowackimi uchodźcami zainteresowały się polskie władze wojskowe, delegując oficera łącznikowego do Bronowic. Emigrantom zaproponowano wstąpienie do odrębnej formacji ochotniczej w sile batalionu. Przewidziano także możliwość wcielenia lotników do osobnej Eskadry Czechosłowackiej. Pod koniec sierpnia 1939 roku 632 Czechów i Słowaków wyjechało z Krakowa do Leśnej pod Baranowiczami, gdzie miało rozpocząć się formowanie i szkolenie czechosłowackiego oddziału bojowego. Napaść III Rzeszy na Rzeczpospolitą Polską znacznie przyśpieszyła bieg sprawy. Ostatecznie w dniu 3 września, po przystąpieniu do wojny mocarstw zachodnich, prezydent RP Mościcki proklamował powołanie do życia Legionu Czesko-Słowackiego pod komendą gen. Prchali. Już wcześniej do polskiego lotnictwa przyjęto 93 pilotów z Czechosłowacji, kierując ich do ośrodków szkolenio-

wych jako instruktorów pilotażu. Niektórzy z nich wykonywali bojowe loty na rozpoznanie, wykorzystując w tym celu nieuzbrojone samoloty szkolno-treningowe, a kilku poległo w walce ze wspólnym wrogiem. Czechosłowaccy piloci ze zdumieniem przekonali się, że w jednostkach przyjmowano ich z wielką życzliwością, tak odległą od antypolskich stereotypów utrwalonych wśród naszych południowych sąsiadów… Znalazł się w tym gronie Josef František, który zapisał chwalebną kartę w dziejach polskiego lotnictwa wojskowego, w roku 1940 najskuteczniejszy

Sierpień 1939 roku, grupa Czechów i Słowaków pozuje do pamiątkowej fotografii wokół biało-czerwonej flagi opatrzonej mniejszym proporcem „ogólnosłowiańskim" (czerwono-biało-niebieskim, barwy wspólne dla Czechów i Słowaków) i portretem marszałka Edwarda Rydza Śmigłego, naczelnego dowódcy Wojska Polskiego.

Kraków, lipiec 1939 roku, spotkanie ppłk. Ludvika Svobody (po prawej) z gen. Sergejem Ingrem (w środku), delegatem prezydenta Czechosłowacji na uchodźstwie, Edvarda Beneša. W powojennej Czechosłowacji zdjęcie to objęte było całkowitym zapisem cenzorskim, gdyż w oficjalnej biografii gen. Svobody, późniejszego prezydenta państwa, nie mogło być najmniejszej wzmianki o kontaktach i współpracy z „agentem imperializmu" Benešem…

Czechosłowaccy uchodźcy, zgromadzeni przed budynkiem krakowskiego konsulatu, by zaciągnąć się do Legionu, z dumą prezentują flagę państwową swojego kraju.

Przybycie kolejnej grupki uchodźców do Bronowic Małych, 14 sierpnia 1939 roku.

pilot polskiego dywizjonu 303. W Wielkiej Brytanii wybrał służbę pod znakiem biało-czerwonej szachownicy, choć kilkakrotnie proponowano mu wstąpienie do jednego z dywizjonów czechosłowackich.

Pozostali w Bronowicach uchodźcy, w tym kilkudziesięciu lotników, w obliczu nadciągających wojsk niemieckich, 4 września wyruszyli pociągiem, by dołączyć do rodaków pod Baranowiczami. Uszkodzenia torów kolejowych spowodowały, że na miejsce dotarli dopiero po 8 dniach. W Leśnej nie zastali już Legionu, który zaledwie dzień wcześniej skierowany został na południe, w pobliże granicy rumuńskiej, gdzie miała się organizować linia ostatecznej obrony („przedmoście rumuńskie"). Tam więc podążyli śladem rodaków. W dniu 15 września pluton karabinów maszynowych oddziału uczestniczył w obronie przeciwlotniczej podczas nalotu na lotnisko polowe Hluboczek Wielki w okolicy Tarnopola. Był to chrzest bojowy Legionu Czecho-Słowackiego. Poległ wówczas pierwszy jego żołnierz, Vítězslav Grünbaum. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, w tym ataku lotniczym uczestniczyły samoloty Słowackich Sił Powietrznych, a zatem doszło wówczas do walki bratobójczej…

Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski oddział czechosłowacki stanął wobec dramatycznego wyboru, nie wolnego od motywacji politycznych. Zwolennicy gen. Prchali wybrali ewakuację do Rumunii, dokąd dotarli szczęśliwie 19 września. Później, dzięki życzliwej neutralności władz rumuńskich, część z nich zdołała przedostać się na Bliski Wschód, gdzie w ramach Batalionu Czechosłowackiego znów trafiła pod polskie dowództwo, broniąc twierdzy Tobruk. Większość, uznająca racje lewicującego płk. Svobody, postanowiła poddać się „sprzymierzeńcom" spod znaku czerwonej gwiazdy. 18 września około 700 Czechów i Słowaków złożyło broń i zostało internowanych przez Sowietów. Tu spotkało ich jednak gorzkie rozczarowanie – Stalin traktował sojusz z Hitlerem serio i nie chciał pozwolić, by czechosłowaccy antyfaszyści zasilili siły zbrojne mocarstw kapitalistycznych. Zamiast tranzytu do Francji, czeskich i słowackich legionistów czekały obozy jenieckie, gdzie (w warunkach znacznie lepszych niż Polacy) doczekali wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i powołania Batalionu Czechosłowackiego u boku Armii Czerwonej. Nie było też „czeskiego Katynia", czyli eliminacji „elementów klasowo obcych" jaka dotknęła oficerów polskich w sowieckiej niewoli. Dzięki temu Ludvik Svoboda został później dowódcą oddziałów czechosłowackich formowanych w ZSRR, na których czele wkroczył do kraju w roku 1945. Zwieńczeniem jego kariery była funkcja prezydenta Czechosłowacji, którą piastował w latach 1968-1975 a zatem w trudnym okresie po „braterskiej inwazji" w obronie dominacji Kremla nad Pragą. Pozostawił po sobie opinię dobrego dowódcy frontowego, ale ustępliwego i lojalnego wobec Sowietów aż do kolaboracji polityka. Jego dawny towarzysz broni z Polski i ideowy antagonista, generał armii Lev Prchala, nigdy nie wrócił do powojennej Czechosłowacji zdominowanej przez komunistów i zmarł na emigracji w Austrii, gdzie angażował się w trudne dzieło pojednania czesko-niemieckiego.

Krótkie dzieje Legionu Czesko-Słowackiego, który wbrew powszechnym wówczas uprzedzeniom i resentymentom na linii Warszawa-Praga powstał, by przyłączyć się do walki ze wspólnym wrogiem, zasługują na większą niż dotąd uwagę. Warto podkreślać i upamiętniać takie – niestety zbyt rzadkie – przejawy przyjaznego współdziałania naszych narodów – tak bliskich, a zarazem tak od siebie odległych…

Literatura, ilustracje:
1. „Národ se ubránil 1939-1945. Sborník prací historiků a pamětníků", Praha 1995
2. F. Emmert, „Československy zahranicni odboj za 2. svetove valky na zapade", Praha 2012
3. R. Žáček, „Těšínsko v československo-polských vztazích v letech 1939-1945", Český Těšín 2000
4. A. Konieczny,„Pozor, pozor Katowice. Legion czechosłowacki w Polsce", Katowice 1989
5. „Legion czechosłowacki w Polsce", Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1989

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

REKLAMA

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

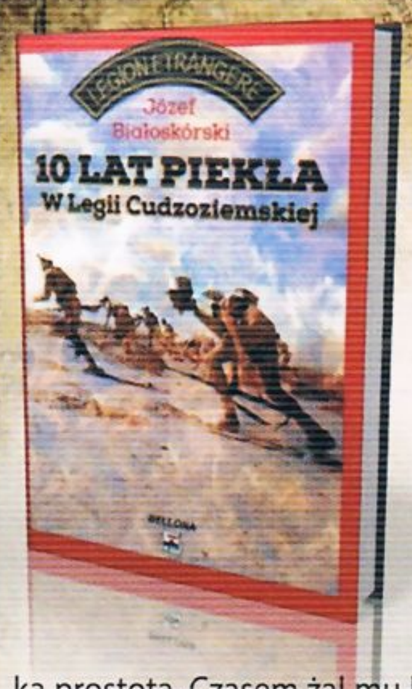

Józef Białoskórski „10 lat piekła w Legii Cudzoziemskiej", opr. twarda, str. 352, wyd. Rytm i Bellona. Cena: 39,90 zł

Józef Białoskórski, sierżant-dezerter Legii Cudzoziemskiej, napisał niezwykły pamiętnik czasu swojej służby w osławionej francuskiej formacji wojskowej. Napisał o nim entuzjastycznie Tadeusz Boy-Żeleński: „czytałem to bez przerwy kilka dni, niemal zły na siebie, ale nie mogąc się oderwać. Cóż za dokument! [...] Ta wojna na pustyni! Zaledwie można uwierzyć, że to wszystko dzieje się dziś, że to nie jakieś fantastyczne opowiadanie ze zmierzchłej przeszłości. Białoskórski opisuje to wszystko z homerycką prostotą. Czasem żal mu było tych Arabów, »bo oni podobno walczą o wolność« – pisze Białoskórski – ale gdzie tu ulokować współczucie, kiedy wciąż trzeba bronić swojej głowy i brać odwet za swoich kolegów".

„EKM Magazyn wojskowych znaków tożsamości nr 0/2013", opr. miękka, str. 52, wyd. EKM. Cena: 12,99 zł

Magazyn EKM w dużej części jest i będzie w przyszłości poświęcony nieśmiertelnikom niemieckim. Powodem wyboru niemieckich znaków tożsamości (Erkennungsmarken) jest niesłabnące zainteresowanie nimi kolekcjonerów na całym świecie. Numer zerowy zawiera m.in.: Poradnik kolekcjonera; Heeres Unteroffizierschule Potsdam; Jeźdźcy Panwitza; E jak Ersatz; Kresowe garnizony: Stanisławów; Blutgruppe cz. I.

Wojciech Lietz „21 Pułk Ułanów Nadwiślańskich 1920-1939. Tom 1", opr. twarda, str. 460, wyd. NapoleonV. Cena: 80 zł

Pierwsza szczegółowa monografia 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich napisana przez pasjonata kawalerii, dr. weterynarii Wojciecha Lietza. Pierwszy tom omawia kolejno: Powstanie i walki 11. Pułku Strzelców Konnych Granicznych; Umundurowanie i barwa 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich; Uzbrojenie i wyposażenie pułku; Sztandar 21. Pułku Ułanów; Pluton trębaczy 21. Pułku Ułanów. W rozdziale omawiającym odznakę pułkową zaprezentowano zdjęcia odznak pochodzących z różnych pracowni grawerskich. Po raz pierwszy został podany pełny spis osób, którym zostały wręczone odznaki. Książka bogato ilustrowana unikalnym zdjęciami.

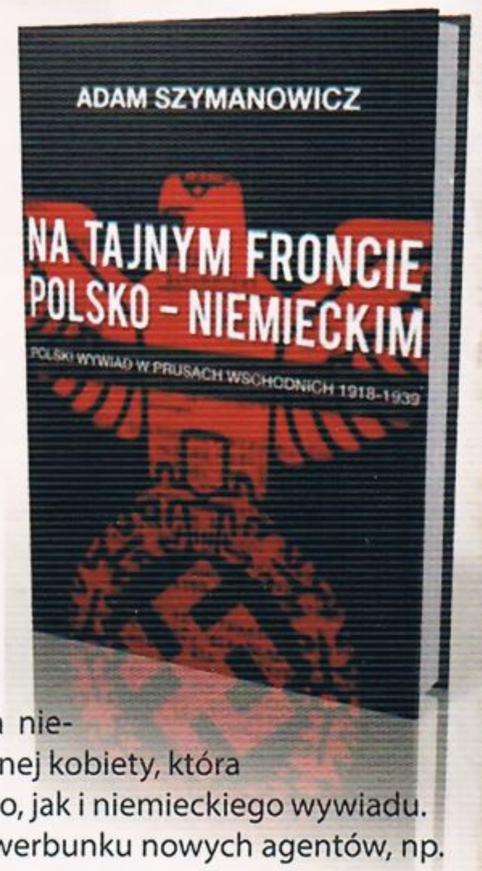

Adam Szymanowicz „Na tajnym froncie polsko-niemieckim. Polski wywiad w Prusach Wschodnich 1918-1939", opr. miękka, str. 400, wyd. General marketing. Cena: 39,90 zł

W niniejszej książce znajdziemy opis wielu dotychczas nieznanych i nieopublikowanych faktów z tajnego frontu polsko-niemieckiego. Przykładem może być organizowanie przez wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej plebiscytowych bojówek. Równie interesujące informacje są o organizacji Abwehrstelle Koenigsberg. Dowiemy się również, w jaki sposób „dwójce" udało się pozyskać do współpracy konkubinę oficera niemieckiego wywiadu, a także o losach pewnej kobiety, która była kochanką zarówno oficerów polskiego, jak i niemieckiego wywiadu. Ciekawym wątkiem są ponadto sposoby werbunku nowych agentów, np. w kasynie gry w sopockim „Grand Hotelu".

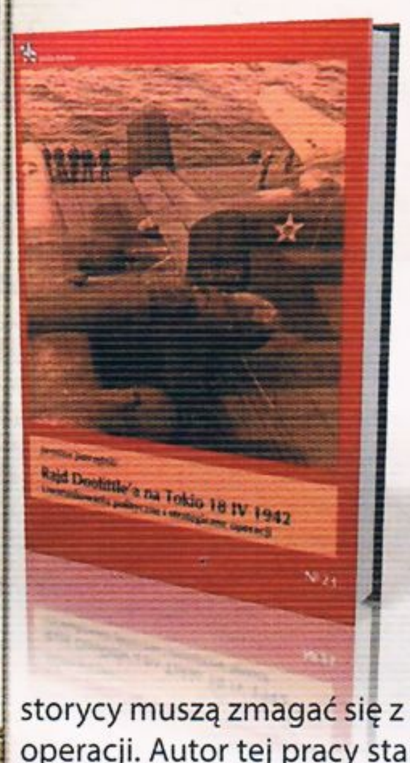

Jarosław Jastrzębski „Rajd Doolitle'a na Tokio 18 IV 1942", opr. miękka, str. 72, wyd. Inforteditions. Cena: 24,90 zł

Amerykański nalot na Japonię z 18 kwietnia 1942 roku był jednym z najważniejszych i najgłośniejszych wydarzeń wojny na Pacyfiku. Tokio, Nagoja i Kobe zostały zbombardowane przez 16 bombowców B-25, którymi dowodził pułkownik James Doolittle. Amerykańska propaganda wojenna starała się przedstawić tę akcję, jako wydarzenie niemal równoważące klęski ponoszone na początku wojny. Rajd Doolittle'a miał przekonać Amerykanów, że ich dowódcy są w stanie poprowadzić naród do zwycięstwa. Zabieg ten była na tyle skuteczny, że przez ponad pół wieku kolejni historycy muszą zmagać się z półprawdami i mitami, jakie narosły wokół tej operacji. Autor tej pracy stara się przedstawić bardziej wiarygodny obraz wydarzeń z kwietnia 1942 roku. Ukazuje genezę i plan akcji, jej przebieg i skutki. Omawia również siły amerykańskie i japońskie, a także działania propagandowe dotyczące rajdu Doolittle'a.

Romuald Owczarek „U bram Riese. Produkcja zbrojeniowa III Rzeszy w rejonie Gór Sowich", opr. miękka, str. 384, wyd. Technol. Cena: 39,10 zł.

Publikacja ta jest efektem wielu lat badań, które były prowadzone przede wszystkim w archiwach, ale także w terenie. Przedstawia ona zupełnie nieznaną historię wojennych zmagań niemieckich koncernów zbrojeniowych w rejonie Gór Sowich oraz ich powojenne losy. W czasie wojny w ramach ściśle tajnego projektu „Riese" III Rzesza prowadziła tam budowę ogromnych podziemnych obiektów. Jednocześnie trwał proces przenoszenia do okolicznych miejscowości wielu niemieckich zakładów zbrojeniowych. Z powodu tych działań od lat pojawia się wiele pytań dotyczących ewentualnych powiązań projektu „Riese" z przemysłem zbrojeniowym Rzeszy. Romuald Owczarek odpowiada w tej książce na większość tych pytań i weryfikuje nieprawdziwe opinie na ten temat.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

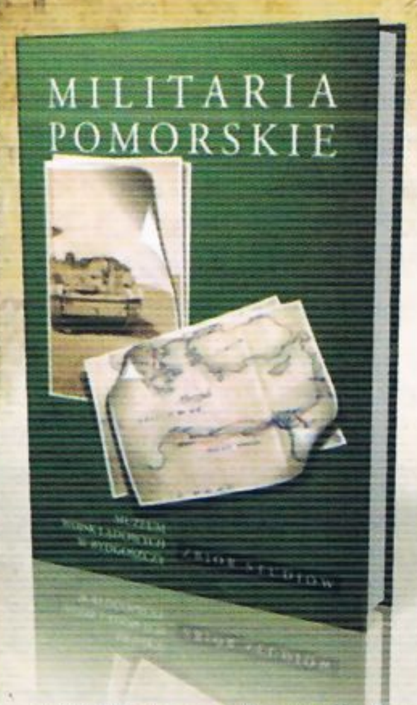

„Militaria Pomorskie 2013 T. V", opr. miękka, str. 241, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł

W najnowszym numerze „Militariów Pomorskich": Władze w artylerii polskich formacji wojskowych 1914-1918; Problemy artylerii towarzyszącej w okresie międzywojennym; Podpułkownik Józef Olszyna-Wilczyński w operacji kijowskiej (kwiecień-maj 1920 roku); Podpułkownik dyplomowany Zygmunt Henryk Berling (1896-1980). Oficer armii Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej. Przyczynek do biografii; Bydgoszcz w gotowości bojowej 1939; Analiza działań 81. Dywizjonu Pancernego Pomorskiej Brygady Kawalerii w 1939 roku; Wspomnienia Mirosława Dudzińskiego na tle walk Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich pod Tobrukiem; Berlin 1945.

Borys Sokołow „Prawdy i mity Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941-1945", opr. twarda, str. 464, wyd. Arkadiusz Wingert. Cena: 43,30 zł

Na łamach tej publikacji Autor przede wszystkim demitologizuje rolę ZSRS w pokonaniu nazizmu. Zamieszczono w tomie teksty skupiają się na próbie ustalenia, dlaczego sowiecka historiografia nadała wojnie z Niemcami miano „wielkiej". Czy wielkie było zwycięstwo Armii Czerwonej, czy raczej wielka okazała się cena, jaką narody Związku Sowieckiego zapłaciły za zwycięstwo? Czy to, co do niedawna pisano w Rosji o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, było najczęściej wielkim oszustwem?

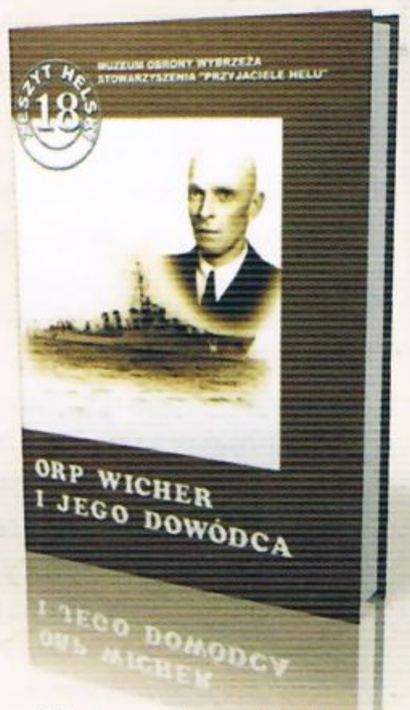

Stefan de Walden, Krystyna de Walden-Gałuszko, Władysław Szarski „ORP Wicher i jego dowódca", opr. miękka, str. 78, wyd. MS. Cena: 9 zł

Niniejszy zeszyt oprócz zwięzłego kalendarium obrony wybrzeża i historii okrętu ORP „Wicher" zawiera oryginalne relacje dowódcy „Wichra" – komandora Stefana de Waldena, oraz spisane w formie wywiadu przez jego córkę, prof. Krystynę de Walden-Gałuszko wspomnienia z rozmów z ojcem. Największym dramatem Stefana de Waldena podczas obrony Wybrzeża stała się noc z 1 na 2 września 1939 r., gdy niezawiadomiony o odwołaniu operacji postawienia zapory minowej, wypłynął pod Piławę na patrol osłaniający planowane minowanie. Niespostrzeżony przez Niemców w czasie patrolu, dwa razy miał możliwość storpedowania okrętów niemieckich. Związany rozkazami o konieczności nieujawniania się i honorem oficera nie atakował. Rankiem zszokowała go wiadomość, ze operację minowania odwołano.

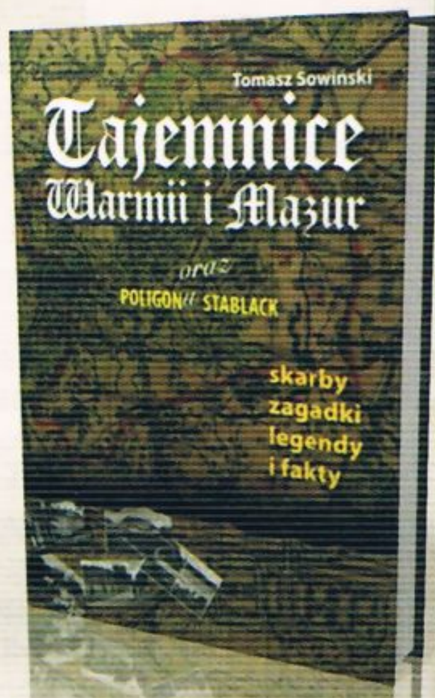

Tomasz Sowiński „Tajemnice Warmii i Mazur oraz poligonu Stablack", opr. miękka, str. 272, wyd. Regionalista. Cena: 29,40 zł

Trzecia już część serii „Tajemnice Warmii i Mazur". Tomasz Sowiński kolejny raz zabiera czytelników na wyprawę po tych terenach, tropami nieznanych wydarzeń i tajemniczych pozostałości. Szczególnie zachęca do zagłębienia się w sekrety dawnego poligonu Stablack, który skrywa dziwne budowle, górę z tunelami i prawdopodobnie wiele skrzyń z dziełami sztuki. Autor podzielił książkę na kilka części: Siedziby, Ludzie w krainie jezior, Dawna technika, Inne ciekawostki materialne, Wojenne Tajemnice, Poligon Stablack. W każdej z nich nie brakuje opowieści o miejscach, ludziach i wydarzeniach niemal całkowicie zapomnianych, a także zdjęć, map i planów.

Władysław Szarski „Zapomniana tragedia Oksywia", opr. miękka, str. 64, wyd. MS. Cena: 9 zł

Kolejny – 16 już – numer z serii „Zeszytów Helskich". Autor opisuje w nim obronę Kępy Oksywskiej we wrześniu 1939 roku. Za symbol walk obronnych na Pomorzu uchodzą obrona Poczty Polskiej w Gdańsku i obrona Westerplatte. Opisane tutaj walki, choć najbardziej zacięte, krwawe i najtragiczniejsze w skutkach, nigdy nie stały się takim symbolem. Ten zeszyt ma za zadanie przybliżyć czytelnikowi tamte realia w najprostszy, czytelny sposób, nie zalewając go potopem szczegółów i mnogością nazwisk. Zainteresowanych szczegółami Autor odsyła do zawartej w zeszycie bibliografii.

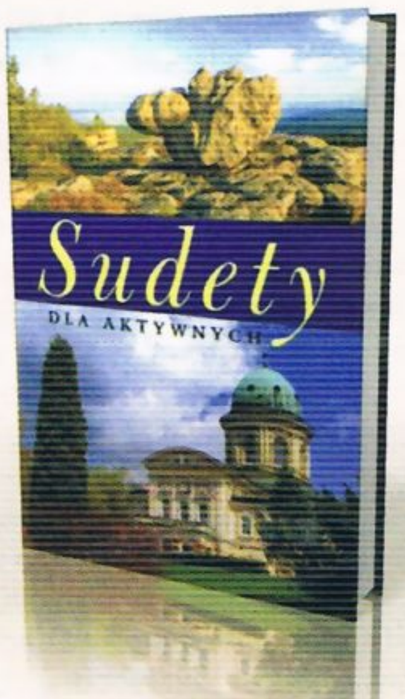

Robert Szewczyk „Sudety dla aktywnych", opr. twarda, str. 448, wyd. Muza. Cena: 52 zł

Sudety to fascynująca kraina skalnych labiryntów, stożków wulkanicznych, głębokich kotłów polodowcowych, mrocznych jaskiń i minerałów. To również region o bogatej historii, której świadectwem są zamki piastowskie (m.in. Chojnik, Bolków), fortyfikacje i podziemne obiekty militarne Gór Sowich, schroniska górskie oraz wspaniałe obiekty sakralne (m.in. w Wambierzycach, Bardzie, Krzeszowie) i uzdrowiskowe (m.in. w Kudowie-Zdroju, Lądku-Zdroju). Atutem książki są aktualne, zweryfikowane w terenie propozycje różnych form turystyki aktywnej. Od klasycznych szlaków pieszych przez trasy: rowerowe, narciarskie, konne i kajakowe po wspinaczkę skalną i loty paralotnią. Uzupełnieniem tekstu są współczesne i archiwalne fotografie oraz mapy.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne w kolorze granatowym i zielonym w rozmiarze L.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

przód

tył

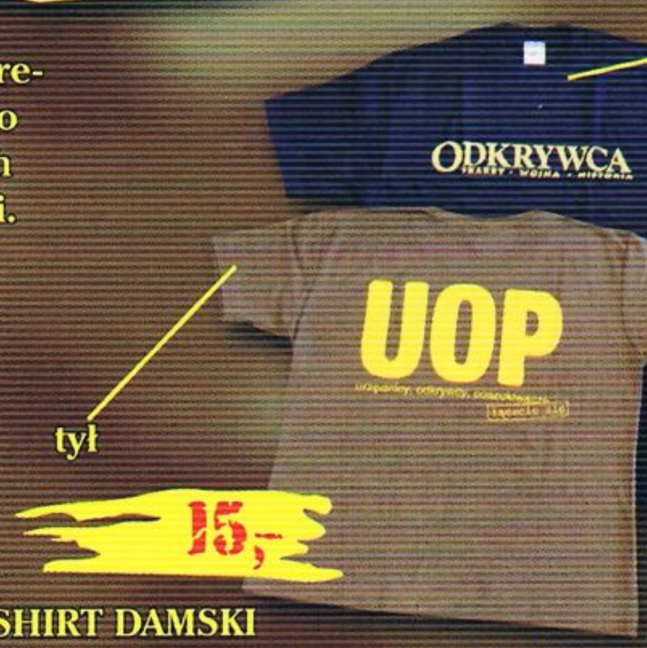

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

przód

tył

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 9/176

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

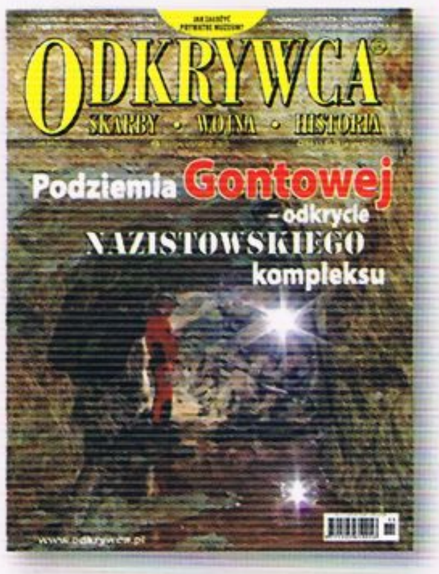

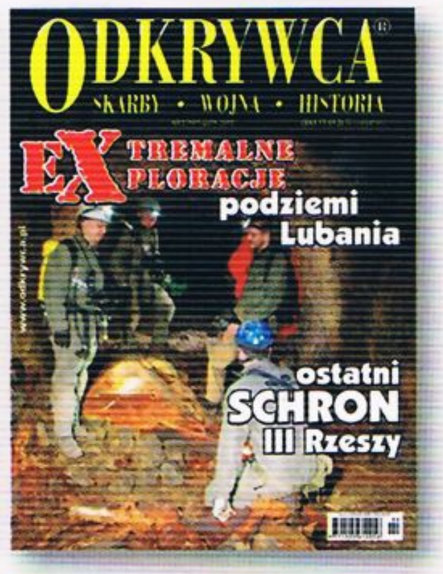

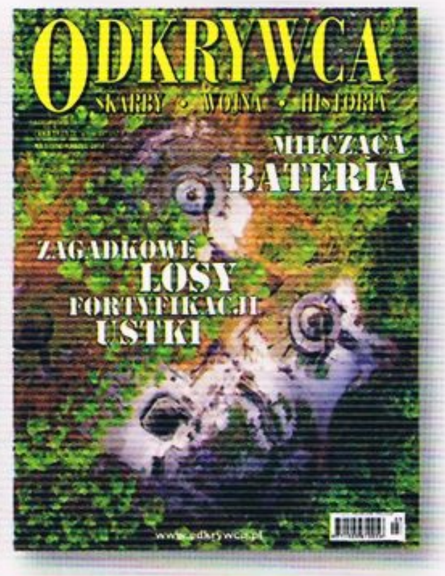

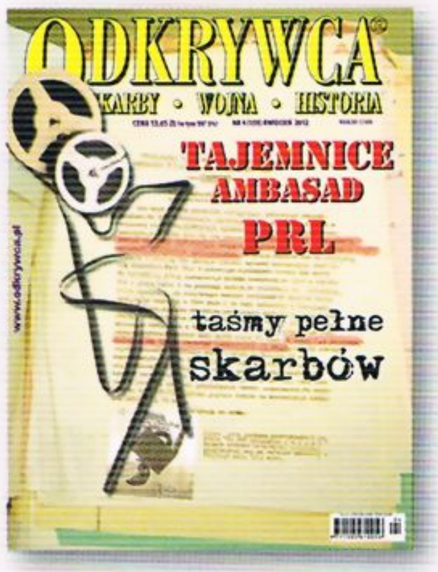

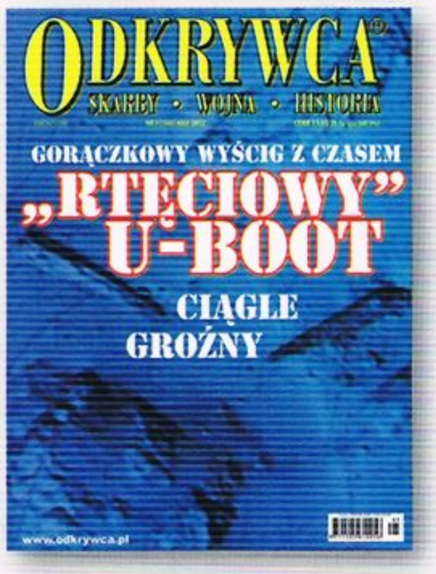

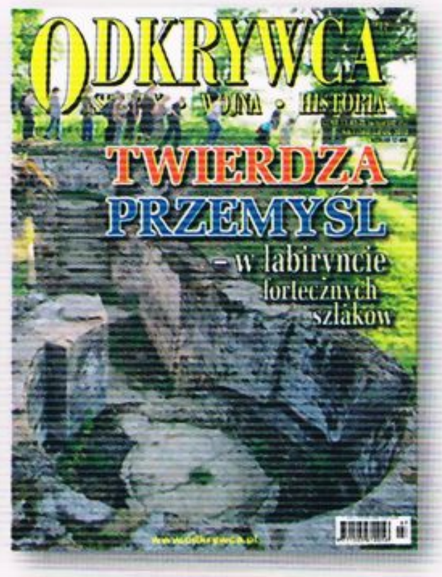

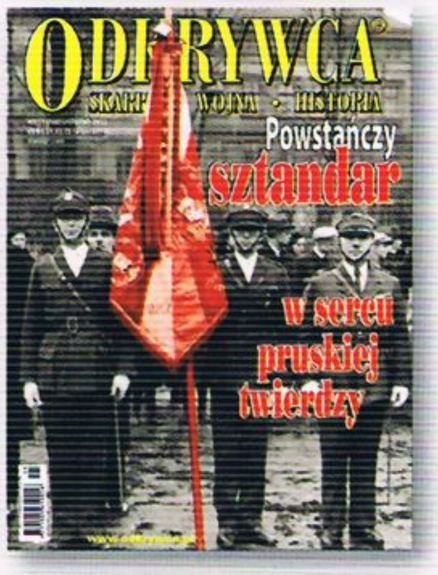

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł
– list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

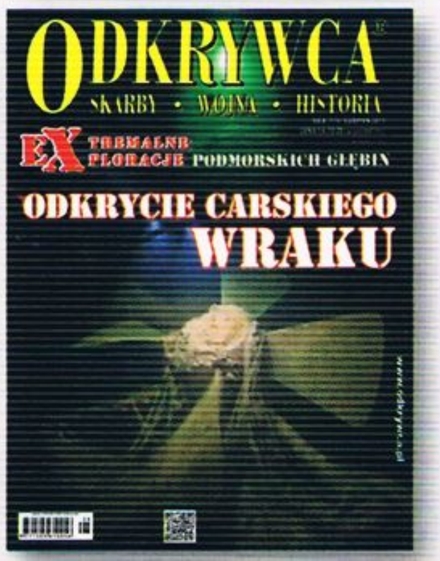

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71
Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71